

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/403

1981



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Ks. J. TISCHNER: **W IMIENIU LAICKIEJ LEWICY**

J. NOWAK:

JAK WYGRAĆ TRZECIĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ?

Z. BYRSKI: **NOWA FAZA**

W STOSUNKACH ZACHÓD-SOWIETY

D. MORAWSKI: **KORESPONDENCJA Z RZYMU:**

WATYKAN A CHINY

SPIS RZECZY

Ks. Józef Tischner:	<i>W imieniu laickiej lewicy</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	17

WIERSZE

Zygmunt Ławrynowicz:	<i>Pokratkowani ludzie</i>	34
Leszek Szaruga:	<i>Nasi bracia. — Poeeci-samobójcy. — Inwokacja</i>	35

ARCHIWUM POLITYCZNE

Adam Kruczek:	<i>XXVI Zjazd</i>	37
Jan Nowak:	<i>Jak wygrać trzecią wojnę światową?</i>	43
Zbigniew Byrski:	<i>Nowa faza stosunków Zachód-Sowiety</i>	55
B r u k s e l c z y k :	<i>Widziane z Brukseli</i>	67
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	75

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	81
Barbara Toruńczyk:	<i>Niemcy a obrona praw człowieka</i>	86
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	91
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	95
—	<i>Poparcie dla „Oświadczenia” rosyjsko- ukraińskiego</i>	97

K R A J

—	<i>Wolny ruch zawodowy w Polsce</i>	99
Erwin Kruk:	<i>„Autochtoni”</i>	105

KRONIKA KULTURALNA

Antonin Mestan:	<i>12 dziwnych lat</i>	109
—	<i>Ks. J. Tischner w Rzymie</i>	115
—	<i>Komunikat Księgarni „Orbis” w Lon- dynie</i>	116

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Piaskiem w oczy</i>	117
---------	------------------------------	-----

WOLNA TRYBUNA

Zygmunt K. Dąbrowski:	<i>Uwagi o Afrykańskiej Republice Po- łudniowej</i>	122
-----------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Ile skrytek?</i>	134
Józef Garliński:	<i>Antycznym i życiowym szlakiem</i>	137
Tadeusz Heinrich:	<i>Hommage to Chopin i Polonia A. Pa- nufnika</i>	140
M.W.:	<i>Świadectwo dojrzałości politycznej</i> ..	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	143



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	145
---	----------------------------------	-----



St. Gliwa, P. Iglowski, E. Puacz, W. Sukiennicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Sprostowanie</i>	156



Maciej Pstrąg-Bieleński:	<i>Oświadczenie</i>	156
--------------------------	---------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1981

INSTYTUT



LITERACKI



WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

T. Andrzejczek, Riverdale, W.A. (Australia), po raz 8-my — \$ A. 50,00	F. 275,00
Dr Krzysztof J. Boreyko, Easton, CT (USA) — \$ US 148,00	F. 940,00
Dorota i Henryk Goldfarb, Lund (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób zmarłego 23. 12. 1980 naszego przyjaciela Jakuba Wajsbrota — Krs 50,00	F. 51,55
Walter Łuszczak, Thunderbay, Ont. (Kanada) — po raz 8-my	F. 109,36
Aleksander Messing-Mierzejewski, New York — \$ US 35,00 ..	F. 175,00
Ewa Nowak Uklejska, Londyn — £ 5,00	F. 55,00
Władysława H. Pigdon, Milwaukee, Wisc. (USA) — po raz 5-ty — \$ US 3,00	F. 15,00
Polacy w Zarii (Nigeria) — \$ US 40,00	F. 200,00
J. J. Piórkowski, New York, po raz 17-ty — \$ US 18,00	F. 90,00
Jerzy Rachwał, Caracas (Wenezuela)	F. 90,00
Janusz Rakowski, Zurych (Szwajcaria)	F.1.000,00
L. i M. Stauber, Hanau/Steinheim (RFN) — zamiast kwiatów na grób Olka Drożdżyńskiego-Kahane — DM 100,00	F. 230,00
Anna Sabbat, Monachium (RFN)	F. 600,00
Alina Trokenheim, Sztokholm — po raz pierwszy	F. 50,00
Mirosław Wierzbicki, Burlington, Mass. (USA), po raz 10-ty — \$ US 40,00	F. 200,00
Maria Winowska, Paryż	F. 300,00
Anonimowo z Francji — po raz dziesiąty	F.2.500,00
Beziemiennie z USA — po raz 9-ty	F.1.692,00
Spotkanie Polonii szwedzkiej z Czesławem Miłoszem w sali Akademii Szwedzkiej 12. 12. 1980 r., zorganizowane przez Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Sztokholmie przyniosło dochód Krs 9.080,00 a po potrąceniu kosztów w wysokości Krs 2.056 — netto Krs 7.024,00	F.7.100,00
którą to sumę Towarzystwo przeznaczyło na Fundusz Kultury, a Kultura na pomoc dla niezależnej prasy w Kraju.	
Zygmunt Wierski, Paryż — po raz 3-ci	F.1.000,00
(W marcowym numerze Kultury przy podaniu daru p. Z. Wierskiego na nasz Fundusz nazwisko jego zostało niekształcone — wydrukowano: Zygmunt Wierski zamiast Wierski — za co najserdeczniej przepraszamy).	

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA ROBOTNIKÓW, KTÓRZY STRAJKOWALI I DLA ICH RODZIN ORAZ NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” I INNE WOLNE ZWIĄZKI ZAWODOWE

M. Bednarek, M. T. Druitt (Australia) — na „Solidarność” — \$ A. 80,00	F. 445,00
Beziemiennie z Grenoble (Francja) — na „Solidarność”	F. 200,00
Marian Małolepszy, San Pedro, Cal. (USA) — nadesłał od Z. Wardasa i kolegów na NSZZ „Solidarność” \$ US 35,00	F. 175,00
Antoni Piotrowski, Mölndal (Szwecja) — zebrane wśród Polaków w Göteborgu i okolicy na NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu — Krs 550,00	F. 600,00
Wanda Pilecka, Pau (Francja) — na „Solidarność”	F. 150,00
Towarzystwo Domu Polskiego w Seattle, WA (USA) — na „Solidarność” — \$ US 523,00	F.2.615,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 158)

W imieniu laickiej lewicy*

Kim jest autor pracy pt.: „Kościół, lewica, dialog”, wydanej w Paryżu w 1977 r. przez Instytut Literacki — Adam Michnik? Na pytanie to odpowiada we wstępie do książki S. Kisielewski, znany publicysta *Tygodnika Powszechnego*: „Adam Michnik, urodzony 1946 w Warszawie to jedna z głównych postaci słynnego polskiego Marca 1968, a także poprzedzających ten Marzec kontestatorskich fermentów wśród warszawskiej młodzieży studenckiej. Swój udział w owej młodzieńczej 'kontestacji' Michnik przyłacił wydaleniem z uniwersytetu, procesem i półtorarocznym więzieniem. Po wyjściu z takowego pracował pewien czas fizycznie w jednej z wielkich warszawskich fabryk, po czym otrzymał zezwolenie na zaoczne kontynuowanie studiów z historii na Uniwersytecie Poznańskim. Studia ukończył w roku 1975 uzyskując tytuł magistra za pracę 'Problemy wybrane z historii polskiej myśli politycznej na emigracji 1864-1870'. Specjalizuje się w nowożytnej historii Polski. Jest też autorem szeregu artykułów, poświęconych tej tematyce, zarówno problemowych jak i czysto historycznych zamieszczanych pod pseudonimami w krajowych czasopiśmie katolickich a także za granicą.

Pod pseudonimami, gdyż Michnik pędził w Polsce życie obywatela drugiej kategorii, nazwiska jego w prasie wymieniał nie wolno, padał też wielokrotnie ofiarą rozmaitych represji. Mimo to wiedzie żywot bujny, inspirując przeróżne akty opozycyjno-'kontestatorskie', bardzo popularny i ceniony zarówno wśród warszawskiej młodzieży jak i w tak zwanych sferach intelektualnych. Lubi wkładać kij w mrowisko, zrobił już w tej dziedzinie wiele a zapowiada jeszcze więcej”.

* Fragmenty z książki ks. Józefa Tischnera pt. „Polski kształt dialogu”, która ukaże się niebawem nakładem „Spotkań” (Ed. „Spotkania”, 64 Av. Jean-Moulin, 75014 Paris).



1984 H 2250/76
P.9786 Chr. Archi.

Książka Michnika jest szkicem historycznym, zawierającym jednak pewne idee polityczne a nawet filozoficzne. Michnik analizuje w oparciu o liczne źródła, takie jak na przykład listy pasterskie Episkopatu Polski i Prymasa, jak komentarze i artykuły prasowe, rozmaite akty ustawodawcze rządu PRL — historie stosunków między Kościołem a państwem oraz między tzw. „laicką lewicą” a katolicyzmem, katolikami i religią. Dochodzi do wniosków, które dla owej lewicy były jeszcze nie tak dawno nie do przyjęcia: Kościół i religia chrześcijańska, katolicy i katolicyzm w ogóle odegrali w Polsce rolę twórczą, „postępową”, stali się autentycznymi obrońcami praw człowieka, o obronę których chodziło także owej lewicy. Stąd postulat polityczny: laicka lewica winna uznać rolę religii, wejść w dialog z Kościołem, lepiej zrozumieć naturę chrześcijaństwa i katolicyzmu i wspólnie zwalczać wspólnego wroga osoby ludzkiej, jakim jest totalitaryzm władzy politycznej. W książce Michnika natrafiamy na nowy ton pisania o religii. Michnik stara się mówić o religii bez uprzedzeń, rozumieć z niej więcej niż inni, szukać płaszczyzn porozumienia z polskimi katolikami. Nie chodzi mu przy tym, by z religii uczynić narzędzie dojścia do władzy i umocnienia władzy, chodzi o to, by znaleźć formułę współżycia w pluralistycznym społeczeństwie jutra. Książka jest czymś więcej niż wyrażeniem osobistych poglądów autora. Michnik uczestniczy w niepokojach wielu sobie podobnych i wyraża ich nadzieję, jest znakiem tego, co nurtuje w jakimś stopniu w duszy niejednego Polaka. Ukazała się jako prawdziwy „znak czasu”.

Z jakich pozycji wychodzi A. Michnik? Jakie teorie czuje poza sobą, o jakie ideały chce walczyć?

Określa siebie jako przedstawiciela „laickiej lewicy”. Co to znaczy? Píše: „... czym jest lewica obecnie, w 1976 roku? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. W ostatnich latach, w wyniku klęski oficjalnej ideologii komunistycznej, nasiliły się i upowszechniły nastroje nacjonalistyczne. Widać to wyraźnie zarówno w kręgach władzy, jak w środowiskach opozycyjnych. I władza, i opozycja są podzielone. Bardziej interesują mnie podziały w łonie opozycji. Posługując się sformulowaniem jednego z moich przyjaciół, powiem, że opozycja składa się z tych, których opozycyjność wynika z przekonania o wyższości systemu kapitalistycznego nad jakimkolwiek innym i z tych, których programem jest idea demokratycznego socjalizmu. Świadom jestem, jak bardzo upraszczam, ale trzymając się tego uproszczenia powiem jeszcze, że lewicę utożsamiam z tymi drugimi. Tak pojmowana lewica głosi idee wolności i tolerancji, idee suwerenności osoby ludzkiej i wyzwolenia pracy, idee sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i równego startu dla

wszystkich; zaś zwalcza: szowinizm i ucisk narodowy, obskurantyzm i ksenofobię, bezprawie i krzywdę społeczną. Program lewicy to program antytotitarnego socjalizmu”.

Wychodząc z takich pozycji, Michnik dokonuje odkrycia katolicyzmu polskiego i polskiego Kościoła. Jest to przede wszystkim odkrycie historyka, ale historyka operującego znakomicie kategoriami polityki. Po zbadaniu odnośnych dokumentów, Michnik konkluduje:

„Przytaczając powyższe fakty, cytując obszernie dokumenty z tamtych czasów, pragnąłem uświadomić moim przyjaciołom z lewicy laickiej, nie znającym na ogół cytowanych tekstów i faktów, jaka była rzeczywista sytuacja Kościoła i postawa katolickich biskupów w okresie stalinowskim. Jeśli skonfrontują postulat Episkopatu z tym co o tych postulatach czytali, wtedy i później, w oficjalnej prasie, to dostrzegą, być może, cały ogrom swojej niewiedzy. Jeżeli te postulaty zestawiają z ówczesnymi praktykami władzy państwowej, to bardziej zrozumiałym stanie się dla nich moje pytanie: gdzie był główny wróg postępu i dobra w owym czasie? W kościołach katolickich czy w komitetach partyjnych i urzędach bezpieczeństwa?”

Rozmaite sformułowania w listach pasterskich mogą razić; inne mogą wydawać się anachronizmem. Ale pytanie zasadnicze brzmi: czy w stalinowskim okresie Kościół bronił praw ludzkich, czy bronił wolności i godności człowieczej? Odpowiadam na to pytanie twierdząco. W pełni podzielam opinię Czesława Miłosza, który napisał, iż w okresie stalinowskim „budynek kościelny był jedynym miejscem, dokąd nie przenikało urzędowe kłamstwo a kościelna łacina pozwalała zachować wiarę w wartość ludzkiej mowy, poza tym poniżanej i naginanej do najgorszych zadań”.

Pozytywna rola Kościoła nie kończy się jednak na okresie stalinowskim. Michnik kontynuuje swe poszukiwania dalej, skupia się przede wszystkim na bliskim sobie roku 1968 — roku, w którym tzw. „rewizjoniści” upomnieli się o swobody demokratyczne w kraju. Michnik widzi jednoznacznie: Kościół bierze pośrednio także ich w obronę, mimo że byli to często ludzie znani z działalności antyreligijnej. Bierze ich w obronę w tym sensie, że upomina się o praworządność, demokrację i tolerancję. W tym punkcie głos Michnika jest szczególnie doniosły.

Czytamy: „Ateizm i antyklerykalizm były trwałymi składnikami ideologii polskiego rewizjonizmu. W przeprowadzanych przez rewizjonistów — najostrzejszych nawet — krytykach stalinizmu prześladowania religii i Kościoła nie piętowano wcale, albo też widziano w nich jedynie błędną taktykę, która — spychając Kościół na skraj katakumb — umacniała 'przesady religijne'. Zaryzykowałbym pogląd, że wielu rewizjonistów uważało

wydatne ograniczenie wpływów katolicyzmu i Kościoła za jedną z niewielu zalet epoki 'błędów i wypaczeń'. Nie bez znaczenia była i ta okoliczność, że w swych krytykach partii i partyjnej ortodoksji rewizjoniści nader często uciekali się do analogii z Kościołem katolickim. Rzecz by można, iż partia była dla nich tym bardziej antypatyczna, im bardziej przypominała im Kościół. Piętnując w swych pismach irracjonalizm i fideizm mętnych konstrukcji stalinowskiego 'diamatu', rewizjoniści byli spadkobiercami idei filozofów racjonalistycznych. 'Fanatycznej wierze' stalinowców przeciwstawiali 'rozum' i tolerancję". I nieco dalej: „Sądzić można, iż z punktu widzenia wczoraj jeszcze prześladowanego biskupa 'wściekli' rewizjoniści stanowili formację szczególnie odrażającą. Wczoraj jeszcze atakujący religię i biskupów, wczoraj jeszcze aktywiści frontu ideologicznego partii, chwalczy reżymu, gdy był on szczególnie okrutny, a dziś — wciąż nie uznający swej osobistej winy, przerzucający odpowiedzialność na obiektywne warunki i innych ludzi, bijący się w cudze piersi, a jednocześnie — znów w todze moralistów, gromiący nietolerancję u innych, tych wczoraj prześladowanych. Również opozycyjność rewizjonistów wobec nowego kierownictwa partii musiała dla prześladowanych katolików wyglądać mocno podejrzanie”.

A. Michnik wymaga, aby odkrycie chrześcijaństwa doprowadzić możliwie do końca. Należy przeprowadzić rewizję ocen religii, dokonywanych dotąd przez „laicką lewicę”. Trudno się oprzeć pokusie zacytowania jeszcze jednego fragmentu: „Nasza rewizja intelektualna musi sięgnąć głębiej, musi dotknąć samych korzeni tego pełnego pychy przekonania, że — w istocie rzeczy — my znamy przecież prawdziwą drogę postępu i rozumu. Albowiem — w istocie rzeczy — my takiej drogi nie znamy; ani my, ani nikt na świecie nie wie jakimi drogami potoczy się historia, natomiast my właśnie — bardziej niż ktokolwiek inny — powinniśmy rozumieć, iż taka pseudowiedza o tajemnicach *Weltgeistu* miewa zbrodnicze konsekwencje. Uprawnia ona mianowicie, na mocy znajomości wyimaginowanych praw dziejowych, do kierowania na drogę 'rozumu i postępu' tysięcy ludzi nieświadomych bynajmniej o potrzebie i nieuchronności Nowego Ładu. Zaś realizacja projektów Nowego Ładu, tego królestwa Postępu, Rozumu i Wolności, wiedzie z nieuchronną koniecznością do pogardy dla ludzi, do stosowania przemocy, do moralnej samozagłady.

Myślę, że równie złowrogie konsekwencje kryje w sobie zadufane przekonanie o nieistnieniu porządku nadprzyrodzonego. Powiadam 'zadufane', albowiem zupełną pewnością możemy mieć w tym tylko przedmiocie, że śmierć nas nie ominie. Reszta jest błędzeniem, trudem istnienia, uporczywą drogą do prawdy. Za-

chowajmy na tej drodze, pełnej poszukiwań, upadków i wzlotów, szacunek dla tych, którzy wierzą, iż został im objawiony jakiś ład ponadludzki. Sądźmy ich po czynkach, a nie po słowach wypaczonych przez innych i wykoślawionych. Tylko pod tym warunkiem będziemy mogli z podniesionym czołem domagać się od ludzi Kościoła postawy analogicznej”.

Nie chciałbym przedłużać tej charakterystyki poglądów A. Michnika, więc z żalem pomijam ogromnie interesujące fragmenty, w których autor mówi o tym, na jakich drogach doszedł do swego odkrycia chrześcijaństwa. Pomijam również jego oceny rozmaitych ruchów „dialogicznych”, inspirowanych lub popieranych przez państwo, a więc ocenę ruchu „Pax”, czy ruchu ODiSS (Janusz Zabłocki, czy tzw. „pseudo-Znak”). Chcę jeszcze skoncentrować się na samej idei dialogu.

A. Michnik realizuje w praktyce pewną ideę dialogu, *obcą dotychczasowym* marksistowskim czy w ogóle lewicowym opracowaniom zagadnienia marksizm — socjalizm — chrześcijaństwo. Cokolwiek by się rzekło o brakach książki, po Michniku nie będzie już można uprawiać dialogu tak, jak się go uprawiało przed Michnikiem, jeśli oczywiście będzie się chciało coś sensownego na temat dialogu i z pozycji dialogu powiedzieć. Na czym owa idea polega?

Dialogiem nie jest pierwsza lepsza rozmowa człowieka z człowiekiem, lecz jedynie taka rozmowa, w której świadectwo drugiego człowieka zostaje uznane za niezbędne źródło wiedzy o przedmiocie, którego rozmowa dotyczy. Dialog to przede wszystkim pewna metoda poznania. Nie jest to oczywiście metoda powszechna, metoda każdej nauki i każdego sposobu uzyskiwania wiedzy. Na przykład w matematyce poznanie nie ma charakteru dialogicznego, lecz monologiczny: aby poznać, że dane rozwiązanie matematyczne jest prawdziwe, nie potrzebuję odwoływać się do świadectwa drugich, wystarczy samo porównanie wniosków z założeniami. Dialog jest metodą poznania w humanistyce, w naukach społecznych, w historii, jest też integralnym składnikiem poznania religijnego. Bez dialogu nie może się obejść autentyczne życie społeczne. Aby wiedzieć, kim ja jestem, muszę spojrzeć na siebie nie tylko swymi własnymi oczami, ale również oczami innych, jakby z zewnątrz. Podobnie inni — jeśli chcą poznać prawdę o sobie, muszą odwołać się do naszego, do mojego świadectwa o nich.

Książka A. Michnika nie została napisana po to, by rozwijać abstrakcyjną teorię poznania dialogicznego. Wnosi ona jednak do tej teorii na naszym gruncie więcej, niż niejedna książka dotycząca *explicite* teorii. Po prostu realizuje podstawowe warunki idei dialogu. Robi to w trudnych okolicznościach politycznych,

gdy samo opublikowanie dzieła w wydawnictwie emigracyjnym może być potraktowane jako akt nielegalny i sprowadzić na autora przykre następstwa. Fakt ten ma ogromną wymowę moralną.

Spróbujmy jednak sformułować pewne znaki zapytania w duchu proponowanym przez A. Michnika. Nie będą one dotyczyć ściśle faktograficznej warstwy książki, ponieważ odwiedłoby to nas zbyt daleko od głównego nurtu, lecz skoncentrujemy się na specyficznym etycznym nucie rozważań, będącej bezpośrednim wyrazem idei „demokratycznego socjalizmu”. Na temat owej idei nie pisze się wiele, tymczasem jest to dość istotna sprawa, ponieważ książka nabrała w naszym kontekście społecznym szerszego znaczenia politycznego. Jak się okazuje, chodziło nie tylko o to, by wyprowadzić z błędu „laicką lewicę”, ale również o to, by rozwiązać uprzedzenia chrześcijan i Kościoła w stosunku do owej lewicy. To, że Kościół nie ufa lewicy — jest zrozumiałe. Teraz jednak będzie można powiedzieć: „myśmy zrewidowali swoje oceny, teraz wy zrewidujcie swoje”. Co sądzić o tej warstwie znaczeniowej książki?

Należy podkreślić, że propozycja Michnika została przyjęta w szerokich środowiskach intelektualistów katolickich w Polsce z ogromną sympatią. Nikt nie kwestionuje podstawowej intencji autora. Nikt nie odrzuca głównych propozycji teoretycznych. Na ogół wszyscy podkreślają ogromną odwagę jego myśli. Pewien niepokój wywołuje jedynie ogólność i wieloznaczność zasad określających własne stanowisko A. Michnika. Co znaczy „demokratyczny socjalizm” i „laicka lewica”?

„Demokratyczny socjalizm” — jak sobie przypominamy — głosi: „idee wolności i tolerancji, idee suwerenności osoby ludzkiej i wyzwolenia pracy, idee sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i równego startu dla wszystkich; zaś zwalcza szowinizm i ucisk narodowy, obskurantyzm i ksenofobię, bezprawie i krzywdę społeczną. To wszystko jest wzniosłe, godne szacunku, piękne. Ale czy jest do końca domyślane? Po pierwsze: idea demokracji kryje w sobie myśl, że ostatecznym podmiotem władzy jest cały naród-lud, bez względu na różnice klasowe, natomiast idea socjalizmu zawiera myśl, że podmiotem tym jest przede wszystkim „przodująca klasa narodu” — proletariats przemysłowy; pojęcie demokratycznego socjalizmu jest więc z czysto teoretycznego punktu widzenia jak pojęcie kwadratowego koła. Po drugie: patrząc wciąż z punktu widzenia czystej teorii, taka definicja ideałów lewicy jest błędnym kołem, ponieważ najpierw ustanawia pewien ideał, potem określa z góry, że taki właśnie ideał jest socjalistyczny, po czym nie pozostawia już miejsca dla żadnej alternatywy etycznej. Po trzecie: z praktycznego punktu widzenia rzecz pachnie jakąś formą „moralnej demagogii”, bo

coż mi pozostaje, jeśli nie poprę ideałów laickiej lewicy? Nic tylko: „szowinizm, ucisk narodowy, obskurantyzm, bezprawie” i inne tym podobne okropności. Kiedyś, za stalinizmu, nie mieliśmy wyjścia, bo nie pozwalały na to „żelazne prawa dziejów”, dziś także nie mamy wyjścia, bo nie pozwala na to wzniosła — rzekłbym nawet: nazbyt wzniosła — etyka „demokratycznego socjalizmu”. Zmieniliśmy poziom rozważań, ale struktura jakby pozostała.

A. Michnik mówi „socjalizm”. Pojęcie to funkcjonuje również w oficjalnym języku tych, z którymi autor jest w konflikcie, w języku partii, aparatu propagandy, w języku ideologów. Rodzi się pytanie: w jakim stopniu pojęcie to znaczy to samo po jednej i drugiej stronie? Czy może tylko słowo jest takie samo a treści diametralnie przeciwne? Czy może pozostał jakiś wspólny mianownik? Pytania nie są tylko teoretyczne: idzie o to, czy myśl Michnika *mimo wszystko* udziela aprobaty temu, co zaistniało w Polsce po drugiej wojnie, czy też uważa, że wszystko było błędzeniem? Czy A. Michnik wierzy, że *przynajmniej początki* były dobre? Czy w ten sposób, mimo cała krytyka i opozycyjność, udziela on moralnej sankcji zębom aktualnego systemu? Myślę, że udziela. Nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej. Jest to sprawa ogromnej wagi. Szkoda, że nie została rozwinięta szerzej. Wieloznaczność w tej sprawie budzi rozmaite domysły a domysły łatwo przemieniają się w podejrzenia, za które nie tylko czytelnik jest odpowiedzialny.

Pozostaje jeszcze jeden szczegół, charakterystyczny, jak mi się wydaje, dla całej „lewicującej mentalności”.

Nie wiem, czy istnieje jakaś inna teoria społeczna oprócz marksistowskiej, która by tak dalece stępiała człowiekowi naturalny zmysł rzeczywistości. To zdumiewające, że ludzie „laickiej lewicy” żyli w środku naszego kraju, mieli oczy i uszy a nie zdawali sobie sprawy z tego, jaka w tym kraju była i jaka jest rola Kościoła. Trzeba było dopiero książki A. Michnika, by zmienili zdanie. Ale czy książka ich przekona? Czy znikną dawne lęki i dawna nieufność? Poza tym, czy w samym tekście Michnika nie ma jakiegoś śladu owej przezwyjęzionej mentalności? Charakterystyczny jest sposób patrzenia na społeczeństwo, wyrażony w książce. Michnik zwraca uwagę przede wszystkim na dialog na *poziomie władzy*, a więc na poziomie: episkopat — rząd, biskup — premier, Kościół i aparat partyjny. Tymczasem ten poziom dialogu był wtórny, drugorzędny. Istotny dialog i zasadniczy wybór dokonywał się na poziomie narodu. To naród, to tzw. „prosty lud”, wypełniający kościoły i miejsca pielgrzymkowe, bronił się przeciwko procesom socjalizowania. Głos biskupa był najczęściej jedynie wykładnią tego, co działo się w duszy

narodu. Nie twierdę, że był bez znaczenia, twierdę jedynie, że główne źródło jego znaczenia znajdowało się poza nim. Michnik jakby tego nie widział, jakby patrzył poprzez pryzmat „lewicowego” zafascynowania „władzą”.

A. Michnik mówi: „lewica laicka”. Czy zdaje sobie sprawę z tego, jak te słowa dźwięczą dziś w uszach prostych ludzi, którzy mają problemy z wychowaniem dzieci, z „laicką” szkołą, z mniej lub bardziej oficjalną indoktrynacją ateistyczną? Być może w słowach tych kryją się jeszcze jakieś żywe treści. Z pewnością jednak nie są one dziś aż tak doniosłe, jak w czasach międzywojennych. Poza tym trzeba spojrzeć w oczy rzeczywistości: laickość i lewica należą do słownika pojęć gruntownie przez naszą rzeczywistość skompromitowanych. Nie wyobrażam sobie, by ktoś występujący kiedyś jako kandydat w wolnych wyborach pod hasłem „laickiej lewicy” uzyskał w tym kraju, po wszystkim, czego ów kraj doświadczył, mandat poselski. Co nie znaczy, że ludzie są za nietolerancją i dyskryminacją. Mają po prostu tego dość. Jeśli A. Michnik uważa, że w słowach tych jest zawarta mimo wszystko jakaś cenna dla życia narodu treść, niechże ją bardziej właściwie określi a nie sięga po słowa ograne i przegrane.

I wreszcie ostatnie pytanie.

Nie miałem pierwotnie zamiaru włączać A. Michnika — podobnie jak J. Strzeleckiego — w „polski kształt dialogu” z marksizmem, ponieważ nawet jeśli autorzy ci odwołują się do socjalizmu, to z marksizmem prawie nic już ich nie łączy. Teraz — po przedstawieniu szczegółów — wątpliwości moje jeszcze się wzmożły. Wcale nie jestem pewny, że ich tezy dowodzą ewolucji w łonie myśli teoretycznej socjalizmu. Są raczej głosem z zewnątrz teorii. Jest to głos ważny, mocny, przekonywający, niemniej głos spoza teorii. Nie włącza on religii w świat socjalizmu tak, jak na przykład chrześcijańska teologia negatywna włączyła ateizm w świat religii. Więź między religią a socjalizmem jest więzią sojuszu. Sojusz jest przede wszystkim sprawą polityczną. I choć sojusz ten jest być może z punktu widzenia etyki czymś pożądanym i cennym, to jednak dla myśli lewicującej ma on w ostatecznym rozrachunku wydzwięk polityczny. Nie sądzę i nie widzę dowodów, żeśmy się ostatecznie wyzwolili z prymatu polityki przed etyką.

Synteza polityki z etyką to stary mit — mit socjalizmu utopijnego, który — według świadectwa ortodoksyjnych marksistów — K. Marks i F. Engels mieli podnieść do godności nauki. W przypadku J. Strzeleckiego i A. Michnika jesteśmy poza marksizmem, a więc jakby u jego początków. Czyżby po tylu latach burzliwego rozwoju marksizmu trzeba nam było wrócić do jego

początków? A może nie są to początki, lecz akordy końcowe? Może to jeden z ostatnich „błędnych rycerzy socjalizmu” odkrywca, że Kościół — ongiś przedmiot ataków jego i jego towarzyszy — to nie żadna „forpocztka imperializmu”, lecz zwyczajny wiatrak, mielący mąkę dla tych, co nie samym chlebem żyją? Cokolwiek by się rzekło, kres walki z wiatrakami ma też swoje pozytywne znaczenie.

REFLEKSJE NA ZAKOŃCZENIE

W pracy niniejszej raz po raz powracała ku nam myśl następująca: płaszczyzną zasadniczą dialogu między chrześcijaństwem a teorią i praktyką marksizmu w Polsce była płaszczyzna etyczna, a mówiąc ściśle — płaszczyzna pojętowa integralnie etosu jako sposobu bycia według żywej przez człowieka nadziei. Z jednej strony mieliśmy więc nadzieję terryzującą, w której istotnym składnikiem była obietnica zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka, z drugiej nadzieję bardziej wszechstronną, w której wartością istotną okazała się godność człowieka. Sama ta płaszczyzna dialogu sprawiła, że udział w nim miał praktycznie cały naród. Nie było w kraju takiego człowieka, który nie musiałby od czasu do czasu opowiedzieć się w sposób mniej lub bardziej konsekwentny za jedną lub drugą stroną. Bieg wydarzeń angażował wszystkich. Raz chodziło o problem chrztu dziecka, innym razem o udział dziecka w katechizacji, jeszcze innym o uczestnictwo w procesji, w manifestacji religijnej, w przyjęciu na ojczystej ziemi Jana Pawła II. Sposoby zaangażowania były rozmaite. Było również miejsce dla form właściwych filozofii. Wprawdzie rola społeczna prowadzonego na tym poziomie dialogu nie była zbyt wielka, jednakże był to dialog interesujący, ponieważ wyrażały się w nim w czystej formie opinie przenikające świadomość społeczną.

Jakie są wyniki dialogu?

Przede wszystkim jednym z doniosłych efektów dialogu — efektów wielostronnie zresztą uwarunkowanych — jest istniejąca w naszym kraju przestrzeń wolności. Wiemy, że jest ona większa niż w innych podobnych do naszego krajach. Nikt nie ma złudzeń co do tego, że osiągnięcie takiej przestrzeni wolności jest zasługą chrześcijańskiego ducha oporu, pracy duszpasterskiej Kościoła a także posoborowej teologii obecności Kościoła w życiu doczesnym. W osiągniętej przestrzeni wolności zmieściło się tak ryzykowne wydarzenie, jak pielgrzymka Jana Pawła II do Polski.

Przypomnijmy: w czasach Piusa XII i B. Bieruta rzecz była nie do pomyslenia; w czasach Pawła VI i W. Gomułki rzecz była wprawdzie do pomyslenia, ale okazała się nie do realizacji mimo zabiegów Episkopatu i pragnień Pawła VI nie doszło do zaproszenia papieża na uroczystości millenijne do Częstochowy; potem bieg wydarzeń zaskoczył wszystkich. Trudno to oczywiście właściwie wyważyć, ale z pewnością gdzieś w dalekim tle warunków możliwości owej pielgrzymki było wypalenie się marksistowskiego antyklerykalizmu, ateizmu i wojującego bezbożnictwa. Coś podobnego dokonało się również po stronie katolickiej, szczególnie po soborze, gdy Kościół wszedł w okres dialogu ze światem współczesnym, w tym także z rządami ze wschodu Europy. Mamy więc naszą przestrzeń wolności. Wiemy, że nie jest to przestrzeń zbyt wielka. Ale w przeszłości bywało gorzej. Wizyta Jana Pawła II przestrzeń tę poszerzyła i umocniła a także dodała ducha tym, którzy nad jej poszerzeniem pracują.

Wizyta kończy pewien ważny okres dialogu. Była bowiem czymś w rodzaju ogólnonarodowego plebiscytu. Naród — nie bójmy się tego słowa, bo nie mamy podobnego na określenie tego, o czym myślimy — zasadniczo cały naród stanął po stronie tych nadziei, których symbolem stał się Papież-Polak. Cóż jest rdzeniem owych nadziei? Wydaje mi się, że jest nim szczególna koncepcja godności osoby ludzkiej. Wszystkie wystąpienia Jana Pawła II w Polsce były wykładnią owej koncepcji. W koncepcji tej znalazły miejsce inne wartości: godność Polaka jako dziedzina heroicznej historii narodu, godność człowieka pracy, o którą chodziło socjalistom, znaczenie wolności, tradycyjnej tolerancji, wierności prawdzie, odwagi w poświęceniu. Myślowa przestrzeń mów papieskich była tak szeroka, że mógł się w niej znaleźć każdy człowiek dobrej woli. Nagle zmieniły się proporcje. To już nie socjaliści i komuniści zapraszają do dialogu i współpracy katolików, ale katolicy całą resztę. Współpraca ta sięga głębiej niż walka o pokój i dyscyplinę społeczną. Chodzi o odbudowę i kontynuację najgłębszych wartości ducha narodowego, symbolizowanych takimi postaciami jak św. Stanisław, bł. Jadwiga królowa, Paweł Włodkowic, Mikołaj Kopernik, O. Maksymilian Kolbe — postacie, które znalazły się w centrum uwagi Jana Pawła II. Budząc poczucie godności, Papież budził nadzieję na miarę tego poczucia. Zarazem umacniał poczucie odpowiedzialności. Wydarzenie pielgrzymki stało się integralną częścią polskiej samowiedzy narodowej. Jak kiedyś treścią samowiedzy narodowej były rozbiory — przykład narodowej klęski, tak teraz stała się nią pielgrzymka, jako symbol niepokonanego ducha.

Czyj w tym sukces, czyja przegrana? Sukces chrześcijaństwa i Kościoła, przegrana marksistowsko-socjalistycznej indoktryna-

cji? To racja. Ale ten, kto tak mówi, nie patrzy dostatecznie głęboko.

Jest to przede wszystkim sukces narodu. To naród dokonał wyboru, to naród odsłonił swe oblicze, to naród pozostał sobą. Przy okazji wszyscy ci, którzy wykreślili ze swego języka pojęcie narodu, zastępując je pojęciem społeczeństwa lub klasy, mogli bezpośrednio zobaczyć, odczuć i usłyszeć to, czym jest naród. To naród a nie taka lub inna klasa okazał się przodującą siłą dziejów. Myślę, że każdy z nas Polaków jakoś wierzy w Polskę. Ale wtedy można było porzucić wiarę na rzecz doświadczenia, wtedy każdy z nas Polski doświadczył. Polska to nie symbol, to nie metafora, to żywy, myślący, czujący, wybierający Naród.

Dopiero poprzez ten wybór możemy mówić o sukcesie chrześcijaństwa. Polega to na tym, że naród wybrał chrześcijaństwo a nie wybrał propozycji terroryzujących. Niektórzy boją się takich stwierdzeń, bo przeczuwają w nich niebezpieczeństwo tryumfalizmu religijnego. Myślę, że są to dwie różne sprawy: tryumf i tryumfalizm. Tryumf chrześcijaństwa jest faktem, ale z tego wcale nie musi być tryumfalizmu. „Nie ma imperializmu Kościoła, jest tylko służba” — powiedział Jan Paweł II w Krakowie na Błoniach. Tryumf ma charakter przede wszystkim etyczny. Nie pozostawia za sobą trupów. Polega on na tym, że właśnie chrześcijaństwo dostarczyło ludziom względnie jednolitego języka — języka zarazem konkretnego i powszechnie zrozumiałego — przy pomocy którego można było ukazać i określić rozmaite formy wyzysku człowieka przez człowieka, charakterystyczne dla tzw. „okresu budownictwa socjalistycznego”. Określając wyzysk, chrześcijaństwo i Kościół brało tym samym w opiekę poszkodowanego człowieka. Opieka ta miała nie tylko charakter deklaracyjny, lecz przeradzała się w praktykę obrony życia, obrony prawdy, prawa do pracy i wolności. Dzięki powszechnej zrozumiałości owego języka, protesty ludzi przeciwko absurdum marksistowskiego terroryzmu stały się mocniejsze o całą siłę ludzkiego sumienia.

Czy można powiedzieć, że Kościół protestował przeciwko szczegółom, ale zasadniczo akceptował system socjalistyczny? Myślę, że nie można tak powiedzieć. Kościół jeszcze się ostatecznie do tego systemu nie przekonał. O tym wydają się przypominać „błędni rycerze socjalizmu”. Ani razu w listach i dokumentach Episkopatu nie znalazło się słowo „socjalizm”, i to nawet w sensie opisowym. Nie było go też w wystąpieniach Papieża. Jan Paweł II mówił ogólnie o „systemie pracy” (przemówienie w Nowej Hucie). Co oczywiście nie znaczy, że Kościół akceptuje kapitalizm. Tego słowa także nie ma w języku współczesnego Kościoła w Polsce. Kościół zachowuje rezerwę. Jest



instytucją, która wymyka się opisanemu wyżej błędnemu kołu określeń używanych przez niektórych „etyków” idei socjalistycznej.

W sukcesie chrześcijaństwa mieli udział myśliciele katolicycy, choć raz jeszcze trzeba podkreślić, że zasadnicza krytyka filozofii marksistowskiej w Polsce nie wyszła spod ich pióra, lecz spod pióra samych marksistów. Krytyka zewnętrzna ze strony chrześcijan dotyczyła bądź spraw marginesowych, bądź — przeceniając walor intelektualny marksistowskich propozycji — chyliła czoło przed banałami. Trzeba przyznać rację niektórym marksistom, że znajomość marksizmu w środowiskach intelektualnych katolickich nie była zbyt wielka. Tak więc myśliciele katolicycy ani nie przeszczepili na grunt polski zachodniej krytyki marksizmu, ani nie wymyślili własnej.

Należy również podkreślić, że Kościół wyszedł z konfrontacji z marksizmem w jakimś stopniu oczyszczony, umocniony. Wzrost autorytetu Kościoła wynikał również z Soboru Watykańskiego II. Reformy soborowe w Polsce miały swoisty przebieg i zdecydowanie przyczyniły się do umocnienia i pogłębienia religijności w kraju. Kościół, jak się wydaje, zrozumiał nieco lepiej, że jego główna siła społeczna bierze się z wiary ludu, z siły narodu, z prezentowania i reprezentowania jego etycznych tradycji. Zrozumiał też, że siła wiary prostego ludu byłaby ślepa, gdyby nie refleksja intelektualistów, pisarzy, twórców kultury narodowej. Stąd głęboka więź Kościoła ze społecznością ludzi tworzących naukę i kulturę — więź, której na taką skalę przed wojną nie było. Kościół oderwał się również od przywiązania do własności prywatnej, uwolnił się od obsesji posiadania. Własność prywatna przestała być dla niego bożkiem, dogmatem życia codziennego, ośrodkiem codziennej troski, jak to — niestety — możemy zauważyć tu i ówdzie na Zachodzie. Stąd poczucie niezależności i duchowej swobody. Nauczył się też bardziej ewangelicznym językiem mówić o godności człowieka, o jego wolności, o istocie narodu. Kościół okazał się inny niż uprzednie o nim wyobrażenia. Kościół przystawał do obrazu krytyków, przekroczył nawet wyobrażenia chwalców. Nigdy nie zwalczał wprost systemu politycznego, w jakim się znalazł, ani sojuszków, w jakie system ów wprowadził nasz kraj. Ale też ich *a priori* nie uznawał. Był czujny na konkretne wydarzenia, jakie niósł czas. Bardziej był nastawiony na „propozycję”, niż na „opozycję” wobec władzy. Budował i stwarzał takie wartości, które są ponad przemocą. Chronił narodową nadzieję. Gdy Jan Paweł II ucałował swą ojczystą ziemię, wszyscy doznali wzruszenia, że oto przybył do kraju ktoś, kto stał się symbolem niezależnej i niepodległej Polski. Był nie tylko Osobą, ale był też i Myślą. Pokazał, jak można

przeżyć socjalizm, zachowując czyste sumienie. Jeszcze nigdy w dziejach narodu tyle treści nie zogniskowało się w jednym człowieku.

Kościół Polski przez z górą trzydzieści lat żyje i współżyje z procesami „budownictwa socjalistycznego”. Jest zanurzony w socjalizowaniu, jak ryba w wodzie. Raz po raz jest zmuszony do składania protestów. Czy fakt takiego współżycia nie sprawia, że przejmuje on coś od swego przeciwnika?

Być może należałoby powiedzieć tak: Kościół dokonał w pewnym momencie jakby aktu „przejęcia inicjatywy” etycznej z rąk swych przeciwników, w wyniku czego to właśnie Kościół będzie się teraz upominał o realizację podstawowych ideałów społecznych, stanowiących dotychczas podstawowy horyzont etyczny marksizmu. Kościół i chrześcijanie odkryli jakby drugie dno marksistowskiej myśli. Odnaleźli tam trochę zakurzone, trochę zniekształcone, własne ideały społeczne. Nie ma w tym nic dziwnego. Marksizm był przecież rodzajem neopogaństwa, które zrodziło się po klęsce chrystianizacji Europy. Chrześcijanie w Polsce zdają się odkrywać swe własne chrześcijaństwo po klęsce procesów „budownictwa socjalistycznego” w Polsce. W pewnym więc sensie są „neo-chrześcijanami”, to znaczy tymi, którzy nawiązali do chrześcijaństwa w wyniku konfrontacji z przeciwnikami religii. Neo-chrześcijaństwo” byłoby więc zwrotem do źródła — wspólnych źródeł myśli europejskiej, zarówno religijnej jak ateistycznej. Jest też próbą przejęcia inicjatywy — nie politycznej, lecz etycznej — od marksistów, inicjatywy polepszenia świata ludzkiej pracy. Jest to ogromnie ważny moment. Przejęcie inicjatywy od przeciwnika sprawia, że przeciwnik przestaje już być potrzebny na świecie.

Ważnym następstwem konfrontacji jest, jak mi się wydaje, lepsze zrozumienie przez katolików sensu i wartości ateizmu. Można powiedzieć tak: dla ateisty religia nie jest potrzebna do tego, by był ateistą, tymczasem dla wierzącego ateizm jest konieczny jako czynnik oczyszczający jego wiarę w Boga. Na tym zdają się polegać wyniki licznych refleksji nad ateizmem, w które obfitowała myśl chrześcijańska ostatniej doby. Ateizm został w pewien sposób wintegrowany w chrześcijaństwo, jako szczególna postać teologii negatywnej. Nie znaczy to, że Kościół akceptuje tym samym teizm jako ostateczny wyraz ludzkiej myśli. Znaczy to tylko, że traktuje go dialogowo. Widzi, że bez uwzględnienia tego, co o nim sądzą ateści, nie zdoła osiągnąć pełnej prawdy o sobie. To głęboko zmienia ducha katolicyzmu. Czyni go otwartym, tolerancyjnym, w pełnym tego słowa znaczeniu — dialogowym.

A co na tym tle stało się z marksizmem? Czym staje się marksizm w Polsce po wizycie Jana Pawła II?

Kiedys K. Marks pisał o religii, że zniknie ona wtedy, gdy okaże się niepotrzebna. Nie zniknie więc ona, zdaniem Marksa, w wyniku polemik, postępu wiedzy czy nacisku przemocy, ale tak jakoś bardziej zwyczajnie, jak zniknął kołowrotek w dobie przemysłu tkackiego. Dzieje socjalizmu jakoś nie zweryfikowały tej teorii. Wydaje się jednak, że paradoksalnym zbiegiem okoliczności teoria Marksa sprawdza się w dziejach samego marksizmu. Nie należy przesadzać, gdy idzie o znaczenie teoretycznych sporów z marksizmem. Marksizm może trwać w politycznym systemie zwanym socjalizmem nawet wtedy, gdy w kraju nie będziemy mieli ani jednego przekonanego marksisty. Ważniejsze od sporów na poziomie teorii są niepokoje odnośnie całego ethosu tej filozofii. Marksizm w Polsce przestał być myślą demaskującą wyzysk pracy i inspirującą przemiany społeczne w kierunku jego zniesienia a stał się myślą nastawioną na jeden główny cel — na usprawiedliwienie aktualnego systemu i jego wad jako obiektywnych konieczności. Stąd rodzą się niepokoje, które mają charakter etyczny i ogarniają wszystkich a nie tylko specjalistów od ideologii. Obecnie narasta świadomość innego pytania: po co i komu potrzebny jest jeszcze marksizm? Pytanie nie dotyczy takiej czy innej tezy, ale źródeł etycznych całego procesu ideologizacji i całej myśli marksizmu. Po co jest potrzebny marksizm? I komu jest potrzebny marksizm?

Dwa te pytanie zdają się streszczać aktualną sytuację naszego dialogu — określać ostatecznie jego polski, współczesny kształt.

ks. Józef TISCHNER

W związku z przygotowaniem do obchodów 25-tej rocznicy wydarzeń w Poznaniu w czerwcu 1956 roku, Sekcja Informacji NSZZ „Solidarność” w Poznaniu zbiera materiały i dokumenty dotyczące tych wydarzeń, niezbędnych do opracowania szczegółowej monografii. Ze względu na brak dokumentacji na ten temat w Kraju i trudności w dostępie do istniejących materiałów Sekcja apeluje o nadsyłanie wszelkich materiałów i relacji, znajdujących się na Zachodzie na adres:

**Społeczny Komitet Budowy Pomnika Ofiar
Poznańskiego Czerwca**

60 558 POZNAŃ, ul. DŁUGOSZA 18 a.

Tel.: 468 19

Dziennik pisany nocą

Neapol, 8 stycznia 1981

O okolicznościach śmierci Osipa Mandelsztama wiadomo mało i mgliście, wersje są różne. Według jednej zaczął zdradzać objawy zaburzeń psychicznych podczas transportu z Moskwy do władystockiej *pieresyłki* we wrześniu 1938 (po powtórnym aresztowaniu w maju tego roku), podejrzewał że go chcą otuć, nie przyjmował więc dziennej racji i podkraślał jedzenie innym więźniom; nie ustało to i w obozie tranzytowym we Władystoku (skąd więźniowie, w miesiącach sprzyjających nawigacji do Magadanu, przewożeni byli na Kołymę), wyrzucono go z baraku, czatował brudny i prześmierdły koło śmietnika, żywił się odpadkami, czasami podkarmiali go lekarze z ambulatorium, niegdys czytelnicy jego poezji. Inna wersja, literacka, zawarta jest w krótkim opowiadaniu kołymskim Szałamowa o śmierci poety w łagrze: dogorywający poeta leży bez ruchu na pryczy, komponuje w myślach swoje ostatnie wiersze; z zapadnięciem nocy umiera; przez dwa dni współwięźniowie w baraku ukrywają jego zgon, by pobierać należny mu *pajok*. „Umarły leżał z podniesioną do góry ręką, podobny do kukły. Umarł przed datą swej śmierci, szczególnie niebłahy dla biografów”. Nie jest pewne czy wzięli ten szczegół pod uwagę, ustalając datę śmierci na 27 grudnia 1938.

Nadieżda Mandelsztam umarła 29 grudnia 1980, prawie dokładnie w czterdziestą drugą rocznicę śmierci męża. *Mienia naszi cari bojatsia*, lubiła w ostatnich latach życia zapewnić zagranicznych gości, zdumionych i równocześnie zaniepokojonych coraz większą ostrością jej wypowiedzi o „więziennych cywilizacji” systemu sowieckiego. Nie, nie była to mieszanina kokieterii i zu-

chwalstwa starej, samotnej kobiety. „Starucha która nie boi się niczego i nienawidzi siły” (jej własne słowa) wyciągnęła z okresu prześladowań i cierpienia naukę, że odwaga jest jedyną odpowiedzią na terror; i że na nią tylko licząc, broniąc do upadłego jej resztek choćby, udaje się nawet zaszczepić trochę strachu prześladowcom nienawykłym do oporu ofiar, zdezorientowanym wobec tak upartego zakorzenienia godności ludzkiej. Ledwie jednak Nadieżda Mandelsztam umarła, „carowie” otrząsnęli się ze swojej odrobiny strachu. Przywłaszczyli sobie natychmiast zwłoki, trzymając na odległość przyjaciół zmarłej i przez kilka dni zwlekając z wyznaczeniem cmentarza i miejsca na grób. Opieczętowali jej moskiewskie mieszkanie, przekonani może że nareszcie zagarną sekretne cymelia archiwum mandelsztamowskiego. Na szczęście, Nadieżda Mandelsztam przygotowała zawczasu swoje odejście. W testamencie z roku 1966 powierzyła opiekę nad papierami męża i swoimi „komisji sprawiedliwych”, jedenastu „osobom uczciwym” wymienionym z nazwiska w specjalnym aneksie, aby spuścizna nie wpadła w ręce tego „asyryjskiego monstrum jakim jest państwo sowieckie”. Gdyż „nie nadzorcy więzienni powinni dziedziczyć po galerniku, lecz ci co z nim razem byli przykuci do galery... niech państwo bierze spadek po tych, którzy mu zaprzęдали swoje dusze”. Z czego wolno wnosić, że w czternaście lat później wysłannicy „carów” opieczętowali rzeczy o nikomej lub żadnej wartości.

„Zawsze zazdrościłam Antygonie: nie tej która za rękę wodziła ślepego ojca, lecz tej która oddała życie za prawo pogrzebania brata... Dobrze musi być życie w małym kraju, gdzie nie zatykają ust krzyczących w obronie własnych praw, gdzie można wykraść zakazane zwłoki, a nie przetrząsać w trójkę — Mandelsztam, Achmatowa i ja — laski pod Petersburgiem w poszukiwaniu grobu rozstrzelanego poety (Gumilewa, męża Achmatowej, rozstrzelanego przez bolszewików w roku 1921)... Ja, wdowa która nie pochowała swego męża, składam ostatni hołd trupowi oznaczonemu tylko tabliczką u nogi, wspominając go i oplakując; mój płacz jest bez łez, my wszyscy należymy do pokolenia o wyschniętych oczach. Oczekuję wciąż, że przyjdą by zabrać mi te moje karteluski. Jeśli przyjdą, będą musieli zabrać także mnie. A jeśli zabiorą i mnie, przestanę zazdrościć Antygonie”.

Sama Nadieżda Mandelsztam określiła tu najlepiej swoje dwa wspaniałe tomy, *Wspomnienia* i *Księżę Drugą*, które śmiało można zaliczyć do książek tej rangi co *Doktor Żiwago* Pasternaka, *Requiem* i *Poemat bez bohatera* Achmatowej, *Mistrz i Małgorzata* Bułgakowa, powieści Sołżenicyna i jego *Archipelag*. Nie zdołano jej odebrać wykradzionych „zwłok zakazanych”, ani „zatkać ust krzyczących w obronie własnych praw”. W setkach

swoich „karteluszków”, nasłuchując czy nie puka ktoś do drzwi, pogrzebała trupa męża i poety „z tabliczką u nogi”. Więcej, wystawiła mu niezniszczalny pomnik na tle epoki terroru. Wystawiała go cierpliwie, przeobrażona przez miłość i gniew w wielką pisarkę. Gdy dziesięć dni temu wydawała ostatnie tchnienie u progu dziewiątego krzyżyka, kto wie czy nie wpatrzone w rocznicowe ogarki pod młodzieńczą podobizną męża, mogła wyszeptać do siebie: „Nie odeszłam milcząc, jak większość mego pokolenia”. Myślę o niej z głębokim wzruszeniem i z ogromnym podziwem. *Requiem* za nieustraszoną Antygonę rosyjską.

Rzym, 11 stycznia

Rzym w zimowym słońcu, jaki jest piękny, wyniosły, bardziej wieczny, jak oczyszcza się w zimnym blasku, jaka przepaść między nim i jego letnim sobowtórem, traktowanym przez hordy turystów, dyszącym w lepkim ukropie, zmęczonym swoją wiecznością. Pewnie w taki dzień jak dzisiaj Stendhal zapisał w swoim rzymskim dzienniku: „W Rzymie zwykła buda bywa często monumentalna”.

Najpierw R. zaprowadził nas do kapliczki, upamiętniającej miejsce w którym papieżycy Joanna powiła dziecko na trasie orszaku z Watykanu do Lateranu. (Ale o tym innym razem, gdy przeczytam pożyczoną mi przez R. książkę D'Onofrio *La papessa Giovanna, Roma e papato tra storia e leggenda*). Potem do Świętego Klemensa i do kościoła-fortecy *Santi Quattro Coronati*. W tym kościele-fortecy jest kaplica, którą uważa się za średnio-wieczny majsterszyk propagandy politycznej. Mistrzostwo nie do pogardzenia i w naszych czasach, warto zatem baczej się przyjrzeć.

Na przełomie VIII i IX wieku ogłoszono *Constitutum Constantini*, rzekomą „donację” Konstantyna z roku 331. Rzekomą, bo dokument był falsyfikatem; tak misternym jednak, że do połowy XV stulecia uchodził za autentyczny. Również sztuka falsyfikacji stała wówczas wysoko.

W owej „donacji” imperator miał jakoby złożyć w ręce papieża (Sylwestra) władzę świecką nad Rzymem, a więc nad Italią i Zachodem. W trakcie niekończących się walk między papieżem i cesarstwem, za panowania Fryderyka II i pontyfikatu Innocentego IV, w kaplicy przybudowanej do kościoła-fortecy zilustrowano w roku 1248 serią fresków główne punkty *Constitutum Constantini*, wraz ze sceną nawrócenia i chrztu Konstantyna, aby wykazać i unaocznnić ikonograficznie istotę „donacji”: że mianowicie, na mocy dokumentu tu oto w obrazach przedsta-

wionego, władza Kościoła Rzymskiego znajduje się ponad władzą cesarską.

Bardzo jest ładna ta „donacja” w obrazach, ładna i sugestywna w swej narracyjnej prostocie i malarskiej naiwności; bardzo też subtelnie, po mistrzowsku rzeczywiście, przechodzi od opowieści do morału politycznego. Na półkolistym fresku pod sklepieniem Chrystus sądzący w otoczeniu apostołów, jako poręka Najwyższego Trybunału. Po czym cykl właściwy. Chory na trąd Konstantyn, któremu lekarze rzymscy przepisali kąpiel w krwi dziecięcej, odrzuca radykalną i okrutną kurację na widok lamentujących matek. Trędowatemu imperatorowi ukazują się we śnie Piotr i Paweł i doradzają, by zwrócił się do papieża Sylwestra, zmuszonego cesarskimi prześladowaniami do ucieczki z Rzymu. Konstantyn budzi się i natychmiast wysyła trzech konnych gońców do kryjówki Sylwestra na górze Sorakte. Przybywa zbiegły papież, Konstantyn opowiada mu o ujrzanych we śnie dwóch „bogach” chrześcijańskich. Sylwester wyjaśnia, że to nie żadni „bogowie”, lecz apostołowie Piotr i Paweł; i wyciąga z *Sancta Sanctorum*, na dowód prawdziwości swych słów, portrety obu apostołów. „Tak, to oni” — przytakuje Konstantyn, przekonany teraz niezbitcie, że wypada mu iść za pozostałymi radami zjaw sennych. A rady były następujące: dać się ochrzcić w wannie przez Sylwestra, co uleczy go zaraz z trądu; później zaś, na znak wdzięczności i odpłaty, wyposażyć w wszelkie dobra ziemskie i nade wszystko w władzę świecką Kościół Rzymski, w osobie jego najwyższego przedstawiciela na ziemi, papieża Sylwestra, spadkobiercy apostoła Piotra. Ochrzczony w wannie przez Sylwestra (w rzeczywistości chrzest Konstantyna odbył się w roku 337 w Nikodemii, na kilka dni przed śmiercią), imperator na klęczkach wręcza papieżowi tiarę cesarską, czyli dokonuje symbolicznego aktu przekazania władzy świeckiej Kościołowi Rzymskiemu. Na fresku zamykającym cykl widać Sylwestra na rumaku cesarskim, prowadzonym za uzdę przez Konstantyna, w drodze do objęcia nad Rzymem władzy religijnej i świeckiej; podwójną inwestyturę symbolizują dwie figury heroldów z krzyżem i mieczem.

Sredniowiecznym majstersztykiem propagandy jest naturalny i prawie niezauważalny automatyzm, z jakim cudowne uleczenie władcy z choroby mistycznej (taką miał sławę trąd w Sredniowieczu) staje się pełnoprawnym tytułem do sięgnięcia po ziemską władzę nad jego podwładnymi.

Neapol, 19 stycznia

W roku 1362 umarł Boccaccio nieprzystojny, bezwstydney,

autor *Dekameronu*, a narodził się Boccaccio „duchowo odmieniony”, skruszony i gotów piórem służyć najświętszej wierze. O „duchowej odmianie” pisarza zadecydowała rozmowa z mnichem, którego przysłał mu kartuzjanin Petroni. Groźba rychłej śmierci i wiecznego potępienia, poparta zapewne wizją strasznej agonii na naszym padole łez i dodatkowych mąk w królestwie piekieł, odniosła upragniony (przez Petroniego i jego wysłannika) skutek. Nowy Boccaccio napisał łacińskie dziełko *De mulieribus claris*, sto sześć medalionów kobiet przesławnych, postaci mitologicznych i realnych, zaczerpniętych ze świata antycznego i chrześcijańskiego. Realna była dla Boccaccia „Joanna Angielka, papieżyca”. Próżno odgadywać jaki byłby jej medalion w dawnym, wyklętym duchu *Dekameronu*. Na szczęście w świeżym, bogobojnym duchu *De mulieribus* zachował przynajmniej pisarską świetność, rytowniczą zwięzłość, wielkiego nowelisty.

„Jan (Giovanni) z imienia zdawał się mężczyzną, był natomiast płci żeńskiej. Dobrze znaną całemu światu i potomości uczyniła ją niesłychana jej pycha.

„Niektórzy mówią, że pochodziła z Moguncji; lecz prawdziwe jej imię jest nieznane, chociaż niektórzy twierdzą, że przed wstąpieniem na tron papieski używała imienia Gilberto. Z pewnych świadectw wiadomo, że jeszcze dziewczicą będąc kochana była przez młodego studenta, którego miłość tak gorąco odwzajemniała, że na stronę odsunawszy dziewczicą wstydlivość i lęk przyrodzony niewiastom, po kryjomu uciekła z domu ojcowskiego w ślad za kochankiem, pod zmienionym imieniem i w szatach młodzieńca. U boku kochanka, który studiował w Anglii, przez wszystkich uważana była za kleryka i tak oto pędziła życie w służbie Wenery i literackich nauk.

„Gdy umarł kochanek, ona, znając własne uzdolnienia i trwając dalej pod urokiem wiedzy, pozostała wierna męskiemu strojowi; nie chciała związać się z innym mężczyzną, ani ujawnić że jest kobietą; z taką zaś pilnością oddawała się studiom, takie pożytki ciągnęła z nauk świeckich i świętych, że ją za wzór stawiano innym.

„Tak oto, przepelniona zadziwiającą wiedzą i bardziej już wiekiem dojrzała, przyjechała z Anglii do Rzymu, gdzie przez kilka lat wykładała, przyciągając sławnych słuchaczy. Ceniono w niej, prócz wiedzy, szczególną uczciwość i czystość, wszyscy więc mieli ją za mężczyznę. Tak tedy, znana dobrze i ceniona wysoko, ze śmiercią Leona V wybrana została papieżem głosami wszystkich kardynałów; przybrała imię Jan. Gdyby była mężczyzną, przysługiwałoby jej imię Jan VIII. Nie wdrażając się przed wstąpieniem na tron piotrowy i udzielaniem sakramentów (co nigdy dotąd nie było przez religię chrześcijańską dozwolone

kobiecie), znalazła się na szczycie apostołatu i sprawowała jako kobieta namiestnictwo Chrystusa na ziemi. Lecz później Bóg z litością spojrział z wyżyn na swój lud i nie pozwolił, by kobieta zajmowała tak ważny stolec, by przewodziła takim krociom ludzkim i zwodziła je tak zgubnym błędem; i pozostawił ją samej sobie, widząc jak jest zuchwała w porywaniu się na rzeczy niestosowne i uparta w przywiązaniu do swego błędu.

„Za podszeptem diabła, który pchnął ją do tak niecej śmiałości i nie dopuszczał odwrotu, ona, uosobienie szczególnej uczciwości i czystości jako kobieta prywatna, po wyniesieniu na tron papieski dała się ogarnąć płomieniem żądz. A tej, co tak dobrze umiała ukrywać swą pieć, nie mogło zabraknąć sposobów nasycenia swej rozwiązłości. Znalazła kogoś, kto ją tajemnie posiadał (ją, następcę Piotra!), podniecając jej piekącą chętkę; i tak doszło do papieskiego poczęcia.

„Niegodziwa nikczemność! Bezgraniczna cierpliwość Boga! Ta, co umiała tak długo mamicić wzrok ludzki, nie potrafiła zasłonić przed światem swego haniebnego porodu. Pewnego dnia, gdy szła w orszaku do Lateranu na uroczysty obchód dni krzyżowych — a była bliższa rozwiązaniu, niż sądziła — i doszła do miejsca między Colosseum i kościołem Świętego Klemensa, bez pomocy położnej urodziła dziecko na publicznej drodze; pokazując tym samym jak długo i zrećnie udawało jej się wszystkich, z wyjątkiem swego kochanka, okłamywać. Przepędzona przez kardynałów, nędznica uciekła z urodzonym właśnie dzieckiem.

„Jeszcze dzisiaj, dla napiętnowania jej sromoty i przedłużenia jej hańby, papież celebrował z klerem i ludem uroczystość dni krzyżowych omijają w procesji obrzydliwe miejsce porodu, które znajduje się w połowie tej trasy; i skracają w boczne zaułki; potem, gdy owo wstrętne miejsce mają już za sobą, wracają na główną drogę i kończą rozpoczęty pochód”.

20 stycznia

Tekst Boccaccia można przyjąć za historię papieżycy Joanny. Inna sprawa, czy za historię naprawdę historyczną, poświadczoną przez dokumenty i wiarygodne przekazy, czy też za historię od początku do końca zmyśloną, za legendę powielaną w ciągu stuleci. Rozstrzygnięciem tego problemu zajmuje się książka D'Onofrio.

Inne wersje samych dziejów papieżycy różnią się od tekstu Boccaccia drobnymi tylko wariantami i niuansami. Czego natomiast u Boccaccia brak (i co w przyszłości kolejni wydawcy *De mulieribus* zwykli byli z własnej inicjatywy dołączać do jego

medalionsu Joanny), to opisu następstw skandalu z papieżycą w mechanizmie intronizacji dalszych papieży. Odtąd, czyli od zde-maskowania i „przepędzenia nędznicy”, każdego elekta natychmiast po wyborze sadzano w Lateranie na porfirowym fotelu z dużym otworem w siedzeniu, po czym najmłodszy z kardynałów przykładał, wsadzał rękę pod spód i sprawdziwszy od dołu w otworze co trzeba, wykrzykiwał: *Testiculos habet, dignus est papali corona*, „ma jaja, godny jest papieskiej korony”. W innych wersjach, oficjalnych i historycznych (rzekomo, jak się okaże), na ten proceder pominięty przez Boccaccia kładziono szczególny nacisk.

Historycznie więc, aż po wybuch Reformacji i rozgorzałych w związku z nią polemik, papieżycy Joanna istniała, chociaż nazywana na przemian to Janem VII to Janem VIII: od średniowiecznego *Liber Pontificalis* do *Vitae Pontificum*, które nadworny historyk papieski Platina napisał na życzenie Sykstusa IV i złożył pokornie u jego stóp w Roku Jubileuszowym 1475. Jej dwuletni przeszło pontyfikat, 855-857, umiejscawiano między Leonem IV i Benedyktem III.

Dopiero luteranie, bez pardonu eksploatując Joannę w swoich atakach na papieństwo, posuwając się do szyderczego okrzyku *Pontificalia habet* sparafrazowanego z okrzyku *Testiculos habet*, spowodowali reakcję Kościoła Rzymskiego. Szarpani i wyszydzeni „papiści” uciekali się do różnych argumentów na dowód nieistnienia Joanny. Z historii przechodziła stopniowo do legendy. Przeszła do niej definitywnie, „przepędzona” (tym razem z mniejszą brutalnością) argumentem głównym: że jej istnienie i pontyfikat zakończony macierzyństwem nie opierają się na niczym poza plotką, średniowiecznym odpowiednikiem współczesnego zwrotu „jedna pani powiedziała”.

Gwóźdź do trumny „historycznej” papieżycy wbija w swojej książce D'Onofrio, ale usiłując równocześnie odpowiedzieć na pytanie skąd się wzięła i jak powstała legenda. Jego przekonywujący wywód jest zabiegiem odwrócenia porządku legendy. Epizod kobiety na papieskim tronie pociągnął za sobą wprowadzenie rytuału, w którym weryfikowano męskość jej następców. A może w zamierzonych czasach papieństwa przyjęty był jakiś rytuał intronizacyjny, podobny zewnętrznie do domniemanej weryfikacji męskości, lecz w rzeczywistości o zupełnie odmiennym znaczeniu? I może to on zapłodnił ludzką wyobraźnię epizodem papieżycy w męskim przebraniu, ze wszystkimi konsekwencjami maskarady? Punktem centralnym dochodzenia staje się tu ów porfirowy fotel z dużym otworem. Otóż jest on imperialnym fotelem położniczym, na którym żony imperatorów rzymskich rodziły według antycznych (i zachowanych w Średniowieczu) me-

tod akuszerii. Pod koniec pierwszego tysiąclecia rytuał sadzania na nim papieży był przypuszczalnie symbolicznym wyrazem *Mater Ecclesia*, zwłaszcza że ceremoniał przewidywał iż siadający musi przybrać pozycję „jak gdyby leżał”; pozycję zalecaną właśnie matce-położnicy w dawnych operacjach porodu.

„Joannę Angielkę” wciągają tu, do mojego dziennika, nie tylko jako znakomity przyczynek do okoliczności towarzyszących „kształtowaniu się historii”. Rzecz w tym, że sugestywna legenda silniejsza jest od prawdy. Komu sławną papieżycę, przemądrą lubieżnicę, zastąpi fotel położniczy, choćby porfirowy, choćby imperialny, choćby do tak wzniosłych w Lateranie powołany celów?

Jak to się stało, że Joannę przeoczył lub zlekceważył zapalony „kronikarz włoski” Stendhal?

28 stycznia

Sto lat temu umarł Dostojewski. „Ubóstwiana” Ania dość dokładnie opisuje jego śmierć w swoich *Wspomnieniach*. Można jej wierzyć: nagość śmierci trzyma na uwięzi wszystkie pokusy memorialistyki egzaltowanej.

Rok 1881 zaczął się dobrze, zdawała się trwać szczęśliwa nareszcie passa poprzedniego. A poprzedni był znakomity, prawie triumfalny: entuzjastyczne przyjęcie *Braci Karamazow*, pasowanie Dostojewskiego na „proroka” podczas obchodów puszkiniowskich w Moskwie, ogromny sukces jedyne numeru *Dziennika pisarza*, uzdrowienie finansów rodziny, trzeci z rzędu rok bez ani jednego ataku epileptycznego. W styczniu 1881 Dostojewski, w wyborzym humorze i pełen energii, nie chciał nawet słyszeć o zasłużonym odpoczynku; planował już dalszy ciąg *Braci Karamazow* (w dwadzieścia lat później), w połowie miesiąca zabrał się do pracy nad kolejnym numerem *Dziennika pisarza*. Skończył go i posłał do drukarni 25 stycznia, tego dnia urządzono w domu „wieczór towarzyski”, goście nie mogli się nadziwić pogodnemu usposobieniu gospodarza, na prośbę jakiegoś zaproszonego profesora zgodził się wygłosić 29 stycznia odczyt na uniwersytecie o Puszkynie w rocznicę śmierci poety. Naza jutrz wstał jak zwykle o pierwszej i opowiedział Ani o „drobnym wypadku” w nocy. Upadło mu ulubione pióro i potoczyło się pod półkę z książkami, musiał więc ciężką półkę odsunąć, a wysiłek był tak wielki, że pękła mu arteria płucna i krew rzuciła się gardłem. Nic poważnego, nie ma powodu do niepokoju. Innego zdania była Ania, wezwała natychmiast lekarza. Krwotok, o wiele gwałtowniejszy, powtórzył się w trakcie oględzin

lekarskich. Dostojewski poprosił o księdza, długo się spowiadał, przyjął Komunię Świętą. Najgorsze minęło, brzmiała diagnoza zwołanego zaraz potem konsylium lekarskiego. 27 stycznia upłynęła w istocie spokojnie. Gdy Ania obudziła się 28-go rano, Dostojewski leżał z szeroko otwartymi oczami. „Od trzech godzin już nie śpię, wiem że dzisiaj umrę. Zapal świecę i podaj mi moją Ewangelię”. Chodziło o Ewangelię podarowaną mu niegdyś w drodze na katorgę przez żony dekabrystów, o „jedyną książkę, którą wolno było mieć w ostrogu”. Usnął niebawem. O jedenastej przebudził się, krztusząc się i dusząc od krwotoku. Umarł wieczorem, wkrótce po następnym krwotoku. W godzinę później zajechał przed kamienicę brat Ani, prosto z podróży, nic jeszcze nie wiedząc o chorobie szwagra. Koło bramy kręciło się kilku mężczyzn w długich kaftanach. Jeden wbiegł za nim na schody: „Niech pan się wstawi, aby zamówienie dano mnie”. „Jakie zamówienie?”. „Jestem z zakładu pogrzebowego, chodzi o trumnę”. „A kto umarł?”. „Jakiś tam autor, nie pamiętam nazwiska, stróż o tym mówił”.

W stulecie śmierci „jakiegoś tam autora” ciekawsze jest pytanie o jego pozycję i poczytność w Rosji, niż o to czy i na ile trwa jeszcze fascynacja nim na Zachodzie. W Rosji (i w nieco mniejszym stopniu w krajach „bloku”) czyta się wciąż Dostojewskiego, roztrząsa jego „przekłete problemy”, jak gdyby był pisarzem bardziej współczesnym od kalendarzowych współczesnych. Na Zachodzie, ogólnie biorąc, panuje tendencja wyznaczania mu poczesnego kącika w szafie arcydzieł dziewiętnastowiecznej powieści, które należy czcić na słowo honoru i na zasadzie „skarbnicy”, bez nadmiernie częstego odkurzania. W dobrym jest także tonie krzywić się lekko z pobłażliwym, głupkowato-przemądralym uśmiechem — zrobił to właśnie Moravia z okazji obecnego stulecia — na „ograniczenia” Dostojewskiego „w świetle determinizmów Marksa i Freuda”.

Dwudziestoletnia proskrypcja stalinowska Dostojewskiego dowodzi, jak się infiltracji jego „jadów” obawiano w okresie przyspieszonego ulepiania „człowieka sowieckiego”. Dopiero w roku 1956 wydano jego dzieła wszystkie, choć z pewnymi pominięciami. I kontynuując porewolucyjne kryterium „dwóch Dostojewskich”: jednego „do przyjęcia”, malarza niesprawiedliwości społecznej w *Skrzywdzonych i poniżonych*, twórcę postaci zbuntowanej przeciw kapitalizmowi lichwiarskiemu w *Zbrodni i karze*, piewę *carmen horrendum caratu* w *Zapiskach z martwego domu*; drugiego, autora *Biesów* i *Braci Karamazow*, dwuznacznego

oszczercę, mistyka na usługach cerkwi prawosławnej. Ale wobec Dostojewskiego czytanego w Rosji klasyfikacje i wskazówki „wychowawcze” znaczą i zawsze znaczyły mało, zresztą zmieniają się i zmieniały w przeszłości zależnie od miejsca i czasu. Jeden z rozdziałów mojego *Innego Świata* jest opowieścią o lekturze „*carmen horrendum caratu*” za drutami obozu sowieckiego. Zdarzyło mi się też oglądać wydanie *Biesów* z końca 1941 roku, poprzedzone wstępem w którym powieść Dostojewskiego zrehabilitowano nagle jako dalekowzroczną wizję i „przeczenie hitleryzmu”. Łatwo sobie wystawić z jakimi uczuciami to „przeczenie” śledzili, pochłaniając *Biesy*, poddani Stalina.

Naturalnie *Biesy* są dziś w Rosji, i w zachodnich marszach imperium, głównym arcydziełem Dostojewskiego „wciąż żywego”. A w *Biesach*, jak sądzę, rozdział *Wśród naszych*. Przytacza się zeń najczęściej słowa Szigalewa o „nieograniczonej wolności która prowadzi do nieograniczonego despotyzmu”, oraz postulat „ścięcia stu milionów głów i przeskoczenia rowu”. Szigalewa nie wolno redukować do kilku słów, trzeba go pamiętać w całości: „Zapłatałem się we własnych wywodach i konkluzja moja pozostaje w całkowitej sprzeczności z pierwotną ideą, która jest u mnie punktem wyjścia. Zaczynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieograniczonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego rozstrzygnięcia zagadnień społecznych nie ma i być nie może”. Groza tkwi w ostatnim zdaniu.

„Przeczenie hitleryzmu”... A może coś w tym jest, niezależnie od intencji propagandowych topornego przedmówcy sowieckiego? W wydanej po włosku książeczce *L'Estetica del nichilismo* komparatysta niemiecko-amerykański Lienhard Bergel zestawia *Biesy* z *Doktorem Faustusem*, Stawrogina z Adrianem Leverkühnem, „rewolucję postępową” Szigalewa z „rewolucją konserwatywną” mannowskiego doktora Breisachera. Goebbels, gdyby chciał przyjąć wyzwanie, miałby pełne prawo pod koniec 1941 roku nakazać wydanie *Biesów* po niemiecku z przedmową o „przeczeniu bolszewizmu”.

31 stycznia

Znany pisarz hiszpański Jorge Semprun, ex-komunista i to wysoko postawiony w hierarchii partyjnej, u boku Carrilla, podsumowuje swoją opowieść autobiograficzną *Quel beau dimanche!*: „Moja książka *Le Grand Voyage* była w druku, gdy przeczytałem *Dzień Iwana Denisowicza*. I tak, jeszcze przed ukazaniem się mojej książki, wiedziałem już że kiedyś będę musiał napisać ją na nowo. Wiedziałem już, że będę musiał zburzyć tę

niewinność pamięci. Wiedziałem że będę musiał na nowo przeżyć doświadczenie Buchenwaldu, godzina po godzinie, z rozprawną świadomością równoczesnego istnienia obozów sowieckich, Gułagu Stalina. Wiedziałem też, że jedynym sposobem powtórnego przeżycia tego doświadczenia byłby jego opis z pełną znajomością rzeczy: w oślepiającym świetle reflektorów Kołymy, skierowanych na moje wspomnienie Buchenwaldu. Krótko mówiąc, nic jeszcze nie napisałem. Nic istotnego, w każdym razie, nic prawdziwego. Napisałem bez wątpienia prawdę, tylko prawdę. Gdybym nie był komunistą, wystarczyłoby to co napisałem. Gdybym był chrześcijaninem, socjaldemokratą, nacjonalistą, lub po prostu patriotą, wystarczyłaby prawda mojego świadectwa. Ale nie byłem chrześcijaninem, ani socjaldemokratą, byłem komunistą. Cały tok narracyjny *Le Grand Voyage* nasycony był miłcząco, bez akcentowania tego na pokaz, komunistyczną wizją świata. Cała prawda mojego świadectwa związana była pośrednio, ale w sposób wyraźnie warunkujący, z horyzontem społeczeństwa wolnego od alienacji: społeczeństwa bezklasowego, w którym łagry byłyby nie do pomyślenia. Cała prawda mojego świadectwa namaszczona była świętym olejem tego ukrytego, dobrego samopoczucia. Ale horyzont komunizmu nie był horyzontem społeczeństwa bezklasowego: mam oczywiście na myśli horyzont realny, historyczny. Horyzont komunizmu, o niemożliwych do wytknięcia granicach, był horyzontem Gułagu. Naraz cała prawda mojego świadectwa stawała się kłamstwem. Przy najmniej dla mnie. Mogłem sobie wyobrazić czytelnika nie komunistę, dla którego taki problem nie istniał, dla którego prawda mojego świadectwa była prawdą *tout court*, przy tym głęboko odczuwaną. Lecz ani ja, ani żaden czytelnik komunista — żaden w każdym razie czytelnik, który komunizm utożsamiał z nowym wszechświatem moralnym — żaden więc czytelnik komunista, choćby się taki znalazł tylko jeden, nie mógł jak i ja sam uznać prawdy mojego świadectwa o hitlerowskich kacetach. Po latach, na uniwersytecie Yale, to właśnie chciała bym zrozumieć, i sama chciała dobrze zrozumieć, młoda Polka, pokazując mi książkę Herlinga-Grudzińskiego *A World Apart* podczas naszej rozmowy o *Le Grand Voyage*”.

Trudno mi oprzeć się pokusie zacytowania tego przydługiego fragmentu. Nie dlatego że Semprun wspomina w nim mój *Inny Świat* (wspomina go zresztą w swojej książce wielokrotnie, prawie jako nić przewodnią jednego z wątków narracyjnych), ale dla zamknięcia wertowanej często w moim dzienniku sprawy. Zastługą Michała Hellera było sprzeżenie opowiadań kołymskich Szwałomowa z opowiadaniem oświęcimskimi Borowskiego, a zrobił to uderzony podobieństwami nie jedynie pisarskimi. Nikt,

komu rzeczywiście zależy na przeniknięciu istoty naszego wieku („Wieku mój, zwierzu mój, kto potrafi zajrzeć w twoich źrenic głąb”... Mandelsztam w roku 1923), nie może uciec przed „reflektorami Kołomy skierowanymi na Buchenwald”. Zwłaszcza, jeśli był kiedykolwiek komunistą w dobrej wierze. Co jednak — wolno tu zapytać — znaczy w naszym „wilczym wieku” dobra wiara? Przed powrotem do kraju Borowski mieszkał jakiś czas w Monachium, w Monachium *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec* Hostowca, gdzie tak czy inaczej załamany i mniej czy więcej rozrzedzony docierał przecież odbłask „reflektorów Kołomy”. Poza wszelką łatwą moralistyką, poza dociekaniem pobudek czysto osobistych a zatem nieuchwytnych dla postronnego widza, upraszcza się i zarazem niepotrzebnie gmatwa tragedię Borowskiego, sprowadzając ją do dziejów „nieszczęśliwego kochanka” Historii, „zawiedzionej miłości do świata i ludzi”.

3 lutego

Blisko dziesięć lat temu odnotowałem w moim dzienniku (kto ciekaw, niech zajrzy do pierwszego tomu) książkę sowieckiego sinologa Żełochowcewa *Kulturowa rewolucja s blizkiego rasstojanija — Zapiski oczewidca*. Dostyć niezwykły wyczyn, który mnie osobiście przysporzył w czytaniu sporo uciechy: opis chińskich „rewoltujących i karygodnych anomalii”, dokonany wytrawną ręką sowieckiego poddanego, czyli nie *oczewidca* już, lecz uczestnika i ofiary identycznych „anomalii” ojczystych; prawie pamflet antysowiecki w dozwolonym, a nawet zalecanym lub zleconym, przebraniu pamfletu antymaoistowskiego. Pozostanie sekretem autora, czy wykorzystał świadomie znakomitą sposobność rozliczenia się w masce z ustrojem własnego kraju, czy też nie zdawał sobie po prostu sprawy, że jego książka parafrazuje okrzyk Gogola: „Kogo obsmarowujecie? Samych siebie, samych siebie!”. Takie płała figle „ideologiczny” spór w rodzinie.

Oczewidcem, śledzącym „na bliski dystans” chińską rewolucję kulturalną, jest również sinolog belgijski Simon Leys (prawdziwe nazwisko: Pierre Ryckmans) w książce *Ombres Chinoises*. Wyszła i przeszła bez większego echa we Francji w roku 1974, od jakiegoś czasu ma szalone powodzenie w Stanach Zjednoczonych i w Anglii jako *Chinese Shadows*. Mary McCarthy nazywa ją „arcydziełem”, „klejnotem”, „klasykiem” w najlepszej tradycji pamfletowej Woltera i Monteskiusza. Jest pamfletem, Leys podkreśla to z naciskiem, prezentując ją od razu na wstępie fragmentem eseju Orwella: „Pamflet winien się stać główną formą literacką wieku takiego jak nasz; żyjemy w czasach gwałtownych

namiętności politycznych, kanały swobodnego wyrazu zanikają, zorganizowane kłamstwo prosperuje na skalę nigdy dotąd nie-spotykaną; pamflet służy idealnie do zatykania dziur historii”. Orwell zresztą, naturalnie Orwell z *Roku 1984*, patronuje całym *Chińskim ceniom*. W pewnej chwili sinolog belgijski wyznaje to wprost: „Odczytując na nowo *Rok 1984*, napisany przed powstaniem Chińskiej Republiki Ludowej, wpada się w osłupienie na widok jego niesamowitych właściwości profetycznych. Pisarzowi angielskiemu nie śniło się jeszcze o Chinach Mao, a przecież potrafił je opisać aż do konkretnych szczegółów życia codziennego (podkreślenie Leys’a) z większą wiernością i dokładnością, niż dzisiejsi badacze przedstawiający nam tak zwaną realną prawdę po powrocie z Pekinu”.

To co opowiada para sinologów, sowiecki i belgijski, pokrywa się w zasadzie, chociaż Leys przewyższa o głowę swego kolegę z Moskwy inteligencją, darem obserwacji, talentem literackim, subtelnością i dowcipem; i oczywiście góruje nad nim umysłem do czysta wyprzątniętym z wszelkiego śmiecia marksistowsko-leninowskiego. Morał *Chińskich cieni* tkwi w końcowej, gorzkiej i melancholijnej, refleksji. Przez wiele lat modne było w pewnych kołach liberalnej inteligencji życzliwe usposobionych do maoizmu (należał do nich sam Leys) cytowanie, à propos Chińskiej Republiki Ludowej, słynnej „złotej myśli” Samuela Johnsona: „Jeśli nadużycie przybierze ogromne rozmiary, sama natura powstanie zbuntowana i, domagając się swych pierwotnych praw, powali zgniły system polityczny”. Ale jak (pyta Leys) ta „złota myśl” osiemnastowiecznego mędrca, który w dziedzinie zgnilizny politycznej znał tylko wybryki reżymów absolutystycznych, miałyby być zastosowana do współczesnego fenomenu państwa totalitarnego bez precedensu w historii?

Dwudziestowieczny pamflet musi być dziełem dwudziestowiecznego mędrca: takiego jak Orwell, który widział teraźniejszość i patrzył w przyszłość bez przymrużania oczu, a mądrość swego osiemnastowiecznego poprzednika i rodaka zegnał z bólem i z wątłą, niedopaloną i upartą, resztką nadziei.

Urbino, 8 lutego

Wczoraj rano wjechaliśmy do Toskanii nasłonecznionej, zielonkawej, połączanej. Może tylko w Toskanii i Umbrii odpada przegroda między przyrodą i dziełem rąk ludzkich. Wszystko jest jedną integralną całością: architektura nie częścią krajobrazu, lecz jego wiernym odbiciem; malarstwo dalszym ciągiem świata zewnętrznego, albo na odwrót; życie, w małych zwłaszcza mias-

tach, pogłosem rytmu natury. Żadnej przerwy, żadnego proggu i „wyjścia poza”. Złoto w obrazach Beato Angelico? Zgarnięte szpachlę ze wzgórz i pól, przeniesione na płótno, na mur.

W Kortonie, na granicy Toskanii i Umbrii, był sobotni targ. I od razu, na ciasnym rynku pełnym straganów, weszliśmy w skomponowany obraz; jak wchodzi się w sen nie całkiem rozbudzonego człowieka. Chlubą małej galerii między rynkiem i kościołem jest *Zwiastowanie* Beato Angelico. Biedny Vasari, bardzo na ogół elokwentny w pochwałach, nie znajduje słów na wyrażenie swego zachwytu dla braciszka z Fiesole. „Malował tak pięknie, że niepodobna tego opisać czy opowiedzieć”. „Jego figury naprawdę należą do raju i nie można im się dość nadziwić”. A jednak i ten malarski śpiew anielski należy do Toskanii. Tak samo jak *Złożenie do grobu*, które wymalował kortoński mistrz Luca Signorelli. Ze szczytu wzgórza, tuż obok galerii, roztacza się widok na okolicę. I mając oczy pełne jeszcze *Zwiastowania* i *Złożenia do grobu*, wędruje się od złocień horyzontu do cmentarza na dnie doliny, tak położonego by mogli go zewsząd i często oglądać mieszkańcy Kortony.

Potem do Urbino, z postojem w Arezzo. Gdzieś pewnie droga przecina szlaki, którymi dziesięcioletni chłopiec prowadził starego i oślepnęło już Pierro della Francesca. Przeskok z Toskanii do Marche oznacza natychmiastową zmianę pejzażu: znikają pełnia, bogactwo, przejrzystość; pustoszeje nagle i ciemniej. Przed Urbino droga zaczyna się wic i piąć pod górę ostrymi zakosami na jałowym zboczach, trwa to długo, jakby rozkołysana spirala obsuwała się wciąż ze zbocza, a cel podróży oddalał się zamiast przybliżać. Gdy wreszcie wyłania się niespodzianie ogromny Zamek obrośnięty domami, ma w sobie coś z bajkowego zjawiska, gotowego za pierwszym zaklęciem czarodziejskim rozchwiać się i rozpląnąć wolno w powietrzu.

Koło głównej bramy, jednej z wielu, wmurowano tablicę dla upamiętnienia wizyty Montaigne'a w Urbino: w dniu jego przyjazdu odbywał się sobotni targ; uderzyły go strome ulice wchodowo-wychodowe. Gdyby miasto otoczone było fosą, każda z nich kończyłaby się mostem zwodzonym. Twierdza wielkiego mecenatu kulturalnego zachowała charakter zamknięty jeszcze i dzisiaj, leżąc szczęśliwie na uboczu utartych tras turystycznych. Odczuwa się to szczególnie po zapadnięciu zmroku. W odcytnym od świata Urbino spaceruje się jak pod zakopconym kłosem. Na słabo oświetlonych ulicach, w kamiennych kiszkach zaułków, niełatwo odczytać znaki świetnej przeszłości: tu urodził się Rafael, tu pobierał pierwsze nauki malarskie od ojca, zanim Perugino przyjął go do swojej pracowni; tu, w gospodzie „Pod

Gwiazdą”, mieszkał pod koniec życia cały rok Paolo Uccello, zajęty malowaniem dla Urbino *Legendy o sprofanowanej Hostii*.

Nad miastem unosi się duch księcia Urbino, Federico da Montefeltro określanego jednym słowem *Duca*, w czerwieni i o krogulczym nosie z cudownego portretu Piera. W jego *Palazzo Ducale*, wyziębionym i pustym, perły Urbino do których się pielgrzymuje i nigdy nie przestanie pielgrzymować. *Biczowanie* Piera, najwspanialsza wizja obojętności świata. Spokojna, niemal geometrycznie lodowata, tragiczna bez cienia afektacji. Obok tegoż Piera smutna Madonna z Senigallii, ze smutnymi aniołami po bokach (wariant Brzemiennej Madonny w kaplicy cmentarnej w Monterchi), z dziecieniem o twarzy małego starca. O nie, milczący, zamyślony, surowy malarz z Borgo San Sepolcro pod Arezzo to nie brat anielskiego braciszka z Fiesole! Właściwym dla Piera sąsiedztwem jest obraz palenia Żydów w *Legendzie* Uccella.

Pogasły już chyba latarnie, z okna hotelu nie widać nawet murów po drugiej stronie ulicy, błyszczą tylko na czarnym niebie przymknięte oko księżycy. Urbino po Toskanii, w ciągu dwóch dni podróz na antypody.

(*Biczowanie*, Madonnę z Senigallii i portret Rafaela Niema wykradziono kilka lat temu. Po odnalezieniu są dziś odgradzone od widzów takim samym szkłem pancernym, jak *Pietà* Michała Anioła u Świętego Piotra).

Neapol, 17 lutego

Z listu do L., który przed tygodniem przyjechał z Warszawy do Stanów Zjednoczonych na miesięczne stypendium:

„Pytasz czy zmieniłem mój stosunek do włoskiego „eurokomunizmu” w związku z ujawnieniem grudniowej epistoły-reprimendy towarzyszy sowieckich do włoskich, którym dostało się za popieranie sił antysocjalistycznych i kontrrewolucyjnych w PRL; dziś, po przejrzaniu prasy, mógłbyś dodać: i w związku z repliką Berlinguera, podtrzymującego swoje stanowisko w imię zasady, że nie jedna tylko sowiecka droga prowadzi do socjalizmu.

„Nie zmieniłem jeszcze, ale gotów jestem zmienić po spełnieniu podstawowego warunku: zerwania komunistów włoskich z Moskwą, bądź anatemy rzuconej przez Breżniewa na Berlinguera. Zawsze uważałem ten warunek za *sine qua non*. Roztrząsa się tu tło całej afery. Kto spowodował „przeciek” poufnego dokumentu partyjnego? Sensowne domysły są dwa, ale mają wspólny korzeń: Moskwa, aby dźgnąć ostrogą prosowiecki odłam partii; ukryci poplecznicy Moskwy w kierownictwie partii,

aby postawić Berlinguera w trudnym położeniu wobec dołów partyjnych, w znacznej mierze prosowieckich*. Całkowita emancypacja „eurokomunizmu” włoskiego, jego definitywna „schizma”, jest zatem w praktyce problemem rozłamu w partii. W Moskwie wiedzą o tym doskonale, toteż nie wykluczam że ujawnienie dokumentu pomyślano jako szantaż albo co najmniej pogroźkę pod adresem Berlinguera (przy założeniu — do pewności tu daleko! — że z przekonania, a nie z taktycznego wyrachowania na włoskim podwórku politycznym, poparł „socjalistyczną odnowę” w Polsce). O wiele bardziej niż nadwątlony model „socjalizmu realnego” marki sowieckiej, istotny jest dla *wszystkich* komunistów włoskich obraz partii, jaki zostawił im w spadku Gramsci: „nowoczesnego Księcia” (staroświeckim był ten Machiavellego), który „w sumieniach winien zająć miejsce imperatywu kategorycznego lub bóstwa”.

„Tak czy owak, sowieckiej interwencji zbrojnej w Polsce nie powstrzymałyby groźne pomruki ostrzegawcze Reagana, a cóż dopiero naburmuszona mina Berlinguera. Hamulcem jest nadal sama Polska. W następnym liście napisz o tym, darujmy sobie chwilowo marginesowe utarczki między towarzyszami sowieckimi i włoskimi”.

28 lutego

List L. z 22 lutego.

„Piszę do Ciebie na lotnisku nowojorskim, za godzinę odlatuję przedterminowo do Warszawy, wezwano mnie nagle bo pogorszył się stan K. Twój list przyszedł wczoraj, widzę że poprawiła się poczta włoska.

„Więc krótko i pobieżnie, na więcej i lepiej mnie nie stać (zwłaszcza że obok niemiłosiernie wrzeszczy gromadka bachorów). O Jaruzelskim wiem mało, ale w obecnej sytuacji ma to drugorzędne znaczenie. W tym tańcu władzy zachwianej od sierpniowego ciosu dawne sżywne wizerunki naszych wodzów stały się bardziej elastyczne i płynne: Kania, na przykład, startował z niezbyt zachęcającymi referencjami z przeszłości, a przecież sytuacja z miejsca narzuciła mu zmianę partyjnego stylu;

* Dopisek z 1 marca. Ogłoszono wyniki „sondażu socjologicznego”, przeprowadzonego na zlecenie Instytutu Cattaneo w Bolonii. 61 % sekretarzy „sekcji” partyjnych uważa że w ZSSR istnieje, mimo wszystko, socjalizm. 31 % uważa Wiosnę Praską za eksperyment niebezpieczny dla socjalizmu. 28 % usprawiedliwia inwazję Afganistanu. Cyfry wzrastają w odniesieniu do zwykłych członków partii. 79 % uważa ZSSR za kraj socjalistyczny. 68 % ocenia negatywnie Wiosnę Praską.

Moczar z kozackiego atamana, rozkochanego w sławie mołojckiej pogromów, awansował (lub samozdegradował się, zależnie od punktu widzenia) do roli umiarkowanego męża stanu, w dodatku niemal dżentelmena. Coś podobnego zapewne dotyczy Jaruzelskiego, o którym w ogóle wiedziało się zawsze niewiele. W jego nominacji i programowej inauguracji widzę dwie zalety. Po pierwsze, taki trzymiesięczny rozejm jest konieczny: obie strony, władza i „Solidarność” (jako rzecznik społeczeństwa), zaczęły ostatnio robić wrażenie ścigających się samochodów, których kierowcy w miarę rosnącej szybkości tracą panowanie nad kierownicą; „Solidarność” musi uporządkować i okopać to co zdobyła, władza musi ugasić pożar we własnym domu publicznym i prze-mieblować jakoś to co jej zostało po ustępstwach (inaczej przestanie być stroną); wstępnym bilansem zysków po jednej stronie i strat po drugiej będzie zjazd partii. Po drugie, i co może ważniejsze, nominacja Jaruzelskiego oznacza wciągnięcie wojska do wykonywania „umowy społecznej” na drodze wyłącznie politycznej, a im więcej wciąga się w taki układ członów władzy, tym mniej pozostaje luzu dla ewentualnych zwolenników interwencji wewnętrznej połączonej w razie czego z bratnią zewnętrzną. I jeżeli nawet Jaruzelski złoży w końcu broń polityczną, czyli ustąpi albo ustąpią go z urzędu premiera, *potem* dość utrudnione będzie dla niego sięgnięcie po wojskową. Być może, wolno sobie wyobrazić, że w oczach Moskwy zakrawa to wszystko na jakąś powszechną polską znowę, że wywołuje tam zgrzytanie zębów i świerzbienie rąk w duchu *nu wot, kowarnyje Polacziszki*. Ale dopóki zgrzytają tylko bezsilnie zęby i świerzbują tylko odruchowo ręce, *pieredyszka* (żeby znów użyć języka towarzyszy radzieckich) ma szansę stać się czymś trwalszym, niż zwykłe zyskanie na czasie.

„Istnieje jednak i odwrotna strona medalu, należy ją sobie uprzytomniać w myśleniu o przyszłości. Jedność, którą społeczeństwo przeciwstawia dziś władzy, którą na władzę wywiera nacisk a nawet swoisty wpływ, wypuściła z butelki polskiego *dżina* nacjonalizmu, ducha Polaka-katolika. Oby jutro zdołały odżyć tradycje i nurty innej także Polski”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

mówimy coś do siebie
nie słysząc się wzajemnie
robimy różne gesty
nie widząc się nawzajem

siatką ceglanych murów
pokratkowani ludzie
spiętrzeni nieludzko
nad zhańbioną ziemią

próbujemy ożywić
wypełnić spełnić
wspólnym uczynić
to życie

które nam
nie wychodzi

Londyn, 1979

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ

Leszek SZARUGA

NASI BRACIA

Przychodzą z daleka.
Milczą. Dobra nowina
Nie chce im przejść
Przez szczelinę ust.

Nasi milczący bracia,
Którzy wiedzą: to oni
Znają Prawdę.

Mijamy ich na ulicy,
Gdy roztargnieni
Powtarzają bezgłośnie
Jej imię.

Wiersze

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ

POKRATKOWANI LUDZIE

jesteśmy po obu
stronach kurtyny

mówimy do siebie
nie słysząc się nawzajem

kłócimy się ze sobą
nie słysząc się wzajemnie

robimy gesty
które siatką cieni
pokrywają zasłone
wiszącą między nami

kurtyna biegnie
środkiem Sceny

aktorzy po jednej stronie
aktorzy po drugiej

razem
próbujemy robić Teatr
który nam
nie wychodzi

jesteśmy po obu stronach
muru
który milionem ścian
podzielił wspólnotę
na pojedynczych
i samotnych ludzi

POECI-SAMOBÓJCZY

Poeci-samobójcy: powstają o nich legendy, ich śmierć nadaje wyraz dotąd pisanym wierszom — całkiem inny niż ten, który dotąd w nich znajdowano; tak samowolna śmierć staje się dopełnieniem twórczości.

Lecz przecież bywa tak, że człowiek pędzony do masowego grobu, gnany w ogień, układa i spisuje w pamięci poemat o miłości, godności i prawdzie — i może te nieżyjące poematy nadają wyraz naszemu istnieniu.

INWOKACJA

Tomasowi Venclovie

Litwo, ojczyzno moja,
poezjo polska.

Wiesz co wolność
i co niewola.

Świat cię stracił
i milczy.

W tej ciszy
twe imię umiera.

Leszek SZARUGA

Archiwum polityczne

XXVI Zjazd

W dniu zamknięcia XXVI Zjazdu KPZS na Kremlu wydano uroczyste przyjęcie dla zagranicznych delegacji. W imieniu gospodarzy wystąpił niezmożony L. I. Breżniew, który w dniu otwarcia przeczytał wielogodzinna mowę, a w dniu zamknięcia drugą — króciutką. W imieniu gości — stu dwudziestu trzech delegacji zagranicznych — głos zabrał najwierniejszy z wiernych, przykład i wzór — towarzysz Gustaw Husak.

Uartym zwyczajem na Zjeździe poza przemówieniem generalnego sekretarza przemówienie przewodniczącego Rady Ministrów, poświęcone jest jak zwykle zagadnieniom gospodarczym. Nie znaczy to, że zagadnienia gospodarcze — podobnie zresztą jak w ogóle wszystkie zagadnienia — nie są zawarte i rozwiązane w przemówieniu generalnego sekretarza. Ostatnim Zjazdem, na którym doszły do głosu poglądy opozycyjne był Zjazd XV w 1927 roku. Ostatnim zaś Zjazdem, na którym powiedziano coś nieoczekiwanego, był chruszczowowski XX Zjazd w 1956 roku. Poza tym od sześćdziesięciu lat Zjazdy przypieczętowują tylko decyzje podjęte w Biurze Politycznym.

Nie można jednak powiedzieć, że materiały zjazdowe nie przedstawiają żadnej wartości: nad przemówieniami i wystąpieniami pracują w pocie czoła całe brygady fachowców, obwążujących każde słowo, nadających mu tysiące znaczeń: jednych — na użytek odbiorców miejscowych, obywateli sowieckich, drugich — na użytek odbiorców zagranicznych — partii komunistycznych, socjalistycznych i kapitalistycznych, krajów wyzwalających się spod jarzma itd. Adresatów nie brak, jako że KPZS prowadzi „politykę planetarną”.

Występujący na XXVI Zjeździe Breżniew jest o rok starszy od Stalina z czasu, kiedy ów wygłosił pięciominutowe przemówienie na XIX Zjeździe. Stalin zajmuje jeszcze pierwsze miejsce jeśli idzie o liczbę mów wygłoszonych na Zjazdach, jednak Breżniew, mający już na swoim koncie 23, 24, 25 i 26 Zjazd, nie zostaje za nim daleko w tyle. A wszystko jeszcze przed nim...

Zgodnie z żelazną tradycją datującą się od czasów Stalina mowa generalnego sekretarza składa się z trzech części: polityka międzynarodowa, polityka wewnętrzna i sprawy partyjne. W polityce wewnętrznej zasadnicza linia polega na zdecydowanym uchylaniu się od jakichkolwiek reform, na immobilizmie, toteż zmiany dostrzec można tylko w pierwszej części mowy Breżniewa.

Generalny sekretarz ustawia przed sobą w szeregu wszystkie kraje świata i jak nauczyciel w szkole jedne chwali, inne gani. Zaczyna jak zwykle od wyliczenia „kolejnych zwycięstw”, jakimi „może się wykazać rewolucyjna walka narodów”. W 1976 roku Breżniew wymienił zwycięstwa w Wietnamie, Laosie, Kambodży i Angoli. W 1981 roku może się pochwalić dalszymi sukcesami: „Rewolucje w Etiopii, w Afganistanie, Nikaragui, obalenie antynarodowego, monarchistycznego ustroju w Iranie”. Breżniew stwierdza: „Sfera imperialistycznego panowania na świecie się kurczy”, i przypomina następne cele: „Afryka, Basen Morza Karaibskiego, Oceania”.

Wśród „krajów wyzwolonych” Breżniew na pierwszym miejscu wymienia te, z którymi w „omawianym okresie” zawarł układy o przyjaźni i współpracy — Angolę, Etiopię, Mozambik, Afganistan i Ludowo Demokratyczną Republikę Jemenu. Te kraje „kroczą właściwą drogą”. Państwo zabezpieczyło sobie w nich „pozycję u steru gospodarki”, co znaczy że przeprowadza nacjonalizację, po której nastąpi „przejście do planowego rozwoju”, w ślad za którym z chęcią się lud do „spółdzielczości”, czyli kolektywizacji, na której to drodze krzepną „partie rewolucyjne”. Mówca przyznaje, że niektóre „kraje wyzwolone” nieco nieortodoksyjnie wkraczają na „właściwą drogę”: „W niektórych krajach Wschodu w ostatnim czasie aktywnie wysuwają się hasła Islamu”, zauważa Breżniew. Generalny sekretarz nie protestuje jednak: „Walka wyzwolenicza może się rozwijać pod sztandarem Islamu”.

W 1976 roku Breżniew oznajmił: „Partia nasza okazuje i będzie okazywać poparcie narodom, walczącym o wolność”. W 1981 roku poglądów nie zmienił: „Niech nikt nie wątpi, Towarzysze, KPZS tak jak w przeszłości będzie konsekwentnie dążyć do rozwoju współpracy ZSSR z krajami wyzwolonymi, do umacniania więzi między światowym socjalizmem i ruchami narodowo-wyzwoleńczymi”.

W rozdziale poświęconym „krajom wyzwolonym” wymieniony jest Afganistan. „Imperializm prowadzi przeciwko rewolucji afgańskiej wojnę nie wypowiedzianą” — oświadczył mówca. „Stanowi to bezpośrednie zagrożenie także dla naszej południowej granicy”. W 1939 roku zagrożenie dla północno-zachodniej granicy ZSSR stanowiła trzymilionowa Finlandia. Czterdzieści jeden lat później granicom sowieckim zagraża piętnastomilionowy Afganistan, czyli imperialiści, którzy „przeniknęli do Afganistanu”, nawiasem mówiąc pod maską komunistów. „Położenie to zmusiło nas do okazania temu zaprzyjaźnionemu krajowi po-

mocy wojskowej, o którą nas poprosił” — oto breżniewowska wersja wydarzeń.

Rozdział o polityce międzynarodowej ZSSR rozpoczyna się od wystawiania ocen krajom socjalizmu. Breżniew sygnalizuje „jedność poglądów na wszystkie podstawowe problemy rozwoju społeczno-ekonomicznego i polityki międzynarodowej”. W ciągu pięciu lat „odbyło się na Krymie 37 przyjacielskich spotkań na najwyższym szczeblu”. Rezultaty pielgrzymek szefów *soc-krajów* do krymskiego pałacu Breżniewa nie dały na siebie czekać: „Konstytucje większości bratnich krajów wysuwają na czoło idee przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim”, „budowa zjednoczonych sił zbrojnych przebiega harmonijnie”, „ekonomiczna integracja nabiera tempa”.

Breżniew przyznaje, że w szeregu krajów socjalistycznych ostatnie lata „nie były dla rolnictwa najszcześniejsze”, co jednak nie ma zbyt wielkiego znaczenia, bo, jak dowodzą statystyki, „członkowie RWPG byli najbardziej dynamicznie rozwijającą się grupą krajów”.

Niezależny od wszelkich niepowodzeń i katastrof niepomawiany rozwój Związku Sowieckiego i członków RWPG należy do mistycznych tajemnic niedostępnych ludzkiemu rozumowi. Niezadługo przed Zjazdem (22. 1. 1981) *Izwestia* oznajmiły światu: „Przez ostatnie ćwierć wieku tempo wzrostu przemysłu państwowego było w naszym kraju niemal trzykrotnie wyższe niż w USA”. Równocześnie wiadomo, że wydajność pracy w ZSSR jest w najlepszym przypadku o połowę niższa niż w Stanach Zjednoczonych. Gdzie więc podziewa się to „tempo”?

Na idyllicznym obrazie „rozwoju światowego systemu socjalistycznego” widnieje tylko jeden czarny punkt: Polska. „W Polsce — groźnie oznajmił Breżniew — przeciwnicy socjalizmu... zamierzają zawrócić bieg historii w kontrrewolucyjne koryto... W Polsce zostały zagrożone podstawy ustroju socjalistycznego”. Rada Breżniewa jest prosta: „Nie zostawimy w biedzie socjalistycznej, bratniej Polski!”. Słowa te przywitały „burzliwe, długotrwałe oklaski”.

Podczas ostatniego Zjazdu dały się słyszeć cztery rodzaje oklasków: oklaski, długotrwałe oklaski, burzliwe długotrwałe oklaski i burzliwa niemilknąca owacja. Ta ostatnia zabrzmiała tylko raz, na zakończenie mowy Breżniewa. Trzecia kategoria oklasków wystąpiła trzykrotnie: po pogroźce wobec Polski, po wyrazach wdzięczności dla zagranicznych komunistów, walczących za „sprawę narodową”, tj. za rewolucję światową, i po zapewnieniu Breżniewa, że „linią partii — utrwalenie pokoju”.

Od krajów obozu socjalistycznego (poddanych) i „krajów wyzwolonych” (wiernych sojuszników) Breżniew przeszedł do wrogów — krajów kapitalistycznych. Najpierw wystawił im oceny za sprawowanie: Francji wysoką, RFN złą, a potem przeszedł do jedyne go partnera naprawdę godnego uwagi — do Stanów Zjednoczonych. I tu przedstawił cały uwodzielecki program spotkań, konferencji i dyskusji.

Przede wszystkim zaproponował „spotkanie na najwyższym szczeblu”, czyli z Reaganem. Od czasów Chruszczowa przyjęto się, że amerykański prezydent nie może przystąpić do pełnienia swych funkcji zanim go nie pocałuje generalny sekretarz KC KPZS. Breżniew proponuje zatem wznowienie rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych SALT-2, o problemach Zatoki Perskiej z kwestią afgańską włącznie, o rozszerzeniu „strefy zaufania” czyli kontroli na całą europejską część ZSSR, o moratorium na rozmieszczenie w Europie nowych wyrzutni rakiet nuklearnych średniego zasięgu; proponuje też stworzenie „autorytatywnego komitetu międzynarodowego, który by dowiódł, że kwestia zapobieżenia katastrofie nuklearnej jest kwestią życia i śmierci” i zwołanie „specjalnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, aby znaleźć klucz do uzdrowienia sytuacji międzynarodowej”...

Cechą szczególną — jedyną cechą szczególną propozycji Breżniewa — jest to, że na ustępstwa iść ma wyłącznie przeciwnik. Po Afganistanie Breżniew pragnie umocnić kolejne *status quo*. Na to mu jest potrzebne spotkanie z Reaganem. Rozwijając swój plan włączenia się w grupę krajów decydujących o sytuacji w Zatoce Perskiej, Breżniew idzie na rzekomą ofiarę — proponuje włączyć kwestię afgańską w zestaw spraw do omówienia, uprzedzając wszak, że wewnętrzne sprawy Afganistanu rozpatrywane być nie mogą. Ponieważ zaś — zdaniem Breżniewa — przeciwko Afganistanowi toczy się „nie wypowiedziana wojna”, rozpatrywaniu kwestii afgańskiej towarzyszyć musi zamknięcie granic tego kraju z nie-sowieckim światem. Zgadzać się na rozszerzenie strefy kontroli zbrojeń na europejską część ZSSR, Breżniew domaga się w zamian rozszerzenia kontroli na Kanadę i USA. Godząc się na moratorium w Europie, Breżniew ma nadzieję zapobiec instalacji w Europie amerykańskich rakiet Pershing, zachować natomiast rozmieszczone już sowieckie SS-20. Co do „autorytatywnych międzynarodowych komitetów” i „specjalnych posiedzeń”, to belgradzka i madrydzka konferencja dla kontroli Układu w Helsinkach pokazały, ile takie zjazdy są warte.

Dla jednej ze swych licznych propozycji Breżniew znalazł formę, mogącą uchodzić za szczyt krasomówczej finezji — milczenie. Wymieniając wszystkie kraje „walczące o wolność”, przemilczał jedynie Salwador, który od kilku miesięcy nie schodzi z łamów prasy światowej. Także sowiecka prasa sporo pisze o walkach „między patriotami i wojskami junty” i woła „Ręce precz od Salwadoru!”. A jednak Breżniew nie zająknął się o tym ani słowem. Mało tego — na liście 132 partii komunistycznych uczestniczących w Zjeździe (wiele z nich nosi teraz nazwy ochrone: narodowa, postępowo-socjalistyczna itp.) kompartii Salwadoru nie ma. Tymczasem w 1976 roku przedstawiciel tej partii wystąpił na Kremlu z mową dziękczynną: „Nasza partia wyraża swą wdzięczność za solidarność i wielostronną pomoc jakiej doznała i doznaje ze strony bratniej partii sowieckiej”. W 1981 roku pomoc ta okazała się wzrosła, generalny sekretarz kompartii Salwadoru Jorge Chafik Haudal przypuścił frontalny atak, któremu

przyswieca zdobycie władzy, a na Zjeździe KPZS — cisza. Można sądzić, że Breżniew wyciąga w ten sposób dłoń do prezydenta USA, proponując, że zrezygnuje z pomocy dla Salwadoru, w którym siły lewicy tak czy owak poniosły porażkę, w zamian za rezygnację Stanów Zjednoczonych z... na przykład z ingerencji w sprawę polskie.

Sprawy międzynarodowe zajmują w mowie Breżniewa plus minus o stronę więcej niż zagadnienia gospodarki sowieckiej. Autorów mowy nietrudno zrozumieć: w pierwszym przypadku mowa o zwycięstwach (mimo pewnych trudności), w drugim — o trudnościach. Breżniew rzecz jasna zaczyna od stwierdzenia, że „wyniki rozwoju rolnictwa przekonywująco dowodzą słuszności gospodarczej strategii partii”. I jeszcze raz powtarza: „Wszystko to jest rezultatem dalekowzroczej polityki partii”, kończy zaś: „Związek Sowiecki wysunął się na pierwsze miejsce w wielu ważnych gałęziach produkcji, w tym w produkcji ropy i stali, cementu i nawozów mineralnych, pszenicy i bawełny, lokomotyw elektrycznych i parowych. Mamy największy park maszynowy. Przewyższamy inne kraje pod względem liczby inżynierów”.

Mimo to Breżniew wraca do skarg, które wielokrotnie już powtarzał w czasie swego szesnastoletniego panowania. W 1976 roku skarżył się: wydobywają naftę i używają jej jako paliwa do pieców. W 1981 roku skarży się: należy obniżyć ilość ropy przeznaczaną na paliwo. Chwali się, że kraj produkuje więcej pszenicy niż jakiegokolwiek państwo świata i skarży się, że „nie rozwiązano jeszcze problemu zaopatrzenia ludności w żywność bez przestojów”; produkuje się miliony ton stali, brak jednak wyrobów żelaznych; w kraju produkującym potężne elektrowozy generalny sekretarz serio nakazuje „ograniczyć do minimum odchylenia od rozkładu jazdy”; w rolnictwo zainwestowano ponad 300 miliardów rubli, a uzyskano produkcję wartości 272 miliardów...

Najzłośliwszym krytykom ustroju sowieckiego nie udało się jeszcze namalować tak fantastycznego obrazu jak ten, który wynika z mowy Breżniewa. Szczególnie fantazyjne wydają się recepty na leczenie niedomagań: intensyfikacja, planifikacja, kompleksyzacja, zbliżenie nauki do życia. Dla sprostania tym zadaniom partia utworzyła specjalne ministerstwo przemysłu warzywno-owocowego. Jak zauważył pewien francuski dziennikarz, na pytanie o różnicę między kapitalizmem i socjalizmem można teraz odpowiedzieć: w socjalizmie istnieje ministerstwo warzywno-owocowe, a nie ma warzyw ani owoców, a w kapitalizmie na odwrót.

W jedenastej pięcioletce produkcja przemysłowa ma wzrosnąć o 26-28 %. W dziesiątej pięcioletce wzrost ten miał być rzędu 35-39 %, a wykonany został w 24 %. Mowy Breżniewa i Tichonowa nie pozostawiają wątpliwości: gospodarka sowiecka wkroczyła w fazę głębokiego kryzysu. Nie ulega też wątpliwości, że

KPZS żadnych reform przeprowadzić nie może i pokłada wszystkie nadzieje w pomocy Zachodu.

Położenie w kraju najlepiej ze wszystkich przedstawił „w uskrzydłonych, znanych całemu światu słowach” towarzysz Leonid Iljicz Breżniew: „Tam gdzie partia, tam i sukces, tam zwycięstwo!”. Tam gdzie nie ma ani sukcesów, ani zwycięstw, nie ma i partii, a winę ponosi kto inny.

Amerykańskie konwencje wyborcze z ich muzyką, krzykami i tańcami wydają się w Europie śmieszne. Wyglądają jak cyrk. Partyjne zjazdy w Moskwie wyglądają jak pogrzeb: przez dzień dni na trybunę wychodzą gęsiego dziesiątki ludzi i czytają z papierka te same mowy. Jedyne rozrywką są epitety towarzyszące nazwisku Breżniewa — należy sądzić, że w tej dziedzinie dopuszcza się własną inicjatywę. Od śmierci towarzysza Mao nikogo tak jeszcze nie chwalono. Za przykład niech posłuży mowa ministra rolnictwa W.K. Miesiaca (pochwał w niej nie więcej niż w innych): w krótkim wystąpieniu nazwisko Breżniewa pada osiem razy. Nazywa się go „drogim nam wszystkim”, stawiając jego „ogromny wkład osobisty”, „tytaniczną wielostronną działalność”, „wszechstronny talent organizacyjny”, „największe doświadczenie”, „niewyczerpaną pracowitość” itd., itp.

Prasa zachodnia, która tak życzliwie przyjęła „pokojowe propozycje” generalnego sekretarza, była zdumiona brakiem jakichkolwiek zmian w składzie Biura Politycznego. W rzeczy samej, po raz pierwszy bodaj w historii KPZS wszyscy członkowie Biura Politycznego, którzy uczestniczyli w otwarciu Zjazdu uczestniczyli również w jego zamknięciu, i to nadal jako członkowie Biura. Prasa zachodnia dziwi się, że Breżniew nie skorzystał ze sposobności, by „przygotować następstwo”.

Komentarze zachodnie raz jeszcze pokazują, że Zachód nie rozumie mentalności sowieckiego wodza. Breżniew nareszcie osiągnął szczyt swoich marzeń. Z triumwiratu, który w 1964 roku doszedł do władzy, pozostał on jeden. Podgornego haniebnie przegnano. Kosygin umarł. Spośród uczestników spisku antychruszczowowskiego w Biurze Politycznym został tylko M. Susłow, który zadowala się drugim miejscem. Wszystkie pozostałe stanowiska w Biurze, KC i Sekretariacie obsadzone są ludźmi Breżniewa, członkami dnipropropietrowsko-mołodawskiej mafii. Na Zjeździe wszyscy jego pomocnicy i doradcy weszli do KC. Po co więc cokolwiek zmieniać? W takim układzie Breżniew gotów żyć i rządzić choćby jeszcze sto lat! Tym bardziej, że, jak powiedział Lenin: „Wszystkie narody dojdą do socjalizmu, to nieuchronne...”.

Po XXVI Zjeździe towarzysz Breżniew wie gdzie swój kraj od fazy dojrzałego socjalizmu, do którego go doprowadził, do komunizmu. Droga, jak zapewnił, niedaleka...

Adam KRUCZEK

Jak wygrać trzecią wojnę światową?

I

Do poprzednich dwóch artykułów „Trzecia wojna światowa” (*Kultura*, marzec/kwiecień 1978; listopad 1979) można dziś dopisać nową listę sowieckich zdobyczy. Po Laosie, Kambodży, Angoli, Mozambiku, Etiopii, Południowym Jemenie — przyszła inwazja Afganistanu. W Ameryce Środkowej po Nikaragui na porządek dzienny wysuwają się próby opanowania Salwadoru. Obok Zatoki Perskiej i Rogu Afryki rysuje się coraz wyraźniej trzecia strefa zagrożenia wokół Kanału Panamskiego. Aneksja Czadu przez Libię i obecność sowieckich doradców w tym kraju, cztery razy większym od Polski, wprowadza pośrednio sowieckie wpływy daleko w głąb czarnego lądu i stwarza zagrożenie dla Sudanu i Egiptu.

Ameryka w poszukiwaniu strategii

Nowa administracja Reagana od pierwszej chwili przybrała wobec Rosji ton bardzo stanowczy, dawno już nie słyszany. Wydatki na zbrojenia mają wzrosnąć o 32,6 miliardów dolarów w latach 1981-1982, a o astronomiczną sumę 1,3 biliona w ciągu następnych lat pięciu. Lecz ani mocne słowa ani bogatszy arsenał nie zastąpią same przez się jasno sformułowanej koncepcji strategicznej. Polityka zagraniczna nowego zespołu wciąż jeszcze znajduje się w fazie kształtowania i trudno zorientować się jaki ostatecznie przybierze kierunek. Ameryka nie znalazła dotychczas odpowiedzi na pytanie, jak powstrzymać sowiecką ekspansję bez nowego Wietnamu. Czy wzmocnienie potencjału wojskowego i bardziej stanowcza postawa mają być wstępem do rokowań i próby jeszcze jednego ułożenia się z Rosją z silniejszej pozycji czy też ma ona prowadzić do generalnej kontrofensywy uderzającej w słabe punkty przeciwnika.

W pierwszym wypadku polityka obecnej administracji stałaby się kontynuacją doktryny Kissinger-Sonnenfeldt. Wciąż przebijają ona wyraźnie między wierszami w licznych wypowiedziach głównego architekta polityki odprężenia. W największym uproszczeniu cała koncepcja sprowadza się do tego, że Ameryka musi do-

zbroić się i użyć wszelkich środków politycznego i ekonomicznego nacisku, by w końcu dogadać się z przeciwnikiem i osiągnąć stabilizację *status quo* na zasadzie jeszcze jednego rozgraniczenia stref wpływu. U podstaw takiego rozumowania tkwi milczące założenie, że obie strony pomimo przeciwności ustrojowych i wrogości ideologicznej mają wspólny interes w uniknięciu generalnej konfrontacji. Ekspansję sowiecką można więc zatrzymać drogą rokowań ofiarując w zamian Rosji marchewkę w postaci rozszerzenia wymiany handlowej, kredytów, eksportu wiedzy technicznej i wspólnych inwestycji.

Jeśli polityka Reagana i Haiga miała się rozwinąć po tej linii — Polska i Europa Wschodnia stałyby się w tej grze przedmiotem jeszcze jednego przetargu (zostawcie nam Salwador a my nie będziemy wtrącać się w sprawę orbity waszych wpływów).

Nieudane próby podziału świata

Obecny okres kształtowania się polityki zagranicznej ekipy Reagana sprzyja wysuwaniu koncepcji alternatywnych, które przemawiają do poczucia żywotnych interesów amerykańskich służących równocześnie naszym celom.

Doświadczenia przeszłości a zwłaszcza ubiegła dekada podważyły dostatecznie doktrynę Kissingera. Próby podziału świata na strefy wpływów na zasadzie wzajemnego uznania *status quo* podejmowane były wielokrotnie: w Jałcie i Poczdamie w roku 1945, w Moskwie w roku 1972, w Helsinkach i we Władywostoku w roku 1974. USA wkraczając w roku 1972 na drogę „odprężenia” oczekiwały, że Rosja za cenę uznania swego stanu posiadania wyrzeknie się jednostronnych zdobyczy kosztem strategicznych interesów Ameryki i będzie stosować się w przyszłości do zasad międzynarodowego współżycia. Liczono przede wszystkim na obustronne ograniczenia zbrojeń nuklearnych. W rzeczywistości SALT I ratyfikował parytet nuklearny obu supermocarstw, osiągnięty już przez ZSSR i otworzył nową fazę sowieckich zbrojeń, które doprowadziły do obecnej przewagi ZSSR. Sowiecka ekspansja nabrała nowego impetu i poczyniła większe postępy niż w ciągu poprzednich dwóch dekad. Rachuby na to, że korzyści gospodarcze staną się dla Sowietów stawką zbyt ważną, by zaryzykowały jej utratę, okazały się fałszywe. Bilansu lat siedemdziesiątych nie potrzeba przypominać. Przywrócić on gwałtowne zachwianie stosunku sił. Nawet przy największym wysiłku zbrojeniowym Stanów Zjednoczonych przywrócenie równowagi nie będzie możliwe przed upływem od pięciu do dziesięciu lat. Następne pięćdziesiąt lat może być wykorzystane

przez Rosję bez poważniejszego ryzyka wybuchu konfliktu światowego dla dalszego opanowywania kluczowych pozycji strategicznych.

Polska lekcja

Zasadniczy błąd dotychczasowej polityki amerykańskiej nie polegał tylko na fałszywym interpretowaniu intencji przeciwnika. Zafascynowanie postępem technicznym posunięte jest w Ameryce tak daleko, że stratedzy myślą prawie wyłącznie w kategoriach sił materialnych: ilości coraz bardziej nowoczesnych pocisków balistycznych, samolotów, okrętów wojennych, czołgów itd. z zupełnym pominięciem znaczenia czynnika ludzkiego.

Z tego punktu widzenia wydarzenia w Polsce — bez względu na to jak się skończą — powinny stać się pouczającą lekcją. Robotnicy, pozbawieni jakiegokolwiek innej broni poza odwagą, determinacją i masową solidarnością, która objęła opozycję inteligentną, chłopów i młodzież — przeciwstawili się całej potęgze supermocarstwa i nie uciekając się do użycia siły odnieśli bezkrwawe zwycięstwo w kilku kolejnych rundach. Wydarzenia sierpieniowe i wszystko co po nich nastąpiło nie mogą być zresztą rozpatrywane w oderwaniu od historycznego kontekstu. Od czasu odwilży poprzedzającej polski październik Rosja musi tolerować coraz większe odchylenie Polski od własnego, ortodoksyjnego modelu. Dlaczego „musi”? Proces odnowy przekroczył już przecież dawno te progi, po których nastąpiła inwazja Czechosłowacji. Hamulcem powstrzymującym przed interwencją jest ryzyko konfrontacji z całą klasą robotniczą, za którą stoi solidarnie społeczeństwo. Konfrontacja taka niekoniecznie musi przybrać formę jeszcze jednego rozpaczliwego powstania. Dużo niebezpieczniejszą formą oporu stałby się powszechny strajk okupacyjny, w którym maszyny, urządzenia fabryczne itd. stanowią zastaw w rękach robotników na wypadek próby użycia siły. Wojsko może stłumić rozruchy i gwałtowne odruchy rewolucyjne. Biernego oporu nie da się przełamać siłą.

Jak powstrzymać rosyjską ekspansję?

Wydarzenia w Polsce powinny wskazać Ameryce jedyną chyba drogę ocalenia. Clausewitz powiedział kiedyś, że podboju Rosji można dokonać tylko od wewnątrz. Parafrazując te słowa w zastosowaniu do obecnej sytuacji można powiedzieć, że sowieckie dążenia ekspansyjne można powstrzymać tylko przez nacisk od wewnątrz szerokich mas ludności, które muszą za nie płacić.

Ludność ZSSR musi obecnie dźwigać nie tylko ciężar niewydajnej gospodarki marnującej znaczną część produkcji i nie tylko kosztą zbrojeń, które pochłaniają od 15 do 18 % dochodu społecznego. Jak dotychczas polityka ekspansji zamiast gospodarczych zysków wymaga rosnących nakładów. W roku 1967 Sowiety utrzymywały 25 dywizji wzdłuż granicy chińskiej, obecnie — 46. Sześć dywizji (80 tys. ludzi) walczy z partyzantami w Afganistanie, 26 skoncentrowanych zostało wokół Polski nie licząc dwóch stacjonowanych wewnątrz kraju. Sowiecki robotnik musi podtrzymywać gospodarkę Kuby, Wietnamu i całej plejady nowych satelitów i klientów, finansować dostawy broni dla „ruchów wyzwoleniczych” w Ameryce Południowej i Środkowej, w krajach Zatoki Perskiej i na Dalekim Wschodzie oraz opłacać operacje dywersyjne w skali globalnej. Nowy wyścig zbrojeń wymagać będzie dalszego drakońskiego zaciśnięcia pasa. Eksperti zachodni obliczają, że wyprodukowanie tego samego towaru w systemie sowieckim wymaga cztery razy większego zużycia środków energii i materiałów aniżeli w gospodarce wolnorynkowej.

System oparty na przymusie zdolny jest do koncentrowania na zbrojeniach nieproporcjonalnie większych zasobów aniżeli państwa demokratyczne. Na tym polega na krótką metę przewaga totalizmu nad demokracją. Do jakich granic można jednak terrorem ograniczać zaspakajanie elementarnych potrzeb człowieka?

Jeden z najlepszych amerykańskich znawców Rosji, George Feifer, po dziesięcioletniej przerwie objechał Rosję. Władając językiem rosyjskim bez akcentu odbył setki rozmów z ludźmi na różnych szczeblach. Zebrane wrażenia i fakty opisał w rewelacyjnym reportażu w lutowym wydaniu magazynu *Harper's*. Podsumowanie zawarte jest w podtytule: „Brak żywności, alkoholizm i korupcja — stanowią koniec sowieckich marzeń”. W ciągu ub. roku ceny posiłków w restauracjach i kożuchów baranich wzrosły o 50 %. Cena kawy o 300 %, wódki od 200-300 %. Zaopatrzenie w żywność poza Moskwą i większymi miastami gwałtownie się pogarsza. W Uljanowsku, miejscu urodzenia Lenina, frankfurtery — jedyna potrawa mięsna — wydawane są za receptą w aptekach wyłącznie dla chorych dzieci. W Gorki nie można dostać masła, mięsa, owoców i mąki. Mieszkańcy Kujbyszewa na wieść, że nadszedł transport kurczaków, spędzili cały dzień w milowych ogonkach. Na Syberii niektóre artykuły żywnościowe wydawane są na kartki, o czym nie wolno pisać w prasie, lecz przydzielały się papierowe. W Kazaniu nie można zdobyć mięsa na kartki przydzielające 400 gramów na osobę. Wystarczy wyjechać 50 km za Moskwę, by przekonać się jak dotkliwe są braki żywności. Nawet w stolicy zdobycie mleka staje się problemem, a okres czekania na mieszkanie wydłużył się

do 15 lat. Rosnąca śmiertelność niemowląt skłoniła władze do zaprzestania w roku 1975 ogłaszania statystyk. Inżynier, na którego powołuje się G. Feifer powiedział: „Głównym celem naszej gospodarki jest produkcja broni. W Egipcie niewolnicy budowali piramidy a my produkujemy pociski nuklearne. Wyśitek poświęcony prześcignięciu Zachodu w zbrojeniach w warunkach prymitywnej gospodarki jest olbrzymi... Ciężar wydatków na zbrojenia jest trudny do zniesienia”.

Do tego trzeba jeszcze dodać ciężar policji politycznej i olbrzymiej biurokracji, rozbudowanej bardziej niż gdziekolwiek na świecie. „Biedniejszy kraj — powiedział ten sam inżynier — dawno by już zbankrutował. Rabunkowa eksploatacja naszych bogactw naturalnych, w szczególności ropy i złota, utrzymuje kraj na powierzchni”. Przeciwny Rosjanin — pisze Feifer — utracił swą optymistyczną wiarę, że życie stanie się lepsze i przestał wierzyć w system, niezdolny do funkcjonowania.

Granice przymusu

Większość zachodnich sowietologów jest zdania, że dalsze pogarszanie się warunków życiowych a nawet powszechny głód nie wywoła w Rosji żadnej reakcji społecznej. Wytrzymałość i bierność „sowieckiego człowieka” nie zna granic.

Przeczy temu sowiecka reakcja na wypadki w Polsce. Ludzie na Kremlu lepiej zdają sobie sprawę z wewnętrznego zagrożenia aniżeli obserwatorzy zachodni. W obronie przed polskim wirusem rozszerzono w drugiej połowie sierpnia zagłuszanie RWE/RL na Głos Ameryki, BBC i Deutsche Welle jako głównych nosicieli zarazy. Urzędnicy ambasady sowieckiej w Sztokholmie otrzymali zakaz przejazdu przez Polskę tranzytem samochodowym. Mają korzystać z promu na Finlandię. Podobne zarządzenia wydano w innych placówkach dyplomatycznych. Wstrzymany został ruch turystyczny z Polski i do Polski. Nawet *Trybuna Ludu* nie można już dostać w Kownie, Wilnie czy we Lwowie. Jeśli Moskwa zdecyduje się w końcu na inwazję, pomimo związanych z nią olbrzymich kosztów politycznych i nieobliczalnych następstw, będzie to skrajnym przejawem poczucia wewnętrznego zagrożenia.

Nie znaczy to, by należało oczekiwać w Związku Sowieckim rewolucyjnego zrywu albo wybuchu strajków w skali całego kraju. Strajki i niepokoje mają w Rosji charakter lokalny. Wiadomości o nich rozchodzą się po kraju zbyt wolno, by mogły pociągnąć reakcję podobną do tej, jaka nastąpiła w Polsce. Feifer stwierdzał na każdym kroku pogłębiające się, coraz mniej ukry-

wane niezadowolenie, lecz jak dotychczas znajduje ono jedyne ujście w całkowitym zaniku chęci do pracy, w absenteeizmie i gwałtownym wzroście alkoholizmu. Aleksander Ginsburg nazwał te zjawiska rakiem toczącym organizm społeczno-gospodarczy. Rezultatem jest katastrofalnie niska wydajność pracy, która doprowadziła już do spadku wzrostu gospodarczego i załamania się planów. W tak kluczowej gałęzi gospodarki jaką jest wydobywanie węgla, zamiast planowanego przed czterema laty wydobycia 805 mln ton w roku 1980 — produkcja nie przekroczyła 700 mln ton. Deficyt węglowy odbił się na produkcji stali, prądu elektrycznego i innych działów przemysłu zależnych od dostaw węgla. Wszystkie wskaźniki są znacznie niższe od zaplanowanych w czasie zjazdu partii w roku 1976.

Przymus ma więc swoje granice. Okazało się, że terrorem nie można zapobiec opuszczaniu pracy i szerzącemu się pijaństwu. Robotnik buntujący się przeciwko warunkom, w jakich żyje, nie wydobydzie z siebie większego wysiłku niż absolutne minimum niezbędne dla oszukania nadzorców i uniknięcia represji. Trzęwego robotnika można groźbą utraty pracy lub zarobku zmusić co najwyżej do punktualnego przyjscia do pracy; systemem pracy na akord można wymusić ilość, ale nie sposób wpłynąć na jakość produkcji. W praktyce robotnik ma nieograniczone możliwości bezkarnego sabotażu podejmowanego na własną rękę.

Polski przykład może przełamać paraliżujące przeświadczenie, które tkwi głęboko w świadomości mas w ZSSR, że wszelki opór w jakiegokolwiek formie jest bezsensowny bo prowadzić może tylko do samozniszczenia. Na tym polega znaczenie polskiej lekcji. Jeśli wydarzenia w Polsce zdołają przeniknąć do świadomości przeciętnego człowieka w Rosji, mogą podziałać jak katalizator, który obecne, behawiorystyczne, podświadome objawy prostetu i niezadowolenia zamieni w bierny opór, coś w rodzaju ukrytego strajku ludzi pracy w pełni świadomych swego celu.

Tylko taki proces może zmusić Sowiety do zahamowania zbrojeń a nawet do reformy wewnętrznej i ustępstw wobec własnej ludności. Proces ten może być przyspieszony przez świadomą swego celu i konsekwentną politykę Zachodu.

II

Kontrofensywa Zachodu

Nowa polityka amerykańska musi wyjść z podstawowego założenia, że dozbrojenie USA i NATO jest niezbędne dla pow-

strzymania generalnej agresji sowieckiej, lecz skuteczne zatrzymanie lokalnych podbojów od zewnątrz (jak w wypadku Afganistanu) albo od wewnątrz (przez siły lokalnie wspierane przez Moskwę wprost lub przez pośredników) może być osiągnięte tylko środkami politycznymi i gospodarczymi a przede wszystkim przez oddziaływanie na człowieka. Kissingerowi warto w tym miejscu przypomnieć jego własne słowa wypowiedziane bardzo dawno, bo w roku 1957, gdy był jeszcze mało znanym profesorem Harvardu: „Jedną z paradoksalnych lekcji naszego nuklearnego wieku polega na tym, że w chwili, gdy dysponujemy siłami o nieporównywalnych rozmiarach, musimy uświadomić sobie, że problem przetrwania może być rozstrzygnięty tylko w umysłach ludzkich... Słaba siła nie zawsze stwarza mechanizm potrzebny w walce o przetrwanie” (H. Kissinger, *Nuclear Weapons and Foreign Policy*, 1957, str. 406).

Jeżeli Ameryka nie zdobędzie się zawczasu na kontrofensywę uderzającą w najślabszy, wewnętrzny front przeciwnika, koniec dekady przynieść może rozpadnięcie się przymierzy i katastrofę.

Nazwijmy ten front umownie „wojną ideologiczną” choć natarcie objąć musi cały kompleks środków gospodarczych i politycznych, które mogą pogłębić wewnętrzne sprzeczności w samej Rosji i wzmocnić nacisk czynnika społecznego.

Broń gospodarcza

Import zachodnich środków produkcji, zboża i wiedzy technicznej w ciągu całej ubiegłej dekady umożliwił Rosji dorównanie czy nawet wyprzedzenie Zachodu w wyścigu zbrojeń. Dzięki pomocy z Zachodu — Sowiety mogły uniknąć przesunięć w rozdziale dochodu społecznego i reform niezbędnych dla choćby częściowego usprawnienia gospodarki i podniesienia wydajności pracy. Punktem zwrotnym może stać się embargo na zboże wprowadzone po inwazji Afganistanu. Dotychczas było ono tylko częściowe. W myśl umowy z roku 1975 Stany Zjednoczone musiały dostarczyć Rosji 7 mln ton zboża. Wstrzymanie pozostałych 17 mln ton, pomimo wyłamania się z bojkotu Argentyny — kosztowało Rosję ponad miliard dolarów w twardej walucie i w połączeniu ze złym urodzajem wpłynęło na zmniejszenie dostaw mięsa i produkcji rolnej. Za kilka miesięcy wygaśnie umowa z roku 1975. Jeśli połowiczne embargo Cartera obejmie teraz cały eksport zboża i rozciągnięte zostanie na nawozy sztuczne i

inne towary służące rolnictwu, odbije się to poważnie na sytuacji wewnętrznej w ZSSR.

Jeszcze większe znaczenie może mieć wstrzymanie wywozu nowoczesnego sprzętu technicznego a w szczególności urządzeń wiertniczych, niezbędnych w poszukiwaniach nowych złóż naftowych. Zatrzymanie wzrostu wydobycia ropy naftowej przy rosnącym zapotrzebowaniu ZSSR i jego satelitów stanowi jeden z najtrudniejszych problemów gospodarki sowieckiej.

Rosnący niedostatek ropy naftowej idzie w parze z nadmiarem gazu ziemnego. Jeżeli projektowany rurociąg z Rosji do Europy Zachodniej, budowany przy pomocy zachodniego kapitału i sprzętu, ukończony zostanie zgodnie z planem w połowie lat osiemdziesiątych, nie mniej niż 40 % całego importu gazu ziemnego Niemiec zachodnich pochodzić będzie z ZSSR. Stanowić to będzie tylko 5 % zapotrzebowania RFN na energię, ale nagłe wstrzymanie tych 5 % pogroziłoby gospodarkę niemiecką w stan całkowitego chaosu. Stworzona w ten sposób zależność prowadzi w prostej linii do finlandyzacji dając Sowietom do ręki potężny środek nacisku. Już dziś opór rządu Schmidta przed solidarnymi sankcjami po inwazji Afganistanu wywołany jest obawą utraty przyszłych dostaw gazu ziemnego z Rosji.

Traktując handel, kredyty i wywóz technologii jako broń w obecnym konflikcie natykamy się znowu na problem polski. Zachód musi stosować odmienną politykę wobec Rosji i tych satelitów, którzy usiłują reformować swój system. Pomoc ekonomiczna na rzecz kraju w sowieckiej orbicie ma sens tylko wtedy, jeśli jest ściśle związana i uzależniona od reform gospodarczych i poszanowania praw ludzkich. Pomoc kredytowa dla Polski niewątpliwie rozciągnęła ochronny parasol nad działalnością opozycji lecz równocześnie umożliwiła katastrofalną politykę rolną, w znacznej mierze odpowiedzialną za obecny kryzys. Kredyty zachodnie zamiast służyć reformie gospodarczej umożliwiły jej uniknięcie. W przyszłości pomoc gospodarcza może być udzielana tylko w takim rozmiarze i na takich warunkach, które służą ochronie procesu odnowy.

Posługiwanie się bronią gospodarczą natrafi z pewnością na sprzeciw w Stanach Zjednoczonych. Reagan bardziej od poprzednika podatny jest na nacisk amerykańskiej finansjery i wielkiego kapitału, który ma własne interesy w rozbudowie wymiany z Rosją. Nowa polityka odprężenia ma swoich zwolenników w tych samych kołach, które ciągną korzyści ze zbrojeń. Koncepcja Kissingera znajduje tu podatny grunt.

Stany Zjednoczone nie mogą posługiwać się bronią gospodar-

czą bez solidarnego wsparcia swoich sprzymierzeńców. Finlandyzacja musi być wstrzymana zanim ten proces stanie się nieodwracalny i zanim NATO stanie się fikcją. Prędzej czy później USA będą musiały uzależnić swój własny udział w obronie Europy Zachodniej od solidarnego frontu wobec dalszych prób sowieckiej ekspansji.

Polityka obrony praw człowieka

Drugim elementem kontrofensywy może stać się przemysłana na nowo i gruntownie zmieniona polityka obrony praw człowieka. W Helsinkach Zachód odzyskał, przynajmniej częściowo, inicjatywę w walce ideologicznej. Niestety hasło obrony praw człowieka podjęte przez Cartera zostało w latach jego kadencji gruntownie zdyskredytowane. Zabrakło koncepcji na czym ta polityka ma polegać, jaki cel ma osiągnąć, jakimi środkami ma być realizowana, w jakiej kolejności i przez kogo. Powierzenie polityki praw człowieka Departamentowi Stanu było zasadniczym błędem stawiając w niezwykłej trudnej sytuacji służbę zagraniczną, której zadaniem jest utrzymywanie poprawnych stosunków i dialogu z obcymi rządami bez względu na ich ustrój i ideologię. Jedynymi środkami stały się z konieczności instrumenty, którymi dysponuje służba zagraniczna a więc pomoc gospodarcza i wojskowa. Z natury rzeczy stosowanie tych środków nacisku możliwe jest tylko wobec odbiorców amerykańskiej pomocy a więc pomniejszych sprzymierzeńców i klientów Ameryki, rządzonych przez różne junty i dyktatury, zagrożone przez komunistyczną dywersję. Główny sprawca pogwałceń praw i wolności ludzkich pozostawał całkowicie poza nawiasem carterowskiej polityki obrony praw człowieka. Podejmowane ze strony polskiej próby przywrócenia równowagi przez powołanie do życia Komitetu Obrony Praw Człowieka, popierane przez Zbigniewa Brzezińskiego i kongresmana Fascella zostały storpedowane przez elementy skrajnie prawicowe w Kongresie. Obrona praw człowieka skierowana w jednym tylko kierunku geograficznym (głównie Ameryka Południowa i Środkowa) i politycznym (dyktatury prawicowe) stworzyła w praktyce podwójny standard moralny. Kompromisy i wyjątki podyktowane względami bezpieczeństwa stępiły jej ostrze i zgasiły do reszty początkowy entuzjazm, z jakim społeczeństwo przyjęło wprowadzenie do polityki zagranicznej elementu moralnego.

Nawet ta jednostronna i mało konsekwentna polityka obrony praw człowieka miała jednak jakieś symboliczne znaczenie dla

dysydentów i opozycji w orbicie sowieckiej. Była przejawem zainteresowania Ameryki tą sprawą. Widziano w niej dalszy ciąg postanowień konferencji helsińskiej. Pod wpływem samego hasła powstały samorzutnie grupy obrońców praw ludzkich w Sowietach, w Polsce i w Czechosłowacji.

Odżegnanie się Reagana i Haiga od polityki obrony praw człowieka było wyrzuceniem dziecka z kąpielą. Jeśli obecny rząd pójdzie dalej po tej linii, będzie to równoznaczne z pozbyciem się ważnej broni ideologicznej. W kołach dysydentów i opozycji zostało to zrozumiane jako powrót do kissingerowskiej *real politic*.

Politykę obrony praw człowieka trzeba bowiem traktować właśnie jako broń a nie kaznodziejską krucjatę albo narzucanie innym własnych wartości moralnych takimi negatywnymi środkami nacisku jak odmowa pomocy gospodarczej i wojskowej.

Polityka praw człowieka musi być wyraźnie zdefiniowana jako moralna i materialna pomoc na rzecz demokratycznych obrońców praw ludzkich dążących do swego celu tak jak w Polsce i ZSSR — bez użycia siły. Tylko tak określona linia polityczna pozostawia poza nawiasem terrorystów i grupy marksistowskie manipulowane przez Moskwę lub Hawanę i tylko taka definicja pozwoli na uniwersalne stosowanie zasad w stosunku do wszystkich walczących o prawdziwą demokrację z despotycznymi rządami bez względu na ich zabarwienie.

Polityka obrony praw człowieka nie może być prowadzona przez dyplomatów a pomoc nie może być udzielana kanałami rządowymi, bo stawia to przedstawicieli polityki zagranicznej w konfliktowej sytuacji. Sowiety prowadzą swoją politykę na kilku starannie od siebie oddzielonych poziomach. Partyjne i państwowe organy zaangażowane w „wojnie ideologicznej” są oddzielone od resortu prowadzącego grę dyplomatyczną z obcymi rządami. Jeden tor służy polityce odprężenia, drugi działalności ekspansyjnej.

Amerykańska polityka obrony praw człowieka może się skutecznie rozwinąć, jeśli zostanie uwolniona od taktycznych ograniczeń, jakim podlega na co dzień każda na świecie służba zagraniczna. Musi być w tym celu powołany komitet podporządkowany nadzorowi i koordynacji na najwyższych szczeblach, finansowany przez Kongres, ale równocześnie na tyle samodzielny, by przedstawiciele dyplomatyczni nie musieli przyjmować odpowiedzialności za jego działalność.

Dla opozycji w państwach totalnych komitet taki stałby się widocznym symbolem zainteresowania zarówno rządu jak i spo-

łeczeństwa amerykańskiego obroną podstawowych wolności i praw ludzkich. Służyłby jako pomost między administracją a takimi organizacjami społecznymi jak Amnesty International, Freedom House, Helsinki Watch Committee, Freedom of Publication Committee etc. Mógłby wykonywać wielorakie funkcje jak rejestracja wszystkich wypadków naruszania praw człowieka i nadawanie im rozgłosu w skali światowej jako najskuteczniejszej obronie przed prześladowaniami; udzielać pomocy więźniom politycznym i ofiarom prześladowań, pomagać w publikacji dzieł i prac autorów nie dopuszczonych przez cenzurę w ich języku ojczystym i dopomagać do ich rozpowszechniania w danym kraju na zasadzie wolnego przepływu idei i informacji; udzielać na szeroką skalę nagród (nie subwencji) na rzecz twórców, którym odebrano prawa publikacji czy wystawiania swych prac, zasłużonych obrońców praw człowieka — zarówno jednostek jak grup i organizacji.

Pomoc taka, udzielana w taki sposób jak to czyni obecnie AFL/CIO wobec NSZZ, zgodny z uznanymi normami międzynarodowego współżycia, w żadnym wypadku nie mogłaby oznaczać podporządkowania się regułom narzucanym przez ustroje despotyczne. Komitet Obrony Praw Człowieka powinien wreszcie ułatwiać współpracę podobnych organizacji w innych krajach zachodnich, by stać się z czasem promotorem międzynarodowego ruchu obrony praw człowieka.

Funkcje te i zadania wymienione tu zostały przykładowo. Zasięg działania Komitetu ulegnie rozszerzeniu, gdy opinia publiczna oceni znaczenia i rolę instrumentu. Jego skuteczność będzie jednak zależała od tego, czy i w jakim stopniu możliwa będzie projekcja tego symbolu na ludność żyjącą w ustroju totalnym.

Rola radiostacji

Trzecim elementem walki ideologicznej muszą się stać środki masowego przekazu, dostatecznie silne i atrakcyjne, by docierać do 350 mln ludzi na obszarze podlegającym dominacji sowieckiej. Wszystkie trzy rozgłoszenie amerykańskie: Radio Wolna Europa, Radio Swoboda i Głos Ameryki muszą być wreszcie uznane jako integralna część amerykańskiego systemu obronnego, główne narzędzie kontrofensywy, potraktowane na równi z wydatkami na zbrojenia. Nie wchodzę tu w możliwości ich usprawnienia i podniesienia jakości programu. Zacząć trzeba od umieszczenia tego instrumentu bardzo wysoko na liście priorytetów strategicznych,

naprawienia szkód wyrządzonych przez coroczne oszczędności i cięcia budżetowe a przede wszystkim radykalnego podniesienia i rozbudowy ich mocy technicznej.

Carter wbrew zabiegom Brzezińskiego i protestom grup etnicznych z Europy Wschodniej na zakończenie swojej kadencji zażądał od Kongresu obniżenia budżetu RFE/RL jeszcze o 4 mln dolarów. W ciągu kolejnych rządów Nixona, Forda i Cartera obie radiostacje straciły ponad 40 % pracowników, możliwości odmłodzenia kadr zostały drastycznie ograniczone a w końcu doszło do tego, że maszyny antenowe w Portugalii i w Hiszpanii pokrywa rdza i sól morską, bo zabrakło funduszy na ich odmalowanie. Antena średniej fali, na której nadawane są programy do Polski, zbudowana była w 1949 roku i już dawno powinna była znaleźć się w składzie z antykami. Dwie inne starszki po prostu wysiadły. Cała Rosja azjatycka za Uralem nie wyłączając Azji Środkowej zamieszkałej przez 60 mln ludności muzułmańskiej znajduje się poza zasięgiem jakichkolwiek nadajników amerykańskich. Nie ma audycji do Afganistanu czy na Kubę pomimo wielkiej obfitości talentów wśród uchodźców kubańskich i bliskości wyspy. Za to Rosjanie budują gorączkowo na Kubie anteny przekątnikowe, z których płynie propaganda dywersyjna na obie Ameryki. Wszystko to świadczy o zupełnym braku zrozumienia dla roli czynnika ludzkiego w strategii amerykańskiej, wciąż daremnie poszukującej metody zatrzymania sowieckich podbojów bez wojny.

Według memoriału opracowanego przez ekspertów Rady Bezpieczeństwa w roku 1976 skuteczne przebicie się przez zagłuszenia wymaga budowy 36 nowoczesnych nadajników o dużej mocy, optymalnie rozlokowanych (7 na Europę Wschodnią, 17 na Rosję europejską i Kaukaz oraz 12 na Południowo-Środkową Azję i Syberię). Carter ściął ten program z 36 do 11. Reagan pod wpływem niezamordowanych zabiegów czynników polskich i grup bałtyckich, wspartych nieoczekiwanie przez zamach bombowy na budynek RFE/RL w Monachium cofnął redukcję 4 mln dolarów i dodał na razie 3 mln na doraźne a pałace potrzeby. Sprawa pełnego wykorzystania technicznego potencjału środków masowego przekazu jako głównego instrumentu w ofensywie ideologicznej jest wciąż otwarta.

Nadawanie audycji do orbity sowieckiej przy pomocy satelitów jest już dziś technicznie możliwe. Oznaczałoby to całkowite wyeliminowanie zagłuszeń poza wielkimi ośrodkami miejskimi. Na przeszkodzie stoją wysokie koszty: około pół miliarda dolarów. Nie są one znowu tak wielkie w skali ogólnych wydatków na zbrojenia. Jeden lotnikowiec kosztuje dwa razy więcej. Wpro-

wadzenie telewizji, którą mogłyby odbierać telewizory w Europie wschodniej i w ZSSR wymagałoby, przy obecnym stanie wiedzy technicznej, sześciu lat. Na przeszkodzie stoją narzucone przez ZSSR i kraje Trzeciego Świata konwencje międzynarodowe lekomyślnie przyjęte przez Departament Stanu lecz jak dotychczas nie ratyfikowane przez Kongres. W specjalnej rezolucji podpisanej przez 58 kongresmanów obu partii, a wniesionej z inicjatywą kongresmana Edwarda Derwińskiego, sygnatariusze domagają się, jak dotychczas na próżno, specjalnych dotacji na badania, które mogłyby znacznie obniżyć koszty audycji radiowych i telewizyjnych nadawanych przy pomocy satelitów.

Marxizm-leninizm i związany z nim system być może ma jeszcze jakąś siłę atrakcyjną w krajach Trzeciego Świata znajdujących się na wczesnym etapie ekonomicznego startu. W obrębie bloku sowieckiego oficjalna ideologia jest całkowicie martwa podczas gdy idee prawa do strajku, zrzeszania się w związki zawodowe, wolności słowa i sumienia oraz barwna różnorodność pluralistycznego społeczeństwa mają coraz większą moc przyciągającą. Wypadki w Polsce, bez względu na to jak się skończą, są początkiem dezintegracji systemu sowieckiego. Może to być proces bardzo powolny lub szybki. Czy Ameryka i jej sprzymierzeńcy znajdują w sobie dość woli, by w obronie własnej proces ten przyspieszyć wszystkimi środkami jakie mają do swej dyspozycji?

Jan NOWAK

Waszyngton, 7 marca 1981

Nowa faza w stosunkach Zachód-Sowiety

Przysłowia nie zawsze są mądrością narodów, ale dowcipom politycznym zdarza się to dość często. Zacytuję jeden z broda, chyba tak długą jak historia Związku Sowieckiego: Sowiety nie mogą opanować całego świata, bo skądże by wówczas importowały zboże? Dowcip wymaga małej poprawki. Opanować świat mogą, ale komunizmu w nim zainstalować nie mogą. W każdym razie nie w tych cywilizacyjnie zaawansowanych krajach kapitalistycznych, które produkują albo dość zboża, żywności lub innych

towarów, albo — jak Stany Zjednoczone — w nadmiarze jednego i drugiego, na których chroniczny niedostatek cierpią Sowiety. W ostatnich latach te właśnie troski konsumpcyjne Sowietów nabrały świeżych rumieńców. Rumieńców, związanych z doktryną Breżniewa. Ale nie tą, która głosi, że problemy poszczególnych krajów obozu socjalistycznego są wewnętrzną sprawą Sowietów i wara innym od nich, lecz tą inną, oficjalnie nigdzie nie zadeklarowaną, choć praktykowaną od lat co najmniej piętnastu. Stwierdza ona, że kluczem do zwycięstwa sowieckiego nad światem są zbrojenia. W podtekście postuluje ona następującą formułę: „Po cóż się nadmiernie gimnastykować z naszym ustrojem i reformować naszą chronicznie kulawą ekonomię, skoro i tak z tego nic nie wychodzi. Czyż nie prościej i praktyczniej zapewnić sobie panowanie nad światem, pokazując to, co mamy za naszym socjalistycznym oknem wystawowym: naszą wspaniale rozbudowaną armię, flotę i najnowocześniejsze środki masowego zniszczenia? Jeśli zapewnimy sobie całkowitą i nieodwracalną przewagę orężną, któż ośmieli się myśleć o oporze? Trzeba świat zachodni tak dokumentnie przestraszyć, żeby każdy stanął w obliczu alternatywy pomiędzy zamianą na kupkę radioaktywnego popiołu a przyjęciem statusu obywatela sowieckiego Imperium. Wówczas będziemy mogli być spokojni: każdy wybierze drugą ewentualność¹”.

Oczywiście takiej wymarzonej dla Kremla sytuacji nie da się osiągnąć od razu i bez oporu. Program pomyślany był na raty i na raty był realizowany. I to nie metodą ciągłą, ale z okresami oddechu — czyli propozycjami odprężenia po każdym nowym podboju Sowietów. Czy taka była rzeczywiście nie zadeklarowana breżniewowska doktryna opanowania świata, z którą tak ślicznie współgrała *détente*? Fakty ostatniego piętnastolecia — od czasu gdy burzliwy Chruszczow odszedł w niepamięć — powinny były przekonać wielu sceptyków. Jednak powodzenie doktryny wymagało dopełnienia pewnych warunków pod generalnym hasłem psychicznego i materialnego rozbrojenia Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych.

Myślę, że nie warto rozwodzić się nad tą właśnie strategią, którą walcowano i dyskutowano od lat, a która z punktu widzenia sowieckiego owocowała znakomicie, przynajmniej do począt-

1. Pogląd na politykę preferencji zbrojeń, którym ma być podporządkowany cały system ekonomiczny Sowietów, wyłożyłem nieco obszerniej w artykule pt. „Bez *détente* i bez zbrojnej konfrontacji” w nr. 5/392 *Kultury* z 1980 roku. Obecnie w skrócie przypominam Czytelnikom moje stanowisko — po pierwsze po to, żeby utrzymać ciągłość wywodu, po drugie, by starać się uzasadnić tezę, dlaczego tak praktycznie wyglądająca „doktryna” Breżniewa ma poważne szanse, by zakończyć się fiaskiem i rozkładem Imperium sowieckiego.

ków dziewiątej dekady naszego stulecia. Pisano o tych sprawach bardzo wiele w *Kulturze* i w niektórych (nielicznych) amerykańskich periodykach. Wypada więc tylko przypomnieć, że u podstaw pobożnych życzeń tych, którzy mieli przemożny wpływ na przyszłość zachodniego świata tkwiła fałszywa wiara, że sowieccy przywódcy są koniec końców takimi samymi ludźmi jak politycy Zachodu. Że posługują się taką samą logiką i rozsądkiem i że tak samo są spragnieni pokoju jak ludzie typu Cyrusa Vance'a, George'a Balla lub Ramsey'a Clarka, i że to co im przeszkadza w pełnym dobrej wiary dialogu, to nieco wybujała obsesja zagrożenia ze strony Zachodu. Tę nietrudno będzie przezwyciężyć, przekonawszy ich, że ani Zachód ani USA nie są dla nich żadnym zagrożeniem. W całym tym syndromie samospokojenia czy samooszustwa błąd polegał *nie na tym*, że przywódcy sowieccy są jakimiś innymi ludźmi, bardzo różniącymi się od nas, że nie pragną pokoju i że posługują się inną logiką niż Zachód. Przeciwnie — logika ich na pewno nie była żadną tam specjalnie marksistowską, ale najzwyczajniej w świecie zdrowo-chłopską. Pokoju — o czym będzie mowa niżej — są spragnieni nie mniej, a może nawet bardziej niż zachodni politycy sobie wyobrażają. Tyle tylko, że w moim pojęciu — i jest to rzecz najważniejsza — są ludźmi innej epoki, epoki feudalnej. Albowiem system sowiecki w swej strukturze władzy i sposobie traktowania swych poddanych i reszty świata — jeśli odrzucimy wyzwolenczą retorykę, w którą nie wierzy ani Breżniew ani najniższy aparatczyk — posługuje się systemem wartości moralnych, praktykowanych w feudalizmie. Wówczas to elity wyniesione na szczyty decydowały o losach państw i narodów, dostrzegając swych poddanych tylko w tym stopniu, w jakim wymagały tego ich interesy państwowo-dynastyczne. Czy byli mniej moralni od nas współczesnych? Traktując rzecz po marksistowsku — niekoniecznie. Żyli w świecie innym niż nasz, inaczej nań patrzyli i inną wyznawali moralność. Ich *ethos* był produktem zarówno ówczesnego porządku społecznego jak i ówczesnej prymitywnej (w porównaniu z naszą) technologii. Zresztą jedno i drugie było ściśle ze sobą sprzężone. Albowiem główną tragedią Związku sowieckiego jest to, że przy współczesnej technologii musi dla utrzymania władzy zachować neo-feudalny profil społeczeństwa. Niedobrze te dwa zjawiska ze sobą współgrają. A ponieważ ludziom w nowych warunkach cywilizacyjnych ciężko pogodzić się z przedwiekową feudalną moralnością, choćby nie wiem jakim lukrem ją smarowano i kamuflowano, więc nowe stosunki wytwórcze — aż wstyd to powtarzać za Marksem — rozsadzają powoli cały system. Ale przywódcy sowieccy tego nie widzą, albo może widząc, nie chcą się z tym pogodzić, pozostając wierni swojej neofeudalnej oby-

czajowości, którą nazwali „socjalistyczną”. No i stąd zmartwienie, kłopot, a w dialogu z Zachodem zupełna asymetria i brak możliwości porozumienia².

Jak się rzekło, Breżniew i towarzysze od dawna dostrzegając niedomagania systemu, przestawili się na zbrojenia, uważając, że znaleźli właściwy klucz do kapitalistycznej twierdzy, kapitalistycznego spichrza i kapitalistycznych *uniwersmagów*. Oczywiście, dając większy niż kiedykolwiek przedtem priorytet arsenałowi najnowocześniejszych broni, zwiększyli jeszcze bardziej niewydolność systemu w sektorach, nie służących wojnie. Innymi słowy, świadomie zabrnęli głębiej w trudności konsumpcyjne. Światłem i drogowskazem była i jest dla nich przyszła kapitulacja Zachodu. Czy ma ona oznaczać powszechny komunizm, w który wierzył kiedyś prostoduszny Chruszczow? Bynajmniej. Był wprawdzie czas, gdy jedyną gwarantowaną metodą zwycięstwa Sowietów było narzucanie upatrzonym krajom komunizmu. Tak było z Polską i całą Europą Wschodnią. Niczego bowiem wówczas innego nie wymyślono. Podbój sowiecki oznaczał komunizm. Jeśli nie od razu, to w najbliższej perspektywie. W owych nieskomplikowanych czasach, gdy Stalin wyobrażał sobie, że można narzucić komunizm wszystkim ludom i zmusić je do posłuszeństwa i wydajności pracy metodami, które tak niefrasobliwie stosował, nic nie stawało na przeszkodzie, aby podporządkowane sobie kraje maksymalnie eksploatować, narzucając im system sowiecki. System ten, jakkolwiek z punktu widzenia ekonomicznego funkcjonował bardzo źle, niemniej funkcjonował, trzymany skutecznie obręczą stalinowskiego terroru. Dlatego się nie rozsypywał. Była w tym jakaś logika, której zaprzeczeniem była chruszczowowska euforia i wiara, że można skłonić ludzi do wydajnej pracy w kulawej strukturze gospodarczej przy znacznie zwolnionej presji władz. Po fali kilkuletniego zamieszania przyszedł ponury realista Breżniew. Zbiegło się to z nadejściem w świecie rewolucyjnej technologii. Ta stała się katalizatorem nowej sowieckiej stra-

2. W artykule pt. „Amerykańskie refleksje powyborcze”, opublikowanym w nr. 1/400-2/401 *Kultury* z r. 1981 pisałem o kolizji w jakiej znalazły się ustroje kapitalistycznych demokracji w obliczu nowej technologii i spadających na ich barki obowiązków państwa opiekuńczego. Przedmiotem moich obecnych rozważań jest przyszłość państwa sowieckiego. Tematyka w powyższym fragmencie jest więc bardzo zbliżona, choć dotyczy dwóch różnych obiektów. Chodzi w niej o konfrontację starych struktur społecznych z nowymi, rewolucjonizującymi ludzkość technologiami. Takie konfrontacje nigdy nie bywają łatwe. Im bardziej zamierzczała jest obyczajowość (i o ile nie ma w sobie cech naginających system do nowych stosunków wytwórczych), tym proces ten jest trudniejszy. A ponieważ ilość często przechodzi w jakość, może doprowadzić do szybkiego rozpadu. I pewno — mimo buńczucznych gestów sowieckich liderów — doprowadzi.

tegi wobec zaawansowanych krajów kapitalizmu. W strategii tej należy wyróżnić dwa rodzaje krajów: te, które są narzędziami podboju i te, które są ich celem. Kraje gospodarczo zacofane mają dla Sowietów albo tylko wartość strategiczną, albo są ewentualnym źródłem surowców, których wydobycie odegra bardzo ważną rolę w przyszłości. Inaczej mówiąc kraje Trzeciego Świata, które stały się lub które mają stać się łupem sowieckim, nie są dla Moskwy celem samym w sobie, ale jedynie środkiem. Zaliczyć je należy do kategorii zbrojeniowo-strategicznej. Są to pozycje na ogół deficytowe. W komunistyczną Kubę Sowietom opłaca się łądować kilka milionów dolarów dziennie, między innymi dla wypełnienia głodnych żołądków, podobnie jak opłacało im się wybudować flotę łodzi podwodnych, z których niektóre (jeśli wierzyć prasie amerykańskiej) mają szybkość 120 km na godzinę, a głębokość zanurzenia trzykrotnie wyższą od znanej Amerykanom.

Kuba, rakiety SS 20, Południowy Jemen, łodzie podwodne z wyrzutniami nuklearnymi, Nikaragua, SS STYX, Angola, Migi 25, Etiopia, Salwador i projekty broni laserowo-nuklearnej — to wszystko, mimo tak różnej materii — bo wymieniamy jednym tchem kraje i narzędzia zniszczenia — są środki z inwentarza zbrojeniowo-strategicznego Sowietów.

Czy kraje ekonomicznie zacofane nie są problemem samym w sobie? Oczywiście tak. Ale to, że stały się kartami w rozgrywce Sowiety *versus* Zachód jest wyłącznie następstwem zainicjowanego podboju świata przez Moskwę. Z tego powodu Kreml absolutnie nie jest zainteresowany w tym, czy chłop południowo-jemeński, rolnik etiopski lub mieszkaniec Salwadoru ma co jeść lub w co się odziać. Więcej — oblicze polityczne takiego strategicznie ważnego terytorium obchodzi Sowietów tylko o tyle, o ile ułatwia im kontrolę nad pozostającym pod ich wpływami krajem. Nie zawsze zresztą kuratela polityczna jest nieodzowna. Wiele zależy od poziomu cywilizacyjnego ludów. Czasami wystarcza tylko mgliście rewolucyjny szyld (ale zawsze ostro antyamerykański lub przynajmniej antyimperialistyczny), ponieważ on jest papierkiem lakmusowym przydatności rejonu. Bywa zresztą, że i bez tego można się obejść i wystarcza uzależnienie ekonomiczne (skoro nie można inaczej) miejscowych dyktatorów. Ci ostatni — jak to się zdarzało w niektórych krajach arabskich — nie życząc sobie zwolenników komunizmu, wieszali ich bezceremonialnie na placach publicznych. Czynił to np. bez szczególnego zgorszenia Moskwy prezydent Iraku Saddam Hussein, do niedawna wierny sojusznik ZSSR. Obojętność, jaką wobec takich wydarzeń okazywał ZSSR, świadczyła o skoncentrowaniu

się na jednym podstawowym celu, któremu — zgodnie z zasadami dobrej roboty — winno być podporządkowane wszystko. Starą tę regułę Stalina doprowadził do perfekcji Breżniew, oczyszczając strategię sowiecką z obciążenia doktrynalnych. W tej strategii, z nielicznymi wyjątkami, liczy się tylko ciężar strategiczno-gospodarczy, a nie polityczny sojusznika. Pułkownik Kadaffi, mający poza ropą bardzo dobre położenie geograficzne i który ostatnio zaanektował Czad, choć ożenił Marksa z Mahometem (popularyzując tę doktrynę w formie zielonych książeczek) i bardzo nie lubi sowietyzmu, jest cenionym sojusznikiem Moskwy. Oczywiście po licznych nieprzyjemnych doświadczeniach Kadaffi nie jest zbyt pewną kartą. Któregoś dnia może dokonać nieoczekiwanej wolty i stanąć w opozycji wobec Kremla. Ale tę stratę Moskwa przeżyje i przecierpi. Natomiast to z *czym Sowietom trudno byłoby się pogodzić*, to z utratą Kuby. Kuba nie jest jednym z sojuszników ZSSR. Jest sojusznikiem nie do zastąpienia. Powody są aż nadto oczywiste: 1. Jej funkcja jako bazy wojennej i przedłużenia zbrojnego ramienia Sowietów na obszary Afryki i Ameryki Łacińskiej. 2. Jej bliskość od wybrzeży amerykańskich. Dlatego Kuba musiała być połączona z Sowietami więzami silniejszymi niż jakikolwiek kraj Europy Wschodniej (ponadto trzeba zrównoważyć jej oddalenie od granic ZSSR). Ponieważ ludność kubańska, o głębokich tradycjach kulturalnych, jest nieporównywalna z mieszkańcami rejonów azjatycko-afrykańskich, żadne mgliste szyldy rewolucyjne nie mogą tu wystarczyć. Kuba może być albo krajem całkowicie podporządkowanym sowietyzmowi albo eksplodować antykomunizmem. Dlatego żadna inwestycja i pomoc dla reżymu Castro nie jest dla Moskwy zbyt kosztowna, a gdy sytuacja gospodarcza sygnalizuje niebezpieczeństwo wybuchu — otwiera się wentyl bezpieczeństwa, przez który wyciekają setki tysięcy ludzi. Doniosłość Kuby dla Imperium Sowieckiego jest niemal taka sama jak PRL-u, tylko, że położenie Kuby wyklucza jedno: proces stopniowej erozji władzy.



Ukazałem w skrócie to, co nazywamy sowieckim arsenałem zbrojeniowo-strategicznym. Należą do niego zarówno kraje i ludy jak i środki zniszczenia. Są one instrumentem podboju. Celem jest Zachód i Japonia. Te właśnie kraje traktuje ZSSR jako nieprzebrane źródło bogactw materialnych, których ani on, ani żadne inne państwo komunistyczne produkować nie może i nigdy nie będzie mogło. Dlatego, gdy mówimy lub piszemy o wojnie, która grozi ze strony Sowietów, musimy uwzględnić jedną ważną oko-

liczność. ZSSR, mając wspaniały arsenał i poprawiając sobie z każdym rokiem pozycję strategiczną, poza tym nie ma nic³.

Za przemysłem zbrojeniowym stoi urągające wszelkim proporcjom nikłe zaplecze gospodarcze kraju, zredukowane, jeśli chodzi o zaopatrzenie ludności, do mikro-rozmiarów. Poza tym pozostaje ono w stanie ustawicznego chaosu organizacyjnego, wynikającego z centralnego planowania. Z tego powodu, chcąc opanować bogate kraje kapitalistyczne, Sowiety nie mogą swego przeciwnika zniszczyć — ściślej zniszczyć jego ekonomii — z tej prostej przyczyny, że chcą go obrabować, i to obrabować nie jednorazowo, ale zapewnić sobie rabunek permanentny. Dlatego mniej lub więcej dyskretnie demonstrowanie broni nuklearnych jest ze strony sowieckiej zwykłym bluffem. Służy ono tylko i wyłącznie zastraszeniu przeciwnika, by z możliwie nietkniętymi zasobami oddał się we władzę Sowietów. Zachód, zamieniony w wyniku wojny w cmentarz atomowy nie byłby dla Sowietów żadnym zwycięstwem, ale całkowitą klęską, nawet gdyby przed kontruuderzeniami nuklearnymi uchroniły się wielkie miasta Rosji. Po takim „zwycięstwie” zostaliby ze swymi niezużytymi pociskami atomowymi, zatrutą atmosferą, a co gorsza pustym spichlerzem i głodną ludnością. Byliby jak Francuzi w roku 1812, którzy wkroczyli do spalonej Moskwy po to, żeby ginąć z głodu, mrozu i chorób. Tylko że to co było 168 lat temu tragicznym przeznaczeniem Wielkiej Armii, tym razem byłoby losem całego sowieckiego narodu. Oczywiście i reszty świata, porażonej udarem promiennym ale to nie byłoby żadną pociechą dla władców Kremla, gdyż byłoby to jednocześnie wyrokiem śmierci na ich imperium. W przeciwieństwie do Hitlera, który chciał cały świat pociągnąć za sobą w otchłań, ani Kreml, ani liczna biurokracja sowiecka nie ma na to najmniejszej ochoty. Dlatego Sowiety nie mogą prowadzić z Zachodem takiej wojny jakie dotychczas toczyły ze sobą wrogie państwa. Dotąd wojny polegały nie tylko na niszczeniu armii i zasobów ludzkich, ale przede wszystkim na druzgotaniu ekonomicznego zaplecza przeciwnika; Sowiety jednak właśnie to zaplecze pragną zachować w stanie możliwie nie naruszonym. Idealnym rozwiązaniem, do którego dążą powoli i konsekwentnie, jest zwycięstwo nad Zachodem bez wystrzału

3. Oczywiście słowu „nie” należy się tutaj pokaźny gram soli. Produkcja pokojowa sowiecka, jakkolwiek przedstawia się żałośnie, nie jest doprowadzona do bezwładu. Bieżące potrzeby ludności muszą być w jakimś minimalnym stopniu zaspokajane. W każdym razie aktualna sytuacja w zakresie zaopatrzenia ludności jest gorsza niż przed dziesięciu laty i nie przedstawia się lepiej od tej, w jakiej znalazła się w ostatnich latach Polska. Wątpiącym zalecam lekturę artykułu George'a Feifera w *Harper's Magazine* z lutego 1981 r.

(chyba, że na wiwat!). Dlatego przez lata robią wszystko, by Zachód doszedł do wniosku, że zbrojny opór jest bezcelowy. Nie odkrywają przy tym oczywiście swych planów; zbrojąc się w szaleńczy sposób, zawsze czynią to w celach „obronnych”.

Zadowolenie, wyrażone kiedyś na łamach *Kultury* przez amerykańskiego politologa polskiego pochodzenia, iż w ciągu „ostatnich 35 lat w Europie panował okres pokoju”, pozostać może niezmacone. Żeby jednak Paryż, Bonn, Oslo, Amsterdam i Rzym zmusić do uległości, można poza terrorem nuklearnym użyć innej broni, konwencjonalnej, i nie w formie pogroźki czyli atomowego widma, ale w praktyce, tyle, że z dala od obszaru, na którym Sowiety zbierają zamierzają swoje plony. Miejscem tym są terytoria wokół Zatoki Perskiej — czyli źródła energetyczne Europy i Japonii. Żeby wyeliminować w tym miejscu zagrożenie sowieckie, Zachód i Stany Zjednoczone muszą bronić swej granicy nie na Łabie, ale w rejonach Iranu, półwyspu Arabskiego i Libii. Wypada w tym miejscu powtórzyć rzeczy powszechnie znane. Gdyby Hitler w roku 1942 dotarł do źródeł naftowych Rosji i Bliskiego Wschodu, powaliłby ZSSR i Anglię na kolana, zanim Ameryka zmobilizowałaby swe siły. Jeśli Breżniew sięgnie do zatoki Perskiej i Półwyspu Arabskiego, a Stany Zjednoczone nie zdążą go uprzedzić, otrzyma Europę Zachodnią na srebrnym półmisku. Nie będzie jej zdobywał. Nie będzie jej zmuszał do żadnego aktu kapitulacji. Złoży tylko ofertę dostaw ropy na odpowiednich warunkach handlowo-politycznych. Otrzyma to czego pragnie w formie transakcji. Ponieważ jednak Sowiety zauważyły, że od pewnego momentu czas zaczął pracować przeciwko nim, muszą się spieszyć. Ale jeszcze mniej czasu mają Zachód i Ameryka. W istocie nie mają one już w tej chwili żadnego wyboru, ponieważ opanowanie inflacji światowej wydaje się niepodobiestwem przy ustawicznych zwyczajach ropy dekretowanych przez OPEC. Albo ceny ropy, których nikt nie jest w stanie kontrolować, doprowadzą poprzez wyżkę kosztów energii do sparaliżowania produkcji państw przemysłowych i bezprecedensowego kryzysu, albo na tereny ropodajne Bliskiego Wschodu wkroczą Sowiety, dyktując Zachodowi zarówno ceny jak i swoje warunki polityczne. Jakakolwiek ewentualność zajdzie, każda oznaczać będzie katastrofę. W tej sytuacji przygotowanie do działań militarnych *Rapid Deployment Force* — szybkich ruchomych sił, łatwych do przetrzucenia na tereny zagrożone — staje się sprawą najwyższej wagi. Wobec tego zadania Waszyngton winien odłożyć na dalszy plan inne projekty dozbierania Ameryki, łącznie z bilionowymi wydatkami na MX-y (tunele do umieszczania ruchomych wyrzutni), samoloty B-1, i inne bronie, których pełną operatywność przewiduje się na połowę lat osiemdziesiątych.

Gdy dach się pali, trzeba biec na ratunek z sikawką, a nie myśleć o instalowaniu piorunochronów. *R.D.F.* winno być użyte nie na wypadek zagrożenia pól naftowych — bo wówczas i tak będzie za późno — ale prewencyjnie, ponieważ uniedostępienie ich w tej czy innej formie Zachodniej Europie i Ameryce jest już tylko kwestią czasu⁴.

W ciągu ubiegłych lat, dzielących nas od pierwszej 400-procentowej podwyżki cen ropy i embarga nałożonego na Stany Zjednoczone w roku 1973, cały świat zachodni dokonywał niewiarygodnych akrobacji, by wybrnąć z kryzysu energetycznego. Idea opanowania go poprzez oszczędzanie jest kompletnym złudzeniem. Prawda — w ciągu ubiegłych dwóch lat USA zużyły o 14 % mniej ropy niż w poprzednim okresie. Ale po pierwsze, amerykański pas założony był tak luźno, że można go było łatwo zacisnąć, a po drugie — nikt nam nie powiedział, jaka część zaoszczędzonego paliwa była następstwem skurczenia się produkcji amerykańskiej — w tym głównie firm samochodowych, z których każda zamknęła swój roczny bilans miliardowymi stratami. Jakie dalsze oszczędności są możliwe? Japonia jest maksymalnie ściśnięta. Francja wypraszać będzie ropę od szejków, robiąc dumne miny i upakarzające gesty. Na chwilowe nasycenie rynku ropą, której ceny wcale nie maleją, ale rosną, niektóre kraje OPEC, jak Arabia Saudyjska, już zareagowały. Zapowiedziały obniżenie produkcji i dalszą wyżkę cen. W ten sposób producenci ropy przekreślają kalkulacje skrzętnych energetycznych gospodarzy. — Jeśli zużyjecie mniej ropy — powiadają — nic nie zyskacie, bo będzie was ona tyle samo albo i więcej kosztowała.

4. Por. artykuł prof. Roberta Tuckera pt. „American Power and the Persian Gulf” — *Commentary*, listopad 1980 r. Niektórzy krytycy tego typu propozycji, z którymi polemizuje prof. R. Tucker, powiadają, że obsługa szybów będzie miała dość czasu, by je zatopić, zanim oddziały desantowe *R.D.F.* zdążą je zabezpieczyć. Możliwe. Ale wypompowanie wody i doprowadzenie szybów do pełnej eksploatacji potrwa nie dłużej niż 6 tygodni. Rzecz jasna, że tego typu operacja nie może być wszczęta bez rezerw strategicznych ropy, które Stany Zjednoczone — wbrew protestom szejka Yamani — uzupełniają. Wsuwa się również względy etyczne — motywując, że inwazja cudzego terytorium jest zawsze niemoralna. Niekoniecznie. W każdym razie nie w tym wypadku. Bogate w ropę kraje arabskie i inni członkowie OPEC, dokonując szantażu naftowego na Europie Zachodniej i Japonii, powiększając nędzę zacofanych krajów Trzeciego Świata, nad którymi ronią krokodylowe łzy, postawiły się w sytuacji sojusznika Sowietów w dziele zaciskania pętli na gospodarce Zachodu i Japonii. Mając pod bokiem ZSSR, nie są w stanie zabezpieczyć tak potrzebnych całemu światu surowców. W tych warunkach węzeł gordyjski bliskowschodniej nafty, będącej we władaniu arabskich szejków, niezdołnych do zabezpieczenia jej przed napastnikami, będzie z pewnością rozcięty. Ta ze stron, która uczyni to wcześniej, zyska decydujący atut.

Inne źródła energii wyprowadzą prawdopodobnie świat z kryzysu, ale jest to kwestia co najmniej piętnastu lat. A więc w okresie najbardziej krytycznym, który mamy przed sobą, układ krażeńowy gospodarki światowej zasilany będzie ropą i paliwami pochodnymi. Czy do tego czasu o naszych losach decydować będą igrający z ogniem szejkwowie i władcy Arabii Saudyjskiej? Niestety, nawet nie oni, ale Sowiety.

Sowiety obiegają wolno i cierpliwie twierdzą europejską, nie mogąc w obawie zniszczenia wziąć jej szturmem. Mogą ją zdobyć tylko głodem naftowym. Z tego powinni zdać sobie sprawę Europejczycy i przestać bać się sowieckiej bomby. Z drugiej strony oceanu Amerykanie, którzy ocknęli się nieco z letargu, nie powinni załatwiać wszystkich zaległych spraw obronnych od razu, ale w kolejce ich ważności. Pierwszym krokiem, zainicjowanym wspólnie z Europą, powinno być odebranie Sowietom atutu blokady naftowej. Jeśli tej operacji nie przeprowadzi się szybko i skutecznie, to proces „zmiękczenia” Europy Zachodniej będzie postępował dalej. Już teraz wybór Reagana, który swój stosunek do Sowietów zupełnie wyraźnie zdefiniował, wywołał u niektórych europejskich premierów i prezydentów umiarkowany popłoch. Popłoch może przedwczesny, bo najlepsze zamiary przeżwo patrzącego na sprawy międzynarodowe amerykańskiego prezydenta mogą się rozbić o opór Kongresu, nie mówiąc już o opinii publicznej, która się tak bardzo od europejskiej nie różni. Chyba tym, że jest bardziej różnokolorowa od Francuzów, Holendrów, Szwajcarów i innych. Niestety, ta wielobarwność wcale nie pomaga. Z tego więc powodu, żeby zapobiec nieatrakcyjnej perspektywie, która wciąż staje przed moimi oczyma, może byłoby warto wyobrazić sobie, jak by ona wyglądała przynajmniej w jednej z możliwych wersji.



Historia sprawia czasem dziwne i ciekawe niespodzianki. Niedgdy mocarstwa kapitalistyczne utrzymywały w swym władaniu kolonie lub celowo wstrzymywały rozwój innych feudalno-kapitalistycznych krajów, by je zachować jako źródło surowców i rynki zbytu. Nabywały od nich surowce tanio albo całkiem za darmo, po to, by sprzedawać gotowe towary — drogo. Tym były dla Zachodniej Europy kraje afrykańskie, Bliski Wschód, carska Rosja i Ukraina, będąca poza tym niewyczerpanym spichlerzem Europy. Podobną rolę pełniły wobec Stanów Zjednoczonych kraje Ameryki Łacińskiej. Logika ewolucji Związku Sowieckiego jest niezmiernie osobliwa i zapewne bezprecedensowa w dziejach świata. Optymalne rozwiązanie, które zadowoliliby obecne aspi-

racje sowieckie wobec Zachodniej Europy, można by zaprezentować w następującym skrócie:

— Ponieważ nie możemy produkować w ramach naszego systemu tego wszystkiego, co jest potrzebne naszym narodom do życia — a systemu zmienić nie zamierzamy — wy, narody kapitalistycznej Europy i Japonii, będziecie to dla nas robić. Zmusimy was do tego nie tylko groźbą użycia siły, ale poprzez kontrolę światowych surowców. Będziecie naszym *Hinterland'em à rebours*. W zamian za zgodę podporządkowania się pewnym naszym bardzo formalnym regułom nie zamierzamy zmieniać istoty waszego ustroju, ponieważ w naszym politycznym i ekonomicznym interesie leży zachowanie waszej nieuszczipionej produktywności. Postaramy się rozwiązać wasze kłopoty surowcowo-energetyczne ku obopólnej korzyści, a wtrącać się w wasze wewnętrzne sprawy będziemy tylko w wypadku zagrożenia naszych interesów. Nie będziecie — broń Boże — żadnymi republikami, ani nawet KDL-ami. Nawet mowy o tym być nie może. Gotowi jesteśmy nawet zakazać istnienia waszym partiom komunistycznym, żeby im raz na zawsze wybić z głowy niewczesne zachcianki zmiany ustroju. Będziecie nadal niepodległą Francją, Holandią, niepodległymi Niemcami Zachodnimi, Belgią, Włochami, Japonią itd.⁵

Tak brzmiałaby oferta pokojowa Sowietów. W fantazji i w skrócie. W wypadku nowego porządku na świecie sprawy zostałyby ekonomicznie odwrócone. Zrabowane przez Sowiety surowce, a przede wszystkim ropa (bo właśnie zaczyna się im kończyć, a głębiej wiercić nie mogą, bo nie są w stanie wyprodukować odpowiednich urządzeń) sprzedawana byłaby Zachodowi i Japonii drogo — natomiast gotowe produkty nabywane byłyby tanio. To nowe urządzenie świata, którego cechą byłby „rewolucyjny” podział bogactw, znalazłoby na pewno wielu masochistycznych entuzjastów na Zachodzie. Ci, którzy nie tylko swoje zachodnie gniazdo „kalają”, ale marzą w perwersyjnym upojeniu, aby je obrócić w proch i pył, przeżywaliby na pewno krótką chwilę szczęścia.

Czy Zachód — tak jak go obecnie znamy — oparłby się takiej pokusie? Myślę, że odrzuciłby ją z oburzeniem, gdyby została mu przedłożona w formie otwartej, niedwuznacznej oferty. Ale muzyki na Kremlu mają takt i wyczucie intelektualno-kapitalistycznych odruchów. Wiedzą, że bywają takie fakty dokonane, których nawet dekadenski Zachód nigdy by dobrowolnie nie zaakceptował, ale są i takie, które — narzucone siłą lub

5. Nie mogę jednak w tym układzie wyobrazić sobie Wielkiej Brytanii.

szantażem — będzie przez jakiś czas z najwyższą niechęcią tolerował, by wreszcie, w miarę postępującej erozji oporu, uznać je za smutną ale konieczną rzeczywistość. Dla finansowo-intelektualnej elity podstawowe cele nie doznałyby ciosu: byznes i życie ludzkie nie zostałyby rzucone na stos. W rezultacie powiedziano by sobie: „Cóż robić, skoro mamy takie fatalne geopolityczne położenie, a do tego wszystkiego zdradziła nas Ameryka... (co prawda — myślano by sobie w duchu — gdyby nas nie zdradziła, byłoby jeszcze gorzej, bo musielibyśmy bić się z Sowietami).

Sowiety, które są mistrzami fałszywej inscenizacji, uczyniłyby wszystko, by mit niepodległości ze wszystkimi trójkolorowymi czy wielokolorowymi emblematami zostawić nienaruszony. Swoboda praktyk religijnych byłaby zachowana. Hymny narodowe grano by w świętek i piątek, a pułkownicy sowieccy w czasie ich grania stawaliby na baczność i oddawali wszelkie możliwe honory. Nauki rosyjskiego nikt nikomu by nie narzucał. W istocie mieszkańcy Zachodu zaczęliby go się uczyć sami, bo jakże współżyć z tak dogodnym gospodarczym partnerem, nie znając jego języka?

W ten sposób nastąpiłoby pokojowe wchłonięcie Zachodu w system sowiecki. Rozumie się, że kraje zachodnie nie byłyby żadnym kopciuszkim w Nowym Imperium, które — może — przybrałoby jakąś nową ładną nazwę. Status ich byłby na pewno lepszy od Bułgarii. Tyle tylko, że nie byłyby niepodległe. Ale przecież okazało się nie tak dawno, że można być strasznie dumnym narodem, padać plackiem przed swoją własną wspaniałą historią i udawać, że się nie widzi, z której strony grozi utrata niepodległości. Tak jak to czynili wychowani w de gaulle'owskiej szkole Francuzi, pomstujący bez przerwy na Amerykanów, którzy podobno grozili absolutnym zhołdowaniem Gallów. A może, jak twierdzi Kisiel, ta cała antyamerykańska szopka była tylko zręcznym kamuflażem wobec Rosjan, przeciwko którym de Gaulle nie chciał postawić swych rodaków, znając ich głęboko zakorzenioną niechęć do wojaczki.

Sytuacja, którą opisuję, jakkolwiek wydawać się może płodem mojej imaginacji, jest przecież tylko bardziej radykalną kontynuacją obecnego stanu rzeczy. Już od lat zasobne kraje kapitalistycznego Zachodu i Japonii służą jako rezerwuuar wszelkiego rodzaju dóbr konsumpcyjnych (i technologii) dla ZSSR. Gdyby na skutek jakiegoś kataklizmu reszta cywilizowanego niekomunistycznego świata uległa całkowitej zagładzie, Sowiety nie mogłyby przeżyć nawet kilku tygodni. Dawniej Lenin i Trocki zastanawiali się czy państwo sowieckie może żyć w otoczeniu kapitalistycznym. Obecnie ich spadkobierca Breżniew wie, że nie tylko może, ale że i musi.

Oczywiście obecnie ZSSR jest *vis-à-vis* Zachodu tylko klientem i partnerem. W wypadku realizacji przedstawionego scenariusza sytuacja uległaby zmianie o 180 stopni. Ale tak właśnie bywało, że dominujące militarne państwa zdobywały władzę nad bogatymi, lecz słabymi. W podobny sposób postępowała trzy wieki temu uboga Szwecja, której znakomite i świetnie wyszkolone wojska odbywały rabunkowe pochody poprzez skołatane kraje Europy. Prawda — powie ktoś — były to czasy feudalne. Właśnie o to chodzi. Że są one na wprost feudalne i teraz. Tyle, że Sowiety nie myślą o zbrojnych wyprawach — jak się to dawniej nazywało. Nie zamierzają przejechać się przez Zachodnią Europę jak Tatarzy po Polsce. Przeciwnie, chcą to zrobić systematycznie, po eksploratorsku i racjonalnie. Jeśli chodzi o technologię podboju, są bardzo nowocześni.

Ale to wszystko, choć może się zdarzyć, nie powinno nigdy nastąpić. Imperium Sowietkie jest od lat zżerane wewnętrzną chorobą. I to nie jedną, ale wieloma. Na górze rozdarcie, brak siły decyzji. Jeśli tylko tę decyzję znalazł w sobie Zachód, wojna z Sowietami byłaby z góry wygrana, bo nigdy by do niej nie doszło. Wystarczy, że Moskwa dozna tylko jednego poważnego ciosu — pod jakąkolwiek szerokością geograficzną — by dalsze reakcje nastąpiły w trybie łańcuchowym.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 3 marca 1981 r.

Widziane z Brukseli

RATUJEMY ZACHODNICH EGOISTÓW

Samuel Bronfman, miliarder (w dolarach), właściciel ogromnego koncernu whisky i innych delicyjów, znany filantrop i mecenas, człowiek który „daje” bardzo dużo własnych pieniędzy na tzw. „cele”, spóźnił się kiedyś na jakieś zebranie i zajął skromnie miejsce z tyłu sali. „Ależ, panie prezesie, to niemożliwe, powiedział do Bronfmana jeden z gospodarzy, pańskie miejsce jest przecież w prezydium”. Bronfman nie drgnął, tylko powiedział: „Młody człowieku, niech pan się nie martwi, prezydium jest tam gdzie ja siedzę”.

Niektórzy w Warszawie zachowują się jak Bronfman, nie mają jednak jego pieniędzy. Mylą się, jeżeli sądzą, że tam gdzie oni

siedzą tam jest prezydium, a przede wszystkim, że świat to Bronfman, który siada skromnie i „daje” z miłości bliźniego.

Po pierwsze bowiem, miłość bliźniego to uczucie dwuznaczne i pojęcie abstrakcyjne. Zdaje egzamin z praktyki, kiedy sprwadza się do pukania do drzwi sąsiada o piętro niżej i wypożyczenia szklanki mleka, bo zabrakło na śniadanie. Sąsiad „kocha bliźniego”, ale przede wszystkim wie, że on z kolei będzie mógł zapukać i poprosić o szklankę cukru w podobnych okolicznościach. Kiedy natomiast spirala „pukania do drzwi” wykracza poza szklankę mleka czy cukru, i dochodzi np. do szczoteczki do zębów, żony lub, co gorsza, samochodu, wtedy miłość bliźniego się kończy. Pozostaje nam zwyczajna zawiść, która jak wiadomo polega na tym, że my pragniemy mieć wszystko to, co, oczywiście niesprawiedliwie, należy do innych. Mówimy wtedy: „egoiści”.

Po drugie, pomoc bezinteresowna nie istnieje. Nawet Bronfman, choć szalenie bogaty i dobrego serca, „daje” także z wielu innych powodów nie mających nic wspólnego z miłością bliźniego: ulgi podatkowe, spokojne sumienie, solidarność szczepowa, ambicja, sława, obecność w historii.

Odrotnie do Bronfmana Europejska Wspólnota Gospodarcza nie jest szalenie bogata i nie ma zwyczaju „dawać” na tzw. cele. Komisja EWG nie może, jak Bronfman, wyjąć z kieszeni książeczki czekowej i nie pytając nikogo wypisać kilku zer wyłącznie dla czystego sumienia, albo z umiłowania kraju przodków. Polska, choć to dziwne i dziś w modzie, nie jest, jak wiadomo, krajem przodków urzędników EWG. Pomoc dla Polski nie jest bezinteresowna.

Różne są powody, dla których Zachód chce Polsce pomagać. Oczywiście, jest w tym nieco nut irracjonalnych: kraj chrześcijański, sumienie narodów, przedmurze, szable i romantyzm. Przede wszystkim jednak chodzi o elementy polityczne. Polska stara się obecnie ucywilizować ustrój komunistyczny, ten sam, z którym Zachód musi koegzystować, albowiem nie chce z nim wojować. Zachód ma więc oczywisty interes w tym, aby operacja polska się udała i pacjent nie umarł. Bezpieczniej i przyjemniej jest — jak już kiedyś to ujawniłem — koegzystować z Polską „Solidarności”, Wałęsy i felietonów tygodnika *Polityka*, co jest jednak możliwe nie w ramach imperium brytyjskiego czy austriackiego (hélas!) a tylko z Polską Kani i Jaruzelskiego. I — jak to podkreśla niez mordowany Kisiel — w ramach geopolitycznego imperium Breżniewa.

Teza taka, pozornie prosta, nie jest jednak, o dziwo, powszechnie uznana na Zachodzie. Pogląd, że zachodni kapitaliści i podatnicy, nie mają wyraźnych powodów aby ratować ustrój komunistyczny nie jest odosobniony. A nawet wprost przeciwnie. Argument, że nie należy jednostronnie ratować Ursusa skoro nikt się nie zwraca do ZSSR, aby pomagał ratować bankrutującego Chryslera, nie jest wymysłem li tylko Wiliama Safira,

publicyście, z którym sąsiaduję czasem na tej samej stronie amerykańskiego dziennika. Wielu wybitnych polityków, kilku byłych i obecnych ambasadorów w Warszawie, spora liczba fachowców od finansów i gospodarki, uważa np., że Polsce można by pomagać i udzielać dalszych kredytów nie w ogóle i nie jak filantrop Bronfman dla czystego sumienia i z dobrego serca, a w wspólnym interesie polsko-zachodnim. Min. pod warunkiem przeprowadzenia poważnej reformy gospodarczej i poddania sposobu użytkowania kredytów określonej kontroli międzynarodowej. Inaczej bowiem — obawiają się na Zachodzie — także następne miliardy zostaną zmarnowane przez tych samych co już popsuli kilka zegarków i zwrot długów będzie jeszcze bardziej wątpliwy. Nie wiem w jakim stopniu artykuł Kurowskiego ze styczniowej *Kultury* został na Zachodzie przeczytany i przyswojony, ale wiem, że w czasie dwóch seminariów na uniwersytetach w Rzymie i w Paryżu interesowano mnie w kwestii uzależnienia dalszych kredytów dla Polski od przeprowadzenia tam wiarogodnych zmian w zarządzaniu gospodarką i ludźmi i dysponowaniu zasobami.

Na razie jednak w EWG utrzymuje się pogląd bardziej umiarkowany. Ten mianowicie, że bez wpadania w przesadną spiralę „pukania do drzwi”, Polsce należy jednak nadal pomagać przezwyciężać trudności, które — jak tu wszyscy wiedzą — nie są ani trudnościami wzrostu ani przejściowymi. Koła te nie spodziewają się, to jasne, wdzięczności (jest to w polityce uczucie podejrzane), ale chciałyby móc zarejestrować sygnały potwierdzające, że zwolennicy „teorii Chryslera” nie mają racji. Nie mam zamiaru bronić EWG, która nie należy do mych ulubionych tematów, wiem, że wspólnota mogła być uczynić więcej dla Polski, ale trzy rodzaje zarzutów, jakie stawia się Europie za jej pomoc dla Polski, po prostu nie pasują. A mogą zaszkodzić. Nikt przecież nie wątpi, że niedługo delegacja z Warszawy zgłosi się w gmachu EWG z następną listą życzeń. Chodzi o to aby go nie opuściła z listą wyłącznie zażaleń.

Sentymentalny minister

Najbardziej zastanawiający i reprezentatywny jest w tej mierze głos pana ministra Stanisława Długosza, zastępcy przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów PRL. Jeżeli dobrze zrozumiałem wypowiedź pana ministra udzieloną pismu *Rynki Zagraniczne* w dniu 3 marca (lektura nie była łatwa jeżeli zważyć, że trzeba się było przedzierać przez takie pułapki nowomowy jak nieadekwatność, restrukturyzacja, dekonunktura, nawis oraz luka inflacyjna, obiektywizacja itp.), to pan minister ma państwu kapitalistycznym za złe, że „wykazują w stosunku do Polski znacznie więcej egoizmu...”

Można by w tym miejscu sprytnie spytać „więcej egoizmu”, ale od kogo, od jakich innych państw, ale trzeba przede wszyst-

kim wyrazić zdumienie, że pan minister, osoba — jak sam o sobie mówi — „zajmująca się od lat problemami współpracy zagranicznej i negocjacjami z różnymi państwami” wprowadza tak sentymentalne pojęcia jak „egoizm” do stosunków międzynarodowych. Minister, człowiek widać uczuciowy, upiera się przy nieklasycznych czynnikach handlu międzynarodowego. „A w ogóle, — zwierza się — to nie ma co w stosunkach z partnerami kapitalistycznymi liczyć na sentymenty czy grupy enigmatycznych przyjaciół, o których piszą niektórzy nasi dziennikarze. W systemie kapitalistycznym pomaga się tylko wtedy, kiedy można na tym zarobić, albo kiedy się nie chce stracić...”

Nie są to rewelacje. Aż dziwne, że po to aby skarżyć się w ten sposób niezbędne było długoletnie „zajmowanie się”... itd. W końcu p. Długosz ujawnia o kapitalistycznym egoizmie prawdę. „Głośno ostatnio reklamowana 'pomoc' żywnościowa EWG okazuje się — twierdzi p. Długosz — tylko próbą pozbycia się części nadwyżek niektórych produktów na warunkach dogodnych dla tego ugrupowania (zniżki cenowe są mniejsze od kosztów dalszego składowania tych nadwyżek)...”

Można by znowu zapytać za co pan minister brał pieniądze zarobione przez polskiego górnika, skoro w ciągu „zajmowania się od lat” nie był w stanie zrozumieć istoty wilczego systemu kapitalistycznego i odkrył prawdę o „egoizmie” i tzw. „pomocy” dopiero po podpisaniu kontraktów, a nie przed, ale musimy przede wszystkim spytać gdzie twój ratunek, Polsko. Pan minister ma odpowiedź na pytanie gdzie nie ma egoizmu (ani nadwyżek zresztą). „W stosunkach z krajami socjalistycznymi, powiada p. Długosz, możemy niejednokrotnie liczyć na prawdziwą pomoc wynikającą ze wspólnoty interesów nie tylko ekonomicznych”.

Jeżeli znowu pominąć mało precyzyjne określenie „niejednokrotnie” — co bardzo osłabia entuzjazm pana ministra dla „prawdziwej pomocy” — to pozostaje zasadnicza wątpliwość dlaczego rząd PRL i pan minister Długosz w ciągu „długich lat zajmowania się” tak ostro napierali na EWG i na zachodnich bankierów, aby się na Polsce tak egoistycznie, jak pijawki, karmili i pasożytowali.

A teraz, dość sentymentów, kolej na fakty. Punkt pierwszy lamentu pana ministra sprowadza się do odkrycia, że to nie EWG pomaga Polsce, a Polska pomaga EWG w pozbyciu się katastrofalnych nadwyżek, pod którymi ugina się Europa ryzykując śmiercią przez uduszenie i przejedzenie. Co prawda, można by wyrazić żal, że pan minister nie skorzystał z okazji aby wyjaśnić tajemnicę produkowania przez gnijący kapitalizm katastrofalnych nadwyżek, podczas kiedy triumfujący socjalizm zdołał, jak na razie, wyprodukować jedynie nadwyżki bubli i ogonków, ale ważniejsze jest żeby stwierdzić, że teza o nadwyżkach jest w konkretnym przypadku umowy z Polską po prostu nieprawdziwa, a w każdym razie bez większego znaczenia.

Nadwyżki rolne były, są — i będą. Rolnikom zachodnim opłaca się produkować nawet jeżeli wspólnota musi do tego

dopłacać. Nadwyżki te jednak nigdy nie były tak małe jak w chwili decydowania o pomocy dla Polski. Cukru, ryżu, smalcu lub jęczmienia, właściwie wcale w nadwyżkach nie było. Nadwyżki masła równały się dwutygodniowemu spożyciu, co byłoby w Polsce fantastyczne, ale co na Zachodzie jest poniżej normy. Nadwyżki, powtarzam, są i — mam nadzieję — będą jeszcze bardzo duże i w EWG i w USA, skąd w roku 1980 popłynęło do Europy wschodniej ponad 10 milionów ton zboża, głównie do Polski. Dzięki więc Panu Bogu za nadwyżki i za takie katastrofy. Niech polski minister, który powinien mieć tak dużo zmartwień na głowie, nie zajmuje się ratowaniem EWG od tego nieszcześcia.

Drugim punktem to zarzut szwindli z cenami. Ktoś z Warszawy puścił plotkę i ktoś inny narobił hałasu — niekoniecznie w interesie Polski — że EWG sprzedała Rosji masło po cenach niższych od tych, jakie zapłacić musiała Polska. Prawda jest wprost przeciwna. Nie należy przesadzać, dosyć nieładnych kombinacji kryje EWG w dziedzinie przełamywania np. embarga zbożowego wobec Rosji, aby trzeba było wymyślać nowe. Polska zapłaciła za masło 15 % poniżej ceny światowej. Na tym właśnie polegała pomoc EWG, która pokrywa różnicę między ceną płaconą przez Polskę, a ceną jaką otrzymuje producent czy eksporter i która na ogół równa się cenie światowej. Rosja natomiast płaciła pełną cenę, bez żadnych tzw. restytucji. Plotka wykorzystuje nieporozumienie: to co sprzedawano Rosji poniżej światowej a nawet polskiej ceny masła, to był tłuszcz mieszany maślanokokosowy nie nadający się do spożywania przez ludzi. Smaczne go!

Trzeci wreszcie punkt, to zarzut opieszałości technicznej i kredytowej w realizacji umów zawartych z Polską. Znowu nieprawda, rzadko kiedy w praktyce EWG czyny poszły tak szybko za słowami. W dniu 17 marca, kiedy piszę te słowa, Polska mogła już zakupić — i formalnie biorąc rzucić na rynek — 100 % zakontraktowanych ilości masła, cukru, ryżu, 75 % wołowiny i zboża, itd., a opóźnienia zdarzały się z powodu niecodziennego charakteru transakcji. Włochy i Irlandia np. nigdy jeszcze nie udzieliły nikomu spoza EWG kredytów na zakup produktów rolnych. Jeżeli więc nie ma jeszcze śladu nadwyżek w sklepach i jeżeli ktoś jeszcze zadaje sobie pytanie „czy będziemy kiedyś jeść nadwyżki EWG”, to niech się zwróci po wyjaśnienie nie do komisji EWG czy parlamentu europejskiego, a do osób formalnie sprawujących władzę w PRL.

Nie egoizm a wyrachowanie

EWG nie jest stowarzyszeniem bractwa różańcowego ani armią zbawienia. Zajmuje się nie Kochaniem bliźniego a robieniem interesów. Odmienne zresztą od pana ministra, polscy przedstawiciele do kontaktów z komisją EWG nie mają co do

tego wątpliwości i nikomu nie wymyślają tu od egoistów. Wprost przeciwnie, bardzo są zadowoleni z przebiegu rokowań i realizacji umów. Mówią OK i w dalszym ciągu starają się — wbrew rozpaczom ministra od planowania, zachować możliwość sięgania do katastrofalnych nadwyżek nie w celu ratowania kapitalizmu, a w celu ulżenia doli Polaków. Odmienne niż ich minister, są oni zdania, że jeżeli chcemy, aby kapitaliści w dalszym ciągu pomagali rządowi w Warszawie ratować bankrutującą polski komunizm, to trzeba i tam w Polsce i tu w Brukseli zachowywać się poważnie.

Decyzja udzielenia Polsce pomocy miała oczywiście charakter polityczny. Nie podjęli jej urzędnicy komisji EWG duszeni nadwyżkami, a podjęli ją szefowie państw EWG formalnie na szczycie w Luksemburgu, faktycznie zaś nieco wcześniej, kiedy udało się wtłoczyć do ich świadomości fakt, iż nad Polską wisi dosyć niebezpieczeństw i że należy zmniejszyć groźbę wybuchu np. z powodu nędzy, koszmarnych ogonków, wściekłości zrozpaczonego tłumu i oszukiwanego społeczeństwa. Decyzja ta wynikała także z dobrze pojętego interesu Zachodu, który w czasie Afganistanu, Salwadoru, itd., nie chce dodatkowych napięć i nieporównanie groźniejszych komplikacji polskich. Tak więc się składa, że interes Polski i interes EWG uzupełniają się lub po prostu nie są ze sobą sprzeczne.

Jest to stan pozytywny, który należy przedłużać jak długo się da. Nie pomagają temu prostackie propagandowe łamańce, nie tylko negujące czy przemilczające niewątpliwy wysiłek EWG, którego kraje członkowskie przeżywają głęboki kryzys gospodarczy, ale lansujące nieprawdziwe zarzuty i śmieszne pretensje. Pan minister obliczył, że składowanie nadwyżek kosztowałoby więcej niż wyniosły ulgi cenowe, a pewien dziennikarz obliczył, że odsetki od kredytów niezbędnych dla zakupu zakontraktowanych nadwyżek EWG przekroczą wartość bonifikat udzielonych przez Brukselę.

Odpowiedź Brukseli mogłaby być prosta: nie brać kredytów, nie kupować nadwyżek, niech kapitalizm zgnije do końca, a EWG udusi się pod górą nadwyżek, nie ratować „Chryslera”, nie kupować od... Zachodu.

Nienapisany rozdział

A propos...

Polemizując z Wiliamem Safirem, autorem w *New York Times*'ie tezy o „Chryslerze”, dziennikarzem, który według *Polityki*, „traktuje naród polski wyłącznie jako kartkę do wydarcia z podręcznika historii, po to, żeby później dzieciom amerykańskim pokazać, że na brakujących stronach mieścił się rozdział pt. „Polska odnowa”, tygodnik warszawski wyraża nadzieję, że „są w Ameryce ludzie, którzy lepiej rozumieją Polskę i sytuację naszego narodu. Być może wytłumaczą oni (Safirowi), że Polacy wcale nie pragną być amunicją w wojnie ideologicznej...”.

Nikt nie pragnie. Są w Ameryce a także i w Europie ludzie, którzy tłumaczą to Safirowi i innym. Nie robi tego wszakże *Polityka*. Zanim Safire zdoła wydrzeć z podręczników historii rozdział pt. „Polska odnowa”, tygodnik *Polityka* powinien podjąć trud właściwego zredagowania i napisania tego rozdziału. Inaczej bowiem, tak jak się to właśnie teraz dzieje, na placu pozostaną historycy tej klasy co Moczar i Gontarz, Sokorski czy Krasicki, żeby już pominąć pismo codzienne *Żołnierz Wolności*, pilnie czytane nie tylko w Moskwie ale i na Zachodzie, jako że jest to organ obecnego premiera. Tacy historycy nie mają żadnej szansy przekonania Safirów o tym, że Polacy nie chcą być amunicją w wojnie ideologicznej. Wprost przeciwnie.

W chwili kiedy rząd PRL negocjuje już nie kredyt. kilkuset śmiesznych milionów dolarów na zakup żywności, ale moratorium ukryte pod eufemizmem „konwersji” długu 24 miliardów dolarów oraz 10 miliardów natychmiast potrzebnych, z Warszawy wylatują dwie torpedy. Z jednej strony elegia o egoizmie zachodnich bankierów i rządów, z drugiej strony — „Grunwald”. To dobrze, że Zachód poznaje wielkie daty i nazwy z historii Polski, z których wynika, że co prawda jesteśmy biedni, ale że kredyty to nie jest pierwsza okazja do kontaktu z niektórymi naszymi dewizowymi partnerami. Szkoda tylko, że dzieje się tak przy okazji antysemickiej hecy.

Dla nas sprawa jest jasna. Dziwi się należy nie temu że „aż” a temu, że „tylko” 500 „patriotów” znalazło się, aby ujawnić syjonistyczny spiszek. Nie chodzi przecież o syjonistów, a o Wałęsę i o Jaruzelskiego. Obaj ci panowie mają w Polsce i za granicą więcej przeciwników niż liczy cały ruch syjonistyczny z Kurońcem i Michnikiem włącznie. 500 ponurych facetów pod budynkiem byłej bezpieki nie wyczerpuje, niestety!, liczby batalionów, zamierzających zatrzymać odnowę, „wydrzeć kartkę z podręcznika historii”, zamienić Polaków w amunicję w wojnie nie tylko ideologicznej i sprzymierzyć się w tym celu z Moskwą, w czym lansowanie hasła właśnie antysemickich jest zabiegiem naturalnym i skutecznym. Polacy już wiedzą, że i dziś, kiedy Polska jest „judenrein”, i w 1968 roku, kiedy było jeszcze w Polsce kilkanaście tysięcy Żydów, nie chodziło o Żydów a chodziło o Polaków, i że właściwymi adresatami „zdrowego odruchu narodu” — ówczesnego „Grunwaldu” — nie było 15.000 Żydów, których z Polski wypędzono, a było — jak to wykazały tzw. wydarczenia z lat 1970, 1976 i 1980 — 35 milionów Polaków, którzy w Polsce pozostali.

Nie błogostawić

Polacy to wszystko rozumieją, Safirowie niekoniecznie. Układam ten krótki wypis z większej pracy, którą *Polityka*, mam nadzieję, niedługo napisze, po to aby cały świat i Safire zrozumeli naprawdę, że nie chodzi ani o „Chryslera” ani o amunicję

ideologiczną. Brak prawidłowej interpretacji marca 1968 unie-
możliwia prawidłową interpretację „Grunwaldu” 1981, utrudnia
prawdziwy dialog z Zachodem.

Partia oraz niektórzy bezpartyjni traktują Marzec i jego
trujący opad, zakażenie całego jednego pokolenia Polaków, jak
chorobę weneryczną. Lepiej nie dotykać. *Polityka* ogłosiła kiedyś
list w tej sprawie, ale natychmiast zaopatrzyła go nieprzeko-
nyującym komentarzem, (ja wiem, że nie swoim), że to nie
czas na porachunki. Jasne, że z Moczarem czy Olszowskim w
Biurze politycznym, nie mówiąc już o ich brunatnych *porte-
parole*'ach w kraju i za granicą, rewizja Marca i oczyszczenie abce-
su nie jest operacją prostą. Ale partia się pomyliła. Argu-
mentu, że nie „czas na porachunki”, nie wzięli pod uwagę
warszawscy studenci. Ani antysemita!

A tymczasem gdyby nie zabroniono *Polityce*, która ma tyle
zastęg w propagandzie zdrowego rozsądku w Polsce, pójść za
mądrą inicjatywą Bartoszewskiego i innych, to dziś „Grunwaldy”
rozmaitej maści, także gospodarczej, miałyby wyraźne oblicze
nie antysemityczne czy antyzachodnie a antypolskie, a p. Kania
nie musiałby wykonywać dziwacznych łamańców ideologiczno-
propagandowych polegających na potępieniu antysemityzmu i
uznaniu konieczności rewizji Marca, przy równoczesnej odmowie
uznania racji tych, którzy tej rewizji dawno dokonali albo wręcz
byli tego Marca ofiarami. Kania upiera się, że rację miał Mo-
czar a nie Kołakowski. Jest to zajęcie nieproduktywne. „Rewiz-
joniści” ani w kraju ani za granicą, nie są odpowiedzialni ani
za Marzec 68, ani za Grudzień 70, ani za Czerwiec 76, ani —
mam nadzieję, że p. Kania już w to nie wątpi — za Sierpień 80
i to wszystko co po tym nastąpiło...

W czasie wizyty pewnego wysokiej rangi polityka amerykań-
skiego, papież udzielił błogosławieństwa wszystkim obecnym,
rodzinie gościa i licznym dziennikarzom. W pewnej chwili papież
zorientował się, że nie wszyscy obecni są katolikami i szybko
ich uspokoił: „Moje błogosławieństwo nie powinno wam zaszkodzić...”

Oświadczenie p. Kani piętnujące antysemityzm w kraju bez
Żydów, nie może już też nikomu zaszkodzić. Natomiast wyklu-
czenie z jego „partyjnego błogosławieństwa” osobników określa-
nych jako „rewizjoniści” którzy, mimo partyjnej rewizji Marca,
nie mogą liczyć na „rehabilitację”, może być szkodliwe. Dla
p. Kani.

To nie rewizjoniści czy syjoniści powinni prosić p. Kanię i
jego partię o rehabilitację. To p. Kania i jego towarzysze po-
winni skromnie i bez pokrzykiwania prosić o rehabilitację. Po-
winni o to prosić oczywiście nie rewizjonistów czy syjonistów,
a naród polski.

Oraz inne jeszcze narody.

BRUKSEL CZYK

Pisane 17 marca 1981

Korespondencja z Rzymu

Podróż papieża na Daleki Wschód

Prasa światowa relacjonowała obszernie apostolską podróż
Jana Pawła II na Daleki Wschód. Podobnie jednak jak przy oka-
zji poprzednich jego misji zagranicznych, nie brakło naciąganych
lub pochopnych sądów i forsowania z góry założonych tez. Była
to podróż odmienna od dotychczasowych z uwagi na niejedno-
łatość problematyki religijnej i społecznej oraz sytuacji Kościoła
w odwiedzanych krajach. Wszędzie jednak — czy to w czasie
postoju w Karaczi czy też na Filipinach, na wyspie Guam i
w Japonii — papież starał się podjąć to, co określił jako „chrze-
ścijańskie wyzwanie” adaptowane do azjatyckiej rzeczywistości
cywilizacyjnej, dokonać waloryzacji lokalnych kultur etnicznych
i otwarcia wobec wielkich religii Wschodu (islam, buddyzm i
szytoizm). Zasadniczym punktem odniesienia był zawsze, tak
jak w poprzednich podróżach, człowiek, zwłaszcza materialnie
upośledzony, wzytu z przysługujących mu praw lub bezdomny
(uchodźcy z Afganistanu, Kambodży i Wietnamu).

Na Filipinach, tej twierdzy katolickiej w strefie Pacyfiku,
biskupi oscylują między twardymi realiami dyktatury i impon-
derabiliami Ewangelii, którą usiłują wprzęgnąć w służbę spra-
wiedliwości społecznej. Powoduje to napięcia w stosunkach z
władzą, interweniującą nie tylko w przypadkach czynnego udziału
kapłanów w zbrojnym ruchu oporu, podtrzymywanym wzglę-
dnie wygrywanym przez komunistyczną konspirację. W tej sy-
tuacji, na co obserwatorzy nie zwrócili uwagi, kardynał Jaime
Sin, analogicznie jak Prymas Polski w okresie stalinowskim i go-
mułkowskim, obrał strategię, polegającą na stanowczości w obro-
nie podstawowych praw ludzkich i obywatelskich i równoczesnej
elastyczności w kierowaniu stosunkami z reżymem. Ta artyku-
łowana opozycja, podgryzając stopniowo dyktatorski system, oka-
zała się skuteczna. Tak jak w Meksyku czy w Brazylii, papież
wyraźnie określił zadania kleru („nie jesteście liderami poli-
tycznymi”) i przestrzegł przed iluzjami i marksistowskimi ma-
nowcami, na jakie spycha duchowieństwo tzw. teologia wyzwolenia.
Papież przeprowadził „krótki kurs” katechetyczny, który
miejscowi kapłani kontynuują przy pomocy rozprowadzania po-
wielanych tekstów jego przemówień. Papież był świadomy, że
Markos starał się dyskutować jego obecność dla uspokojenia
niezadowolonych mas i odzyskania kredytu społecznego. Próby
odgórnej reżyserii nie powiodły się. Papież wiedział bowiem, jak
uniknąć manipulacji politycznej. Na spotkaniach oficjalnych był
powściągliwy, „spięty w sobie”, jak to określił Marek Skwarnicki,

wysłannik *Tygodnika Powszechnego*. Nie odrywał się od czytanych tekstów, nie było improwizowanych wtrąceń. Żona prezydenta, Imelda Markos, zjawiała się na wszystkich etapach trasy papieskiej z wyjątkiem spotkania z robotnikami plantacji cukru na jednej z wysp archipelagu. W związku z wszędobylską *first lady*, na zapytanie dziennikarzy w samolocie w drodze powrotnej, czy nie wydawało mu się, że jest obiektem „manipulacji reżymu”, papież odpowiedział: „A co miałem robić? Jeśli pani Markos chciała uczestniczyć w nabożeństwach odprowadzanych przeze mnie, czyż mogłem jej w tym przeszkodzić? Tak czy owak, przysłaby czy nie, krytykowano by tak samo”. Nie mają na pewno racji ci obserwatorzy prasowi, którzy, nie bez hipokryzji, sztucznie uwypuklali marginesowe aspekty tej wizyty, kładąc nacisk na doraźną, polityczną jej wymowę. Tak jakby chodziło o wizytę świeckiego męża stanu. Papieskie wizyty, wizyty tego papieża, mają inny wymiar „kalkulowany”, jeśli chodzi o wyniki w skali długofalowej. Papież na pewno wiedział o kręcących się wszędzie tajniakach, o kapłanach, którzy na widok panów w białych tropikalnych uniformach nagle milkli. Czy wizyta papieska spowoduje przełamanie bariery strachu? To się dopiero okaże. Pewne precedensy napawają optymizmem. Papież mógł jedynie — co uczynił — przygotować teren do rozwiązywania ostrych konfliktów politycznych i społeczno-gospodarczych. Mógł — i to też uczynił — umocnić odporność moralną społeczeństwa, natchnąć biskupów i kapłanów do akcji duszpasterskiej i społecznej idącej w głąb problemów, jakimi żyją wierni. Stan wyjątkowy, formalnie tylko zniesiony, nadal przecież istnieje. Dyktatura nie jest wieczna, kiedy i jak pęknie — to inna sprawa. Do próby sił dojdzie wcześniej czy później, choć lepiej, gdyby doszło do niej bez użycia środków przemocy. Kto wie czy lekcja gdańska nie powtórzy się, w innym wariantcie, na odległych Filipinach. Kościół tamtejszy musi być przygotowany do tej rozprawy.

Japonia: sytuacja kompletnie odwrócona. Katolicyzm, przysłowiowa kropla w morzu, w kraju zamerykanizowanym, w którym materializm praktyczny i sekularyzacja dokonały większych spustoszeń moralnych — i stworzyły większe zagrożenie niż na uprzemysłowionym Zachodzie. W sytuacji, w której doszło do zaniku walorów rodzimej kultury i tradycji, wizyta papieża odbyła się w sprzyjającym czasie, wychodząc naprzeciw zjawisku pewnego głodu duchowych wartości. Kontestacja? Dwa, trzy izolowane epizody, mało kogo na miejscu obchodzące. Przeszkodą była natomiast atmosfera pewnego chłodu i obojętności, szczególnie na samym początku. Wizyta u Cesarza wzmocniła prestiż Kościoła i jego instytucji wychowawczych, cieszących się *nota bene* od lat dużym szacunkiem. Doraźnym skutkiem wizyty w Hirohity było uruchomienie mass mediów wokół wizyty papieskiej. Kulminacyjny moment stanowiło oczywiście orędzie papieża w Hiroshimie, ale nie można lekceważyć i spotkań — *shows* — z młodzieżą, nie tylko chrześcijańską, w Tokio, a potem w Nagasaki (centrum katolicyzmu), w którym nie bracko

polskich akcentów folklorystycznych i religijnych. Jakie będą następstwa tej wizyty, bardzo trudno jednak przewidzieć.

Paradoksalnie łatwiej można zmierzyć oddziaływanie ubocznego poniekąd — choć w istocie niesłychanie ważnego — aspektu podróży papieskiej, jakim był nieoczekiwany dla międzynarodowej opinii publicznej gest papieża wobec Chińskiej Republiki Ludowej. W drodze powrotnej, w rozmowie z dziennikarzami, na zapytanie kiedy wybierze się do Chin, Jan Paweł II odparł: „Trudno to powiedzieć. Nie można jednak nigdy tracić nadziei. Japońscy chrześcijanie działali w podziemiu przez dwa wieki. W Chinach chodzi tylko o kilka dziesiątków lat”. W rzeczy samej, zerwanie stosunków pomiędzy Rzymem a Kościołem katolickim w Chinach datuje się od 1951 roku, kiedy nuncjusz Riberi został wydalony i przeniesiony następnie na Formozę. W roku 1971, tuż przed przyjęciem Chin Ludowych do ONZ, Watykan odwołał kolejnego nuncjusza z Formozy i od tej pory rezyduje tam jedynie *chargé d'affaires ad interim*. Sprawę trudniejszą do rozwiązania niż kwestia uznania Chin przez Watykan — co wcale nie musi oznaczać wyrzeczenia się Formozy, gdzie Kościół kwitnie — stanowi stosunek do utworzonego w 1957 roku „Stowarzyszenia Patriotycznego Katolików”. Należą doń zarówno biskupi i kapłani jak i świeccy. Watykan nie uznaje konsekracji tych biskupów za prawomocną, dokonano jej bowiem niezgodnie z prawem kanonicznym. Nie wszyscy jednak biskupi i kapłani przystąpili do „Stowarzyszenia Patriotycznego”, są i tacy, którzy zachowali wierność Stolicy Apostolskiej. Wielu z nich padło ofiarą prześladowań i zmarło w więzieniu. Po likwidacji „bandy czworga” sytuacja zaczęła się stopniowo poprawiać. Otwarto szereg kościołów, nastąpiło pewne rozluźnienie w dziedzinie kultu i kontaktów z Zachodem. W marcu ub. roku z honorami przyjmowano dwóch kardynałów, Etchegaraya i Koeniga, o czym obszernie pisałem w korespondencji „Watykan i Chiny na drodze do *modus vivendi*” (*Kultura* nr 4, 1980). Szczególną aktywność wykazali jezuici, wśród nich Michel Chu, prowadzący sekcję chińską Radia Watykańskiego. W wyniku tych rekonesansów i misji obydwu kardynałów francuscy jezuici liczą na to, że jednym z konkretnych skutków ewolucji stanowiska przywódców chińskich wobec Watykanu będzie zwrócenie im i pozwolenie na otwarcie katolickiego uniwersytetu w Pekinie (działającego przed 1951 rokiem na podobnych zasadach, jak francuski uniwersytet w Bejrucie). Na takim to tle Jan Paweł II wygłosił w Manili swe posłanie, zwrócone co prawda bezpośrednio do przedstawicieli „chińskich wspólnot zamorskich” i do obecnych biskupów z Formozy, skierowane jednak przede wszystkim do Chin kontynentalnych. Orędzie to było gloryfikacją „specyficznych chińskich tradycji moralnych, wyrazem szacunku dla „bogactwa kultury wielkiego kraju”. Papież uznał, że nie ma sprzeczności ani niemożności pogodzenia „równoczesnego bycia prawdziwym chrześcijaninem i autentycznym Chińczykiem”. Zapewnił o swym przekonaniu, że każdy katolik jest gotów pracować lojalnie dla pos-

tepu swego narodu, „ponieważ prawdziwy i wierny chrześcijanin jest zarazem szczerym i dobrym obywatelem”. Największą wymowę jednak w tym papieskim orędziu ma następujący fragment, na jaki korespondenci prasowi nie zwrócili zupełnie uwagi:

„Bieg historii ukształtowany przez ludzkie decyzje był tego rodzaju, że przez wiele lat nie mogliśmy utrzymywać wzajemnych kontaktów. Bardzo mało wiedziano o was, o waszych radościach, nadziejach, a także cierpieniach. Ostatnio jednak dotarły do mnie informacje z różnych stron waszego ogromnego kraju. W ciągu tych długich lat doznaliście niewątpliwie innych doświadczeń, które są wciąż nieznanne. I w tym czasie w waszej świadomości zastanawialiście się nad tym, co należało czynić. Dla tych, którzy nigdy nie zaznali takich doświadczeń, jest rzeczą trudną w pełni opisać tego rodzaju sytuacje... Pragnę wyrazić głęboki podziw dla świadectw wiary, jaką wielu z was wykazało i ciągle wykazuje. Cały Kościół jest dumny z was i czuje się wzmocniony poprzez wasze świadectwo”.

Słowa te, wypowiedziane przez kogoś, kto wie co znaczą trudne do zrozumienia „nieznane doświadczenia”, zawierają zapowiedź realistycznego i zarazem zgodnego z duchem chrześcijańskiej miłości potraktowania przez Watykan niełatwej do rozwiązania kwestii tych członków episkopatu i duchowieństwa, którzy przystąpili do „Stowarzyszenia Patriotycznego” (a jest ich znakomita większość), kontrolowanego przez władze państwowe. Pierwszym zwiastunem takiego podejścia była misja powierzona przez papieża kardynałowi Casaroli, Sekretarzowi Stanu, który, zamiast wrócić z Japonii do Rzymu, udał się do Hongkongu w celu spotkania biskupa Dominika Tanga, administratora apostolskiego Kantonu. Bp Tang był zaproszony przez papieża do Manili, ale z powodu ciężkiego stanu zdrowia musiał pozostać w Hongkongu, gdzie przebywa od listopada ub. roku na kuracji w szpitalu, po otrzymaniu pozwolenia rządowego i gwarancji powrotu do Kantonu. Uwolniony w czerwcu ub. roku, po 22 latach spędzonych w więzieniu, bp Tang jest jedynym biskupem uznawanym zarówno przez Stolicę Apostolską jak i przez władze pekińskie. Natychmiast po uwolnieniu bp Tang oświadczył, że choć nie zgłosił akcesu do „Stowarzyszenia Patriotycznego”, jest gotów podjąć rozmowy z konfratrami mianowanymi przez rząd zarówno w Pekinie, jak i Kantonie, gdzie po otwarciu katedry rządu sprawuje bp Yip, uznany przez władze jako członek stowarzyszenia. W rozmowach z kard. Casaroli bp Tang wyraził optymizm na temat poprawy sytuacji religijnej w Chinach i perspektyw uregulowania pozycji biskupów konsekrowanych w sposób nieprawowity. Położył nacisk na konieczność wyjaśnienia rozpowszechnionego na Zachodzie nieporozumienia w związku ze „Stowarzyszeniem Patriotycznym”, o którym mówi się jako o „Kościele”. Tymczasem — podkreślił bp Tang — „w Chinach istnieje tylko jeden Kościół katolicki; stowarzyszenie patriotyczne jest ugrupowaniem, do którego przystąpili wprawdzie również biskupi i kapłani, nie jest to jednak Kościół”. Święcenia tych biskupów „są ważne”, zostały bowiem dokonane przez biskupów

konsekrowanych zgodnie z prawem kanonicznym (tzn. mianowanych przez Głowę Kościoła). W tym sensie więc można mówić, na co już zwrócił uwagę w ub. roku kardynał Koenig po swej wizycie w Pekinie, że sukcesja apostolska jest w Chinach zabezpieczona. Konsekracja tych biskupów jest równocześnie formalnie nieprawomocna, ponieważ nastąpiła bez uznania ze strony Watykanu. „To, co jest nieprawomocne może jednak w pewnych warunkach ulec uprawomocnieniu” — oświadczył Casaroli. Innymi słowy, biskupi ci mogą być uznani przez Stolicę Apostolską, jeśli zaakceptują zasady, jakimi kierują się organizacje Kościoła katolickiego, a przede wszystkim Konferencje Episkopatu. Zdaniem Casaroliego dotychczasowe kontakty i rozmowy, jakie przeprowadził w Hongkongu „również z innymi osobami w tym doskonałym punkcie obserwacji”, aczkolwiek b. pożyteczne, nie pozwalają jeszcze na wyciągnięcie ostatecznych wniosków. Potrzebne są dalsze kontakty i dokładne zbadanie całej kontrolerskiej problematyki. Watykański Sekretarz Stanu, jako wytrawny dyplomata, jest tym bardziej przezorny, ponieważ i władze chińskie wykazują dużą ostrożność. Brak do tej pory sygnałów z Pekinu na otwarcie papieskie, które prawdopodobnie zaskoczył rząd chiński. Casaroli ma na pewno rację twierdząc, że zanim podejmie on konkretne decyzje i udzieli jasnej odpowiedzi, woli poczekać na dalszy rozwój wypadków, a zwłaszcza na rozwiązanie sprawy Formozy. Watykan, zdaje się, jest skłonny zastosować formułę amerykańską, tzn. uznać Formozę za morską prowincję chińską, stanowiącą *de iure* i *de facto* część składową narodowego terytorium Chin. Pociągnie to za sobą przekształcenie nuncjatury w zwykłą delegaturę bez statusu dyplomatycznego, co umożliwi nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Pekinem. Jak słyhać, ambasada Chin (czyli Formozy) przy Stolicy Apostolskiej szykuje się do wyjazdu. Nie jest wykluczone, że tę kwestię omawiał Casaroli w Hongkongu z Mons. Giglio, *chargé d'affaires ad interim* na Formozie. Episkopat na Formozie, który kontestował możliwość normalizacji stosunków między Watykanem a Pekinem, po spotkaniu z papieżem w Manili zrezygnował podobno z dotychczasowej opozycji.

Zaniepokojona tą perspektywą jest Moskwa. Ambasada sowiecka w Rzymie okazała nawet pewne podenerwowanie po powrocie kard. Casaroli z Hongkongu. Dyplomacja watykańska w stosunkach z ZSSR nie dąży do jego izolacji międzynarodowej. Przeciwnie. Można natomiast mówić o dążeniu do zachowania równowagi w stosunkach z dwoma gigantami komunistycznymi, uwarunkowanym przez takie czy inne skutki (lub ich brak) presji w kierunku uregulowania sytuacji Kościoła i konkretnych koncesji w zakresie swobód religijnych. Obecna sytuacja Kościoła i wiernych w Chinach jest stosunkowo lepsza niż położenie katolików w ZSSR, gdzie prześladowania trwają. Dialog ekumeniczny z Cerkwią rosyjską wprawdzie postępuje, ale jak dotąd nie przyczynił się do istotnego polepszenia położenia Kościoła na terenie ZSSR mimo równoczesnych kontaktów kard.

Willebrandsa z władzami sowieckimi w ub. roku i niemal w tym samym czasie misji kardynałów Etchegaraya i Koeniga w Pekinie. Pewne ulgi uzyskali katolicy litewscy. Jakieś obietnice zostały, jak się zdaje, udzielone co do obsady wakujących stolic biskupich na Litwie, ale o nominacji biskupa dla Białorusi panuje wciąż głucha cisza. W tym stanie rzeczy nie da się wykluczyć, że postulaty Watykanu będą szybciej zaspokojone przez władze chińskie.

Papież w swej ostatniej podróży kierował wzrok nie tylko w stronę Pekinu. Zerkał pewnie również w stronę Moskwy. Przecież chodzi nie o zwykłą grę dyplomatyczną, opartą na przesłankach politycznych, lecz o wielką grę, której stawka jest niewspółmiernie wyższa od prostych choć ważnych wyrachowań. Chodzi o wolność sumienia, o prawo do samorządnego decydowania o własnej tożsamości religijnej, narodowej i kulturalnej. Kto pierwszy uzna te imponderabilia, Pekin czy Moskwa? Jan Paweł II czeka na sygnały równocześnie z obydwu tych stolic. Czy byłby gotów pojechać do Moskwy? „Dlaczegoż by nie? Jestem gotów pojechać gdziekolwiek, ale to zależy zawsze od określonych warunków” — powiedział w zaimprovizowanej rozmowie. A jeśli te warunki szybko się urzeczywistnią? „To należy do Opatrzności. Niełatwo czytać w jej tajnikach. Moskwa jest na pewno ważna jako jedno z wielkich centrów tradycji chrześcijańskiej, jest trzecim Rzymem”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 marca 1981 r.

Poszukuję następujących książek, wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu i od dawna wyczerpanych:

Traktat poetycki — Czesława Miłosza
Gucio zaczarowany — Czesława Miłosza
Hrbítovny — Marka Hłaski
Dzieje Polski — Adama Krzyżanowskiego
Fantastyczniejsze powieści — A. Terca

ANDRZEJ SZPIKOWSKI

5035 NORTH ROSEMEAD BLVD., APT 15
 SAN GABRIEL, CALIFORNIA 91776, U.S.A.

Będę wdzięczny za skomunikowanie się ze mną bezpośrednio.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Istnieje takie przysłowie rosyjskie: co trzeźwy pomyśli, pijany wygada. W okresie poprzedzającym Zjazd, na samym Zjeździe i bezpośrednio po nim sporo się w Moskwie mówiło o Polsce. Z reguły nie odstępowano od oficjalnego partyjnego języka, który nie pozostawia wątpliwości co do sensu wypowiedianych słów, pozwala natomiast ukryć uczucia mówiących. Z tą regułą zerwał niejaki „I. Andronow”, który w artykule „Pod maską 'Solidarności'”, opublikowanym w *Literaturnoj Gazecie* z 21. 2. 1981 roku, ujawnił co „mówiący” mają na myśli.

W wyścigu nienawiści i kłamstwa artykuł ten winien zająć jedno z pierwszych miejsc. Takich „materiałów” o wydarzeniach w Polsce jeszcze nie było. Podczas „sowiecko-polskiego spotkania na Kremlu” 4 marca każdy z siedmiu wodzów sowieckich miał przed sobą teczkę z materiałami o „kontrewolucyjnej działalności w Polsce”. Artykuł I. Andronowa pokazuje, jak się takie „materiały” przygotowuje.

I. Andronow udał się do Polski jako specjalny wystannik *Literaturnoj Gazety*. Odwiedził dwa miasta — Warszawę i Gdańsk. Jednak już w pociągu dużo zrozumiał, bo do rozmowy jaką nawiązał z polskimi pasażerami włączył się jakiś „mało pociągający typek”, mówiący po rosyjsku „z wyraźnym obcym akcentem”. Typek był kompletnie pijany, spodnie miał z przodu „nieprzyzwoicie mokre”, nie przeszkodziło mu to jednak powiedzieć moskiewskiemu korespondentowi, że jest „zawodowym agentem wywiadu — etatowym szpiegiem Sztabu Generalnego NATO” (zdaniem Andronowa nie czas jeszcze na ujawnienie jego nazwiska). Jechał on do Warszawy. Po co etatowy szpieg jedzie do Warszawy? Zrozumiał to Andronow, kiedy tylko dojechał do stolicy PRL i dowiedział się o „wywrotowych akcjach różnej maści kolegów” pijanego zawodowego agenta.

W Warszawie tow. Andronowa uderzył powszechny dobrobyt: „Gęsty tłum dobrze ubranych mieszkańców... niekończący się sznur samochodów. Pod wieczór publiczność warszawska zbiera się w przytulnych kafejkach, restauracjach, kabaretach, salach

kinowych i teatralnych". Krótko mówiąc — rajskie życie. Ale I. Andronow nie ukrywa, że „w Polsce istnieją ostre problemy”. Problemy te to strajki: „Jest to dla przeciętnego Polaka najbardziej męczący, najbardziej zatrważający składnik dzisiejszego życia”. To właśnie wskutek strajków „brak deficytowego proszku do prania, maszyn do szycia, niezbędnych leków...”.

Korespondent *Literaturnej Gazety* nie zadawała się stwierdzeniem smutnych faktów. Szuka przyczyn. I znajduje je w „siewcach zamieszek ze związku zawodowego 'Solidarność'”. Działacze „Solidarności” określane są też jako „bandyci”, „pogromszczy”, „hersztowie” i obrzucani innymi mało pochlebnymi epitetami. Warszawską siedzibę „Solidarności” korespondent nazywa „rezydenturą” — słowem, które po rosyjsku nierozzerwalnie kojarzy się z działalnością szpiegowską.

Dawno już stwierdzono, że Związek Sowiecki stanowi państwo szczególnego rodzaju — królestwo logokracji. Każde użyte w propagandzie słowo ma maksymalny ładunek. Jeśli brak właściwego słowa, to się je wymyśla. Żeby np. zaznaczyć, że Moskwa ma specjalny stosunek do porwania pakistańskiego samolotu, który najpierw wylądował w Kabulu a potem w Damaszku, stworzono neologizm: uprowadzacz. Zazwyczaj porywaczy samolotów nazywa się piratami powietrznymi. Ponieważ w tym przypadku trzeba było zdjąć z procederu brania zakładników jego bandyckie odium, piratów nazwano „uprowadzaczami”.

I. Andronow też tworzy nowe słowo: „kuronioywy”. Kuroniowcy to członkowie bandy Kuronia, którzy z błogosławieństwem zachodnich służb specjalnych zajmują się działalnością wywrotową. I. Andronow się nie krępuje — autorowi *Literaturnej Gazety* wszystko wolno — rzuca więc oskarżenie za oskarżeniem: Kuroń dostawał *via* Gdańsk dolary i marki zachodniemieckie „całymi teczkami”; jest on blisko związany „z zachodniemieckim agentem Karlem Gustawem Strömsem”; wystąpienia gdańskich robotników są skutkiem „przekupienia ich dolarami i markami prosto z teczek Kuronia”; „istotą taktyki Kuronia jest pełzająca kontrrewolucja”. Sowiecki dziennikarz powołuje się przy tym na to, że „tak myśli wielu Polaków”. Spośród „wielu” wymienia dwóch, którzy udzielali mu informacji: Franciszka Lewickiego z *Trybuny Ludu* i szefa działu zagranicznego *Żołnierza Wolności* Władysława Zielińskiego.

Jacek Kuroń i „kuronioywy” to jeden obiekt nienawiści w artykule Andronowa. Drugi to „przewodniczący związku zawodowego 'Solidarność - Mazowsze' — niejaki Zbigniew Bujak”. Epitety, które towarzyszą nazwisku Bujaka nie pozostawiają wątpliwości co do jego osoby: „miejscowy boss”, „herszt pogromszczyków”, „nieokiełznany ekstremista”. Kulturalny sowiecki dziennikarz pisze o polskim działaczu związkowym z pogardą: „były elektrotechnik”. Niemniejszą pogardę i nienawiść budzi w nim członek prezydium „Solidarności” gdańskiej Wojciech Gruszecki; ten nie podoba się wystannikowi Moskwy dlatego, że jest „wydelikaconym inteligentem o absolutnie nieproletari-

kim wyglądem estety”. „Wydelikacony esteta” okazuje się na domiar złego durniem, bo mądrymu Andronowowi „plecie coś o strategicznych zamiarach swych współników”. Okazuje się, że — jak „plecie esteta” — „spiskowcy ukrywający się pod maską związków zawodowych, zerwawszy wędzidło, rwą się do szczytów władzy”.

Sowiecki dziennikarz przytacza fakty, które wprawic mają czytelnika w zgrozę: we Wrocławiu filia „Solidarności” pozwala sobie grozić, że zmiecie „wszystkich niewygodnych dla siebie dyrektorów przedsiębiorstw”; w Bielsku-Białej „prowodrzy 'Solidarności' zażądali usunięcia wojewody, jego zastępcy i burmistrza”; w Rzeszowie znieważają i starają się usunąć pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR P. Łabusza; w Olsztynie „oszczercy zaszczyli” pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR E. Wojnowskiego. Nie dość tego: „solidarnościowcy” siłą przywłaszczają sobie budynki publiczne i państwowe — „bandyci się uzbrajają”...

I. Andronow, prawdziwy sowiecki człowiek, nie znajduje dość mocnych słów na wyrażenie swego wzburzenia tym, co widział i słyszał. „Z trudem się powstrzymałem” — pisze o swoich uczuciach podczas rozmowy z estetą Gruszeckim. „Co dalej?” — pyta sowiecki korespondent. I odpowiada: pora położyć kres strajkom, pora skończyć z zamieszkami. Temu zaś stoją na przeszkodzie „zakulisowi szefowie 'Solidarności' i zagraniczni opiekunowie antysocjalistycznych elementów w Polsce”. „Kto w tej walce zwycięży — kończy I. Andronow — pokaże najbliższa przyszłość”.

Wielu czytelników moich przeglądów prasy sowieckiej zarzuca mi nadmiar czarnowidztwa i zbyt pesymistyczne spojrzenie na sytuację. Przyjezdni z Polski są w nastroju optymistycznym: optymizm swój czerpią ze znajomości rzeczywistej sytuacji w Polsce. Nie należy jednak zapominać, że sowieckich wodzów nigdy nie interesowało prawdziwe położenie w danym kraju ani rzeczywiste nastroje ludności. W znanym dowcipie o człowieku, skarżącym się, że obszedł wszystkie sklepy w Moskwie i nie znalazł mięsa, sekretarz komórki partyjnej odpowiada: ty byś się mniej po mieście włóczył a więcej gazet czytał. Sowieccy wodzowie nie włóczą się po mieście, tylko czytają donosy Andronowów.

W 1968 roku Breżniew znał sytuację w Czechosłowacji wyłączając z doniesień radcy sowieckiego poselstwa w Pradze Iwana Udalcowa. Artykuł I. Andronowa jest przykładem raportów moskiewskiego poselstwa w Warszawie. Na takich informacjach opierają się decyzje Biura Politycznego KC KPZS.

W przededniu XXVI Zjazdu minister obrony ZSSR i członek Biura Politycznego D. Ustinow opublikował w *Prawdzie* (21.2. br.) artykuł oskarżający Zachód, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, o wywrotową działalność w Polsce. Działalność ta, pisał marszałek, ma na celu destabilizację kraju, zdyskredytowanie ustroju socjalistycznego i osłabienie Paktu Warszawskiego. 23 lu-

tego Breżniew oznajmił z trybuny zjazdowej (otwarcie przypadło na dzień święta armii sowieckiej), że „w bratniej Polsce przeciwnicy socjalizmu, wspierani przez siły zewnętrzne, wprowadzając anarchię zmierzają do zawrócenia biegu wydarzeń w kontrowalucyjne koryto”. Breżniew uspokoił jednak polskich komunistów i polską klasę robotniczą, twardo obiecując: „Nie opuścimy w biedzie bratniej, socjalistycznej Polski. Nie damy jej skrzywdzić”.

Natychmiast po zamknięciu Zjazdu odbyło się „przyjacielskie spotkanie przywódców Związku Radzieckiego i Polskiej Republiki Ludowej”. Po Zjeździe Breżniew przyjął wielu przywódców zagranicznych kompartii. Prasa sowiecka publikowała zdjęcia z tych spotkań: z jednej strony Breżniew, z drugiej — zagraniczny komunist, wokół nich uśmiechnięci współbiesiadnicy. 5 marca w *Prawdzie* ukazała się fotografia unikalna: po prawej stronie siedmiu ponurych starców — Breżniew, szef KGB Andropow, główny ideolog Susłow, marszałek Ustinow, premier Tichonow, minister spraw zagranicznych Gromyko i sekretarz KC „piłotujący” kompartie krajów socjalistycznych (tak się jego funkcja nazywa) Ruskow, po lewej natomiast czterech polskich przywódców. Całość wygląda jak sąd i przypomina zły pamięci spotkani z 1968 roku.

Przed sowieckimi sędziami leżą skórzane teczki, pełne, jak się można domyślić, artykułów Andronowa i im podobnych. Komunikat ze spotkania jasno wyraża sowieckie stanowisko: w Polsce panuje kryzys gospodarczy i polityczny; wykorzystać go chcą imperializm i miejscowa reakcja dla „zmiany stosunku sił na świecie, osłabienia postępowych sił na świecie, osłabienia socjalistycznej wspólnoty i międzynarodowego ruchu komunistycznego oraz wyzwolenia”. Należy zatem, głosi dalej komunikat, bezwzględnie „dać twardy i zdecydowany odpór tym niebezpiecznym próbom” i „gruntownie uzdrowić położenie w kraju”.

Komunikat domaga się od polskich przywódców, aby „odwrócili bieg wydarzeń” i obiecuje, że w dziele „odwracania biegu wydarzeń” „ZSSR wspólnie z innymi bratnimi krajami okaże socjalistycznej Polsce — jak zawsze — niezbędną pomoc”.

W trzy dni później, 8 marca, wstępny artykuł *Prawdy* doniósł, że „nad socjalistycznymi zdobyczami w Polsce zawisło poważne niebezpieczeństwo”.

Tu nasuwa się pytanie, dlaczego sowieckim przywódcom trzeba było aż siedmiu miesięcy, aby dojść do wniosku, że należy „odwrócić bieg wydarzeń”? Można uznać, że w 1968 roku sowieccy wodzowie — w spotkaniu z polskim kierownictwem uczestniczyło trzech weteranów z wydarzeń czechosłowackich, Breżniew, Susłow i Andropow — byli o dwanaście lat młodszy i trochę szybciej pojmowali, co się dzieje. W roku 1980/81 trzeba im na to więcej czasu. W związku z tym rodzi się następne pytanie: czy można jeszcze, mimo „straconego szasu”, „odwrócić bieg wydarzeń”?

W „Dziejach miasta Głupowa” Sałtykow-Szczedrin opisuje

pewnego naczelnika miasta, którego szalenie wzburzyło odkrycie Ameryki. „Zamknąć Amerykę!”, rozkazał. Potem, podumawszy chwilę, doszedł do wniosku, że „to nie ode mnie zależy”.

Polonica w sowieckiej prasie z ostatnich tygodni nie pozostawiają żadnych wątpliwości: przywódcy sowieccy niezłomnie żądają, aby „Polskę zamknąć”, a bieg wydarzeń „odwrócić”. Czy to jeszcze od nich zależy, pokaże przyszłość.

Wydarzenia w Polsce odzwierciedlają się także w artykułach, przemówieniach i oświadczeniach poświęconych na pozór zupełnie innym sprawom. Wzrosła np. dostrzegalnie ilość materiałów o związkach zawodowych: tak oto *Prawda* z 8 marca nalega w artykule poświęconym sześćdziesięcioleciu X Zjazdu partii, że związki zawodowe winny „pracować pod kierownictwem partii”, i że Lenin nazywał je „szkołą komunizmu”, uznając tym samym za ich główne zadanie „pomoc partii w wychowywaniu mas w duchu komunistycznym”. Po czym autor artykułu zapomina o historii, przypomina natomiast, że „we współczesnych warunkach rola związków zawodowych jako szkoły komunizmu znacznie wzrosła”. Breżniew w swym przemówieniu zjazdowym mówił o Polsce wprost, ale też nie co innego jak Polskę miał na myśli, oświadczać np. z dumą, że liczba robotników wśród członków KC wzrosła w dwójnasób. W KC wybranym na XXV Zjeździe było ich na 319 członków dziewięciu, a w KC wybranym na XXVI Zjeździe jest ich osiemnastu. Czyż można wątpić, że jest to godna reprezentacja 80 milionów sowieckich robotników?

Polska jest też głównym motywem „powieści politycznej” A. Czakowskiego „Zwycięstwo”. Wspominałem już kiedyś o kolejnym dziele redaktora naczelnego *Literaturnej Gazety*, kandydata na członka KC, ulubieńca Breżniewa. Czakowski zaczął pisać tę powieść w 1978 roku, w 1980 zakończył pierwszy jej tom. Pismo *Znamia* ogłasza teraz w numerach 1 i 2 (1981) pierwsze rozdziały drugiego tomu. Autor zapowiada ukończenie powieści na koniec bieżącego roku. Miejmy nadzieję, że liczne obowiązki nie przeszkodzą mu wzbogacić literatury światowej.

„Zwycięstwo” poświęcone jest dwóm konferencjom: poczdamskiej i helsińskiej. W Poczdamie Stalin buduje w nieustającej zaciętej walce z Trumanem i Churchillem podwaliny sowieckiego zwycięstwa w Europie; w Helsinkach Breżniew kończy dzieło Stalina. A. Czakowski tworzy monumentalny obraz Wielkiego Dowódcy, Genialnego Dyplomaty, odgadującego na odległość wszystko, co mogą pomyśleć żalosne pionki, przywódcy USA i Anglii. Nie mogąc wytrzymać wzroku Stalina, Truman i Churchill czerwieńszą i jąkają się jak dzieci. Towarzysz Stalin zaś, spokojnie pykając fajkę i wolno cedząc słowa, nie przestaje walczyć o szczęście postępowej ludzkości. W szczególności zaś o szczęście Polski i Polaków. Dziwnym zbiegiem okoliczności Polska zajmuje centralne miejsce w ostatnich rozdziałach powieści. Ku niej to Wódz i Nauczyciel kieruje wszystkie swe myśli. Wtórkuje mu w tym wierny towarzysz Bierut, pojawiający się tu i ówdzie w towarzystwie swego pomocnika Władysława Gomułki.

Cała konferencja obraca się wokół problemu granic Polski. Stalin, podobnie jak Bierut z Gomułką, chce rozszerzyć granice Polski na zachód, Truman, Churchill i ich podły sługus Mikołajczyk starają się temu zapobiec. W scenie, w której wychodzi na jaw cała podłość Mikołajczyka, towarzysz Bierut robi mu wykład z historii Polski. Dowodzi w nim oszołomionemu jego historyczną wiedzą Mikołajczykowi, że nieszczęście Polaków polega na tym, że brak im (większości z nich!) „kompleksu winy wobec Rosji”. Towarzysz Bierut wszystko pamięta: „Polacy wespół z rycerzami niemieckimi podbili Kijów... Bolesław II zdławił, utopił w morzu krwi powstanie narodowe w tymże Kijowie... Kazimierz podbił Ruś Halicką...”. A poza tym — samozwańcy, podbój Moskwy, Zygmunt III i oczywiście Piłsudski...

Mimo to wszystko towarzysz Stalin „rozszerza granice naszego państwa”, wytyka Bierut Mikołajczykowi. Zresztą czarna niewdzięczność Mikołajczyka wyprowadza z równowagi nawet Churchilla: „Zapomnieliście — przypomina angielski premier Polakowi — że bez pomocy Rosji kraj wasz dawno by już zniknął z mapy Europy”.

W słowach tych brzmi głęboki wyrzut pod adresem niewdzięcznego narodu polskiego, który w marcu 1981 roku udaje, że nie słyszy natarczywych żądań starszego Brata: odwrócić bieg wydarzeń!

Nie zdziwiło mnie, że Czakowski był skąpy w słowa przy spotkaniu z Władysławem Machejkiem w moskiewskiej restauracji „Uzbekistan”. Czakowski poczuł się dotknięty. Po pierwsze tym, że Machejek nadal uważa go za autora „Blokady”, choć wyszły już dwa tomy „Zwycięstwa”, po drugie tym, że polski dziennikarz spaceruje sobie po Moskwie, zamiast zaprowadzać porządek u siebie.

Scena rozmowy między Czakowskim i Machejkiem kończy się pysznym szczegółem: „Tak, odpowiada Czakowski, drobiąc je-siotra”. Dzięki Władysławowi Machejkowi wiemy już, czym żywi się sowiecki pisarz, pisząc powieść o niewdzięczności narodu polskiego.

Adam KRUCZEK

Niemcy a obrona praw człowieka

14 i 15 lutego br. odbyło się w Königstein (RFN) walne zebranie Towarzystwa Obrony Praw Człowieka (*Gesellschaft für Menschenrechte e.V.* — GFM). Na konferencję przybyło ponad

500 osób — członków Towarzystwa, aktywnych uczestników ruchu obrony praw człowieka a także jego sympatyków. Jako reprezentant honorowego prezydium Towarzystwa zjawił się prof. Felix Ermacora, prawnik, przedstawiciel Austrii w działającej przy Parlamencie Europejskim Europejskiej Komisji Praw Człowieka w Strassburgu i członek Komisji Praw Człowieka ONZ (członkami honorowego prezydium GFM są także, m.in.: Ludmiła Aleksiejewa, śp. Andriej Amalrik, Władysław Bartoszewski, Władimir Bukowski, śp. Ludwig Erhard — b. kanclerz RFN, Stefan Kisielewski, Erik von Kuehnelt-Ledding — austriacki pisarz i publicysta, prof. dr Nikolaus Lobkowicz — rektor Uniwersytetu Monachijskiego, Michajło Michajłow, Ludwik Pachman, prof. dr Gotthold Rhode — historyk Europy Wschodniej). Za stołem prezydialnemu obrad GFM zasiadli: prof. dr H. Nitsche — dotychczasowy przewodniczący GFM; I. I. Agrusow — uciekinier z ZSSR w 1941, współzałożyciel i *spiritus movens* Towarzystwa; L. Müller; dr Reinhard Gnauck; H.-J. Faspar; E. Lamm i in. członkowie zarządu GFM. Na konferencji zapadły dwie ważne decyzje: Towarzystwo przekształciło się z organizacji państwowej w międzynarodową (co pozwala nawiązać oficjalną współpracę GFM z ONZ i otwiera możliwość dotarcia do światowej opinii publicznej — z ONZ mogą bowiem współpracować wyłącznie organizacje międzynarodowe). Decyzja druga ma charakter personalny: wybrano nowego przewodniczącego GFM — dr. Reinharda Gnaucka, którego energia i rozmach wróżą Towarzystwu dużo dobrego (dotychczasowy przewodniczący zrzekł się funkcji ze względu na nadmierne obciążenie pracą zawodową).

Pierwsza część obrad dotyczyła spraw organizacyjnych: złożono sprawozdanie z działalności Towarzystwa, dokonano wyboru nowych władz, przegłosowano międzynarodowy status GFM i jego nowy statut. W drugiej części konferencji zabrali głos uczestnicy ruchu obrony praw człowieka z poszczególnych krajów świata. Przemawiał reprezentant Wietnamu, poruszono problem przestrzegania praw człowieka w Afryce i w Ameryce Południowej, przedstawiciel afgańskiego ruchu oporu mówił o walce swojego kraju (20.000 ofiar wśród ludności cywilnej). Szczególną uwagę poświęcono krajom Europy Wschodniej. Przedstawiono sytuację więźniów politycznych w NRD, problem łączenia rodzin w Rumunii. Ginzburg zajął się losem Tatarów krymskich w ZSSR, położenie kobiet w ZSSR scharakteryzowała bardzo ciekawie aktywistka leningradzkiego ruchu wyzwolenia kobiet, przebywająca od pół roku na Zachodzie.

O sytuacji w Polsce mówiła Barbara Toruńczyk. Zaprezentowała ona Towarzystwu książkę *O przestrzeganiu praw człowieka i obywatela w PRL* opracowaną przez Komisję Helsińską w Polsce w związku z toczącą się w Madrycie Konferencją Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (Warszawa, październik 1980). Podkreśliła na specyfikę polskiego ruchu obrony praw człowieka i obywatela, który w przeciwieństwie do pozostałych krajów bloku, zwłaszcza ZSSR i CSRS, „nie koncentrował się na sprawie

rewindykacji 'prawa do praw', czyli na sprawie legitymizacji samego prawa do posiadania i respektowania praw człowieka i obywatela, tylko od razu przystąpił niejako do 'etapu drugiego', to jest do praktycznej rewindykacji tych praw". Podkreśliła, że wydarzenia, które od sierpnia 1980 rozgrywają się w Polsce są swego rodzaju kontynuacją tej „polskiej specyfiki”, a mianowicie „formą egzekwowania, tym razem w skali ogólnonarodowej, praw podstawowych, takich jak prawo do zakładania związków zawodowych, prawo do wolnej prasy, prawo do strajków, zgromadzeń, organizacji, kultu religijnego itd.". „Z tego względu — mówiła — to co nazwałam mianem 'polskiej specyfiki' powinno się, być może, traktować jako swego rodzaju *casus*, a nawet regułę. Walka o prawa człowieka w systemie socjalistycznym prędzej czy później musi przejść od 'etapu pierwszego' — walki o egzekwowanie samego prawa do respektowania praw człowieka i obywatela — do 'etapu drugiego', z którym mamy do czynienia w Polsce od połowy lat siedemdziesiątych, a który od pół roku osiągnął punkt kulminacji, i który polega na praktycznej realizacji tych praw najpierw przez niezależną część opinii publicznej, potem przez całe społeczeństwo". Barbara Toruńczyk zwróciła się z apelem o uwagę zachodniej opinii publicznej wobec wydarzeń rozgrywających się obecnie w Polsce, trwa tam bowiem „walka o pełną realizację praw podstawowych, o poszerzenie społecznej i politycznej przestrzeni na której prawa te są respektowane". Barbara Toruńczyk podkreśliła dramatyczność sytuacji Polski, fakt, że ważą się tam obecnie nie tylko szanse demokracji ale także przyszłość jej kraju. Dodała, że już obecnie w roli niejako „zakładników demokracji” znajdują się w więzieniu Leszek Moczulski, Wojciech Ziemiński i inni i zaapelowała o akcję na rzecz ich uwolnienia, podkreślając, że ich los, podobnie jak los wszystkich aresztowanych za przekonania, jest probierzem zakresu i skali przemian demokratyzacyjnych w Polsce. Barbara Toruńczyk przedstawiła także sytuację KOR-u, przeciw któremu w lutym br. zostało wszczęte postępowanie prokuratorskie.

W drugim dniu obrad toczyła się praca w grupach zainteresowań. Kilkanaście osób, wszystkie z plakietkami (oryginalnymi!) „Solidarności - Mazowsze” w klapie, dało wyraz ogromnemu zainteresowaniu sytuacją w Polsce, wykazując się na ogół dobrą znajomością rzeczy. Zajęto się także praktycznymi problemami związanymi z akcją pomocy, przedsięwziętą przez GFM na rzecz Polski. Towarzystwo już dwa lata temu podjęło akcję zaopatrywania w narzędzia i materiały techniczne (także środki finansowe) niezależnej opinii publicznej w kraju, obecnie zaś rozpoczęło na szeroką skalę akcję wysyłania paczek żywnościowych do Polski. Biorą w niej udział ludzie dobrej woli, rekrutujący się także spoza GFM. Akcja ta cieszy się w społeczeństwie zachodnioniemieckim ogromną popularnością, już w pierwszym dniu naliczono 150 zgłoszeń. Wiąże się z tym istotny problem organizacyjny. Towarzystwo nie jest w stanie dostarczyć osobom

zainteresowanym odpowiedniej ilości adresów, na które paczki zostałyby wysłane; jak dotychczas w Polsce nie znalazła się instytucja, która wysłaby naprzeciw tej szlachetnej i na pewno potrzebnej inicjatywie zachodniej opinii publicznej.

Popularność tej akcji w Niemczech Zachodnich świadczy wzmownie o sympatii, zainteresowaniu i solidarności, jakie wzbudza Polska w tamtejszym społeczeństwie. Narzuca się w związku z tym niewesoła refleksja. Trzeba bowiem wyznać ze wstydem, że to wielkie zainteresowanie jakim darzą Polskę obecne pokolenia Niemców nie znajduje w kraju odwzajemnienia. Żadne na przykład z niezależnych pism krajowych nigdy nie poświęciło uwagi sprawie polskich Niemców i Polaków niemieckiego pochodzenia, traktowanych — jak słychać — w Polsce jak obywatele drugiej kategorii. Stało się tak być może dlatego, że społeczność ta nie posiada swojej elity inteligentnej, zdolnej do zaalarmowania polskiej opinii publicznej losem tych środowisk. Niemniej fakt, że sprawa ta nie znalazła należnego jej miejsca w polskim życiu publicznym świadczy o tym, że władzy w dużej mierze udało się wpoić społeczeństwu polskiemu ideał państwa jednonarodowego i co najmniej znieczulić ogół na losy mniejszości narodowych żyjących w Polsce. (Oprócz lubelskich *Spotkań*, koncentrujących się na sytuacji Ukraińców i Litwinów, żadne z polskich pism niezależnych nie podjęło tej problematyki). W odniesieniu do mniejszości niemieckiej świadczy to także o innym sukcesie władzy, sukcesie propagandy antyniemieckiej. Młodemu pokoleniu w kraju nie udało się być może zaszczyć uczuć nieważności do Niemców, udało się jednak bez wątplenia znieczulić je na kwestię niemiecką. Znajduje to wyraz zarówno w niewiedzy ogółu Polaków o sytuacji Niemców żyjących w Polsce, jak w powszechnym *désintéressement* dla życia politycznego i kulturalnego Niemiec Federalnych i niechęci do poważnego rozpatrywania zagadnienia polskiej polityki wobec Niemiec.

Akcje na rzecz Polski podjęte przez GFM i — szerzej — zaciekawienie a nawet sympatia jaką Polska wzbudza we współczesnym społeczeństwie zachodnioniemieckim wskazują, że być może najpoważniejsza szansa na pojednanie naszych narodów zarysowała się w pokoleniach pamiętających jeszcze skutki wojny. Niewykorzystanie tej szansy, niedostrzeżenie tej korzystnej dla Polski koniunktury, która istnieje obecnie we współczesnych Niemczech, obarcza pewną winą niezależną opinię publiczną w Polsce. Oby kiedyś nie okazało się to nie tylko winą ale i błędem, błędem nie do naprawienia. Nie wiadomo przecież, czy szansa taka powtórzy się w przyszłych pokoleniach niemieckich.

Oczywiście, to zaciekawienie Polską ma różne przyczyny, nie brak motywów „rewanżystowskich” (choćby w sensie sentymentalnym, ale przecież i politycznym). Nie brak motywów czysto politycznych; sytuacja społeczeństw Wschodu jest dobrym argumentem dla CDU, krytykującej nazbyt jej zdaniem konformistyczną wobec ZSSR politykę gabinetu Schmidta. Są jednak bez wątplenia i inne motywy, bardzo zmieszane, od poczucia winy za

wojnę i jej skutki przez bardzo dla Niemców charakterystyczną skłonność do działań charytatywnych, do szlachetnego odruchu solidarności i współczucia włącznie. GFM, mimo że skupia ludzi o różnych sympatiach politycznych i mimo że wśród tych sympatii czy też namiętności dominują chadeckie, konsekwentnie usiłuje uniknąć upolitycznienia. Towarzystwo pragnie być organizacją humanitarną, sumiennie przestrzegającą Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela ONZ, którą przyjęło za podstawową formułę określającą jego cele i charakter. Zgodnie z tymi założeniami Towarzystwo udziela poparcia ludziom walczącym o wcielenie w życie Deklaracji Praw Człowieka w swoich krajach, upomina się także o takich, wobec których dopuszczono się złamania tych zasad. GFM, które powstało w 1972 roku, objęło już swoją pomocą ludzi z 15 krajów (ale 30 narodowości), zajmując się przypadkami łamania praw człowieka w Boliwii, Bułgarii, Chinach, CSRS, Gwinei, Jugosławii, Korei Południowej, na Kubie, Madagaskarze, a także w Nikaragui, NRD, Paragwaju, Polsce, Rumunii, ZSSR i na Węgrzech (ogółem 5.263 przypadków). Szczególną wagą darzy Towarzystwo sytuację ludzi w NRD i ZSSR. Do najważniejszych akcji podjętych przez GFM należała, m.in., akcja na rzecz uwolnienia Bukowskiego i Ginzburga (z którym GFM nawiązało kontakt jeszcze gdy był on w ZSSR i gdy zawiadywał Funduszem Sołżenicyna). Towarzystwo było także aktywne w sprawie uwolnienia z więzienia obywateli NRD: Nico Hübnera, dr. Schällicke i prof. Nitsche, obecnie przebywających już na Zachodzie (prof. Nitsche był potem przewodniczącym GFM). W ciągu ośmiu lat istnienia GFM przekształciło się z maleńkiej 13-osobowej grupy współzałożycieli, nie dysponującej żadnymi funduszami, w ogromną organizację liczącą obecnie 1.755 członków i posiadającą fundusz w wysokości 816.000 DM (fundusz składa się w 6% ze składek członków, w 1,5% ze sprzedaży wydawnictw GFM, w 5% z dotacji miasta Frankurt; pozostałe sumy to dotacje osób prywatnych, firm i sumy uzyskiwane ze składek organizowanych przez księży w kościołach — głównego źródła finansowego GFM). Towarzystwo, którego siedziba mieści się we Frankfurcie nad Menem, wydaje także pismo *Menschenrechte (Dokumenty - Losy - Ludzie - Informacje)*, na łamach którego niejednokrotnie podejmowano polską problematykę (pisano m.in. o ostatnich wydarzeniach, o NOW-ej, o akcji wysyłania paczek żywnościowych do Polski, zamieszczono także wypowiedzi Stefana Kisielewskiego przedrukowane z prasy niemieckiej i z jego książek). Zeby docenić rolę jaką odgrywa GFM w zachodnoniemieckim i — szerzej — zachodnioeuropejskim życiu publicznym wystarczy powiedzieć, że organizacja ta powstała w okresie kiedy zachodnia demokratyczna opinia publiczna interesowała się głównie wydarzeniami rozgrywającymi się w Grecji, Portugalii i Hiszpanii. Towarzystwo natomiast od razu skoncentrowało się na sprawach Europy Wschodniej, podówczas mało popularnych. Także dziś jest jedną z nielicznych organizacji zajmujących się aktywnie losami społeczeństw Wschodu i pragną-

cych zainteresować zachodnią opinią publiczną tym rejonem świata. Podobnie do Amnesty International Towarzystwo otacza opieką więźniów politycznych, stara się jednak także sprawować pieczę nad ludźmi wobec których dopuszczono się w innej formie złamania praw człowieka. GFM stawia sobie za cel przełamywanie barier między społeczeństwami Wschodu i Zachodu, opowiada się przede wszystkim za formą pomocy udzielanej „przez ludzi i dla ludzi”. Pod względem politycznym natomiast GFM sympatyzuje z siłami, które pragną wykorzystać *détente* dla polepszenia losu społeczeństw Wschodu poprzez nie tylko zacieśnianie współpracy międzynarodowej, ale także stawianie warunków rządów Wschodu, domagając się od nich w zamian za korzyści uzyskiwane od Zachodu realnego ulżenia doli społeczeństw Wschodu. GFM żywo sympatyzuje z demokratycznymi ruchami na Wschodzie, udzielając im publicznie wsparcia moralnego a także pomocy materialnej, technicznej, niekiedy prawnej. Towarzystwo udzieliło ostatnio schronienia i organizacyjno-materialnego wsparcia leningradzkim feministkom, które zostały wysiedlone na Zachód (Tatiana Goriczewa i Julia Wozniesińska) i które dzięki pomocy GFM odtworzyły we Frankfurcie swoją organizację i pismo (*Maria*). O sympatiach Towarzystwa świadczy najwymowniej fakt, że konferencja GFM w Königstein zakończyła się jednogłośnie podjętą decyzją wysłania urodzinowego telegramu do Heleny Bonner, żony Andrieja Sacharowa (wniosek Ginzburga, przyjęty owacjami sali).

Barbara TORUŃCZYK

Paryż, 18 lutego 1981 r.

Kronika niemiecka

Erich Honecker w wywiadzie udzielonym hamburskiemu tygodnikowi *Stern*: „Nie jest tajemnicą, że aktualne wydarzenia w Polsce NRD śledzi z dużym zaangażowaniem. Łączy nas sojusz w Układzie Warszawskim, mamy Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, którego ważność sięga poza rok 2000. Uważaliśmy za rzecz oczywistą przyjść polskiemu kierownictwu partyjnemu i państwowemu z pomocą nie tylko polityczną i moralną lecz także — materialną; NRD udzieliła Polsce w różnej formie pomocy wielkości pół miliarda marek, w tym ćwierć miliarda w walucie wymiennej”. W rzeczywistości współpraca handlowa między obu krajami uległa dalszemu pogorszeniu; wystąpiły poważne zakłócenia w dostawach towarów polskich do NRD (ok. 30% poniżej zaplanowanych). W związku z tym nie podpisano dotąd protokołu handlowego na rok 1981. ■ Zachod-

nioniemiecki *Caritas* kontynuuje szeroką akcję zaopatrywania polskich rodzin w brakujące w Polsce artykuły żywnościowe. ■ Tygodnik *Perspektywy* donosi, że nie znajdują nabywców w Polsce książki autorów wschodnioniemieckich, wydane w luksusowej i szeroko reklamowanej serii *Kolekcja Literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej*. ■ Ambasada RFN w Warszawie poinformowała, że w 1980 roku wydano ogółem 283.781 wiz (większość stanowią wizy tranzytowe; ponad 30 tys. wiz wydano przesiedleńcom wyjeżdżającym do RFN na stałe), co oznacza wzrost o 26,9% w stosunku do 1979 roku. Największy przyrost nastąpił w liczbie wiz turystycznych (o 140%). ■ W Münster zmarł Volker von Törne (1934-1980), berliński poeta, zaangażowany w *Akcji Pokuty* (*Sühnezeichen*), zainicjowanej przez Kościół Ewangelicki w RFN; przyjeżdżał co roku do Polski wraz z grupą młodzieży niemieckiej, aby pracować w Oświęcimiu lub na terenie innych b. obozów koncentracyjnych. ■ Wiceprzewodniczący CSU, Zimmermann, w wywiadzie dla hamburskiego tygodnika *Die Zeit* zaapelował o bardziej aktywne prowadzenie polityki niemieckiej, opartej na założeniu, iż istnieje *jednolity naród niemiecki*; nie wolno rezygnować z pojęcia *jedność niemiecka*, i to zarówno w sensie kulturowym, jak też prawnopństwowym. Innego zdania jest Günter Gaus, były kierownik stałego przedstawicielstwa RFN w NRD: Niemcy Zachodnie powinny rezygnować z obstawiania przy swej tezie o istnieniu jednego narodu niemieckiego, a przynajmniej rezygnować z jej eksponowania, koncentrując się bardziej na fakcie istnienia dwóch niezależnych państw niemieckich. ■ Mieczysław Grudziński, minister do spraw kombatanów oświadczył w Sejmie, że po podpisaniu układu PRL-RFN (1970 r.), doszło do wypłaty zryczałtowanej kwoty 100 mln marek dla ofiar eksperymentów lekarskich; kwotę wypłacono zainteresowanym w złotówkach. W 1975 roku na podstawie kolejnego porozumienia władze RFN przekazały Polsce do wypłaty b. więźniom obozów koncentracyjnych niebagatelną sumę 1,3 mld marek; rząd PRL przyznał 30 tysiącom b. więźniów renty inwalidów. Obecnie społeczna komisja ZBoWiD-u bada w jaki sposób kwoty rozdysponowano, czy uczeiwie i rzetelnie, czy przeliczenia dewizowe były korzystne, czy czasami rząd nie zarobił na tej transakcji? Poszkodowani domagali się bowiem wypłaty odszkodowań w markach, na konta w PKO. Czy dojdzie do ujawnienia nowej afery? ■ Polski film *Wyrok śmierci* (reż. Witolda Orzechowskiego), rozpowszechniany w krajach zachodnich przez *20-th Century Fox* wejdzie na ekrany 10 miast niemieckich. *Wyrok śmierci* ukazuje polski punkt widzenia na stosunki polsko-niemieckie w czasie ostatniej wojny. Główne role grają: Wojciech Wysocki, Doris Kunstmann i Jerzy Bończak. ■ Organ Ziomkostwa Ślązaków *Der Schlesier*: „Polska Rzeczpospolita Ludowa zarządza aktualnie okupowanymi przez Polskę niemieckimi terenami wschodnimi, które kiedyś jako *magazyn zboża* zasadniczo przyczyniały się do wyżywienia całych Niemiec. Pomimo to Polacy są dzisiaj zmuszeni wyżywiać w niedostatku”. ■ Na *Festiwalu Filmowym* w Berlinie Zachodnim zaprezentowano film fabularny *Gorączka*, zrealizowany przez Agnieszkę Holland; na międzynarodowym forum młodego filmu przedstawiono film Krzysztofa Kieślowskiego *Spokój*, a w sekcji informacyjnej — *Podróż do Arabii* Antoniego Krauzego oraz *Indeks* Janusza Kijowskiego. ■ Staraniem *Bońskiego Stowarzyszenia Sztuki* otwarto w centrum naukowym Bonn wielką, retrospektywną wystawę polskiego plakatu. ■ Jan Dobraczyński powiedział w Fuldzie, że „zdał sobie przed 20 laty sprawę z tego, że pomimo wszelkich obaw pojednanie między oboma narodami jest w pełni możliwe”. Nadburmistrz Fuldy, Wolfgang Hamberger, określił pisarza polskiego jako „budowniczego mostu pokoju”... Nie dotąd nie słyszeliśmy o działalności Dobraczyńskiego na niwie polsko-niemieckiego zbliżenia. Zawsze nam się wydawało, że autor *Najeżdźców* utrudniał wszelkie wysiłki podejmowane w tym kierunku. ■ W czasie

debaty sejmowej posłowie zwracali uwagę na nieprzychylnie traktowanie polskich turystów, wracających lub wyjeżdżających z Polski, przez służby graniczne NRD i Czechosłowacji; zaostrenie kontroli „przez naszych sąsiadów” potwierdził dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ, Tadeusz Mulicki. Oświadczył ponadto, że po każdym zgłoszonym incydencie MSZ interweniuje wobec ambasad tych krajów w Warszawie, jak i poprzez placówki konsularne w Berlinie i Pradze. *Zycie Warszawy* pisze, że „nie obserwuje się zmian na lepsze w tym zakresie. Sytuacja staje się coraz trudniejsza”. ■ Prasa RFN-owska odnotowała typowe wypowiedzi obywateli NRD: „Przez wiele lat Polacy wykupywali wszystko w naszych sklepach. Bogu dzięki, że im teraz nie tak łatwo do nas przyjeżdżać”. *Vice versa*: niedawno pewien chemik z Frankfurtu nad Odrą przyjechał do Warszawy. Gdy wysiadł z samochodu został zaraz otoczony przez grupę Polaków, przezywających go hitlerowcem i pachołkiem Moskwy. ■ W b. obozie koncentracyjnym w Dachau notuje się wzrost liczby zwiedzających. W r. 1975 — 452 tys.; 1980 — 800 tys. (w tym 5,5 tys. grup i klas szkolnych). Według obserwatorów do zwiększenia frekwencji przyczyniło się zintensyfikowanie nauki historii współczesnej w szkołach; wielki również wpływ wywarł wyświetlany kilkakrotnie film telewizyjny *Holocaust*. ■ Do *Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego* powrócił słynny rysunek Wita Stwosza (właściciel Veit Stoss) *Projekt ołtarza bamberskiego*; tkwił przez przeszło ćwierć wieku w aktach *Stadliches Museum* w Berlinie Wschodnim (!). Rysunek Wita Stwosza zakupił dla *UJ* w roku 1871 książę Władysław Czartoryski; w 1940 roku został skonfiskowany przez nazistów i przewieziony do Rzeszy. ■ Lektorat języka polskiego na wydziale filozoficznym *Uniwersytetu im. Christiana Albrechta* w Kilonii prowadzi dr Alicja Nagórko. Na lektoracie studiuje 30 osób; językowi polskiemu poświęca się 12 godzin tygodniowo. W RFN jest ogółem 7 placówek polonistycznych na wyższych uczelniach. Ambasada PRL w Kolonii dostarcza wszelkich pomocy naukowych: filmów, książek, gazet. Kiedy wreszcie z podobnych uprawnień korzystać będzie ambasada RFN w Warszawie? — zapytują polscy studenci germanistyki. Bońskie zabiegi o otwarcie *Instytutu Goethego* w Warszawie, są — jak dotąd — skutecznie torpedowane przez reżym wschodnioniemiecki. ■ Organizacja *Kirche in Not* (*Kościół w Potrzebie*) w *Königstein/Taunus* wyasygnowała 200 tys. marek na pomoc żywnościową dla Polski; do akcji włączyły się ponadto wielkie domy towarowe i związki chłopskie. Zakupione (z nadwyżek *EWG*) i zebrane produkty żywnościowe zostaną wysłane specjalnym statkiem do Polski; władze PRL udzieliły już zezwolenia na bezcłowy wwóz. Podobną akcję organizują kolońskie stowarzyszenia katolickie. W tym wypadku pomoc obejmuje osoby znajdujące się w trudnych warunkach materialnych, zamieszkałe w archidiecezji krakowskiej. ■ Kolońska galeria *Ibis* wystawia obrazy olejne polskiego malarza Gabriela Rechowicza, znanego bardziej pod pseudonimem *Gaber*. ■ W zachodniobermberskim *Haus am Waldsee* odbył się wieczór *Literatur und Musik*, zorganizowany przez znaną pisarkę Ingeborg Drewitz; przy pełnej sali Wiktor Woroszyński czytał krótkie prozy z cyklu *Historie* w tłumaczeniu Marii Kureckiej. Staraniem *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego* w Bremie (przewodniczący p. Koschnick, żona nadburmistrza miasta) Wiktor Woroszyński miał ponadto wieczór autorski w tamtejszej *Die Glocke*. Autor *Snów pod śniegiem* czytał prozę z cyklu *Historie* i fragmenty poematu *Jesteś* (w przekładzie Karła Dedejusia). Podczas dyskusji okazało się, że wśród obecnych — zycyliwych Polse ludzi — byli Niemcy, którzy zaledwie rok temu wyjechali z Polski. ■ Nieznani dotąd sprawcy podłożyli 21 lutego br. wieczorem bombę plastikową pod gmach radiostacji *Radio Free Europe* w Monachium. 8 osób zostało rannych. Szkody materialne oceniane są na ok. 2 mln dolarów. *Wolna Europa* otrzymała list napisany w języku polskim i wysłany z Góte-

borga w Szwecji, w którym grupa występująca pod nazwą *Komitet Wykonawczy Tajnej Organizacji Bojowej* przyjęła odpowiedzialność za dokonanie zamachu. Autorzy utrzymanego w antysemitycznym tonie listu grożą m.in. zastrzeleniem kierownika polskich programów. Zdaniem prasy niemieckiej cały manewr z tym *Komitetem Wykonawczym* ma na celu wprowadzenie zamieszania i odwrócenie uwagi od właściwych sprawców, których należy szukać pośród wschodnioeuropejskich wywiadów (*Die Welt*). ■ 17 lutego 1981 zmarł w Düsseldorfie, w wieku 56 lat, Aleksander Drożdżyński, pisarz, publicysta i filmowiec. Jego *Mądrości żydowskie (Wiedza Powszechna, Warszawa 1960 i 1967)* doczekały się wydania w samizdacie w Sowietach. Opuścił Polskę w 1968 roku. Wydał po niemiecku: *Polityczny dowcip w Bloku Wschodnim* (1974), *Żydowskie dowcipy i szmoncesy* (1976), *Zbiór dowcipów z całego świata* (1977), *Wykpiona 1000-letnia Rzesza* (1978). Książki ukazały się nakładem *Droste-Verlag* w Düsseldorfie. Drożdżyński był autorem wielu audycji radiowych i telewizyjnych, scenariuszy filmowych i teatralnych. W czasie okupacji był więźniem obozów koncentracyjnych w Auschwitz, Buchenwald-Dora i Bergen-Belsen. ■ Założony przez śp. prałata Juliusza Janusza polski internat i sierociniec w Carlsbergu k/Mannheim zostanie prawdopodobnie sprzedany lub przejęty przez kilkusobowy polski *Zakon św. Michała*. Internat opiekuje się 24 dziećmi i zatrudnia 15 osób personelu. Polskie organizacje a przede wszystkim księża nie dbają o pełne wykorzystanie internatu i sierocińca. Warto dodać, że *Jugendamt (Urząd d/s Młodzieży)* w Mannheim, dzięki poparciu ze strony *Caritasu* i dziekana miasta Mannheim, płaci na utrzymanie każdego dziecka 50 DM dziennie. Kwotą 130 tys. marek na utrzymanie internatu dysponuje ks. bp Szczepan Wesoły, który *nota bene* jest za sprzedażem budynku internatu, podobnie zresztą jak ks. prałat Stefan Leciejewski, który kieruje *Polską Misją Katolicką* we Freising k/Monachium. Mam nadzieję, że ks. bp Szczepan Wesoły udzieli nam bliższych informacji na ten temat; np. co się stanie z pieniędzmi po ewentualnej sprzedaży internatu? ■ Władze PRL wystosowały oficjalny protest do rządu w Bonn przeciwko postanowieniu ministrów oświaty krajów wchodzących w skład RFN o zaznaczeniu na wszystkich oficjalnych mapach politycznych, obok aktualnych, także dawnych granic III Rzeszy z roku 1937 — oznajmił o tym na posiedzeniu Sejmu minister spraw zagranicznych PRL, Józef Czyrek. Określił on decyzję ministrów oświaty jako sprzeczną z układem normalizacyjnym, zawartym między obu państwami. Herbert Hupka, przewodniczący *Ziomkostwa Ślązaków*: „Wreszcie możemy zobaczyć całe Niemcy”... ■ PRL prawdopodobnie zakupi znaczne ilości węgla na rynkach zachodnich ażeby móc się wywiązać z umownie zagwarantowanych dostaw węgla kamiennego do RFN. Eksperci obliczają, że Polska dostarczy do Niemiec Zachodnich w 1981 roku zaledwie 1,2 mln ton węgla, czyli o połowę mniej (umowę zawarto na 2,4 mln ton). ■ Rozgłosnia amerykańska *RIAS* w Berlinie Zachodnim nadała 45-minutową audycję o Polsce; Witold Wirpsza, Wiktor Woroszyński i Adam Zagajewski omówili aktualne problemy literatury w Polsce. Autorzy niemieccy (Horst Bienek, Günter Grass, Siegfried Lenz, Rainer Kunze i Rolf Schneider — dwaj ostatni to pisarze niedawno wydalenii z NRD) akcentowali aspekty polityczne, szczególnie Grass, świetnie zorientowany w polskiej problematyce, choć wygłaszający nieco ryzykowne opinie mówiąc, że *Solidarność* nawiązuje do postawy Róży Luksemburg i jej teorii strajku generalnego. W czasie audycji recytowano wiersze Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego i Ewy Lipskiej, wzięte z antologii *Nowej Fali*, jaka ukazuje się niebawem nakładem *Oberbaum Verlag* w Berlinie Zachodnim. ■ Inna rozgłosnia zachodniobierlińska, SFB, nadała półgodzinną audycję o stanie gospodarki w PRL — i dzień później również półgodzinną audycję o Czesławie Miłoszu, zredagowaną przez Christę Vogel. ■

Artykuły okolicznościowe z okazji 70 rocznicy urodzin Stefana Kisielewskiego zostały opublikowane w wielkich dziennikach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (Erik-Michael Bader) i *Die Welt* (Margitta Weber).

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Kwarantanna przed polską zarazą obejmuje nie tylko Czechosłowację i Niemcy Wschodnie, ale też przede wszystkim sowieckie pogranicze. Już od kilku miesięcy wstrzymano w republikach litewskiej i łotewskiej debiet polskiej prasy. W listopadzie 1980 oświadczono zagranicznym korespondentom pragnącym odwiedzić Wilno że jest ono „czasowo zamknięte”. Listy zagraniczne leżą na poczcie dłużej niż zazwyczaj, albo też w ogóle nie są dostarczane. Rewizje i areszty są częstsze. Próby strajków nie udają się, bo nie ma solidarności (też bez cudzoziemców) ponieważ w zakładach fabryk jest wielu Rosjan, którzy takie wystąpienia uważają za skierowane przeciwko nim. Związki zawodowe dbają nieco bardziej o interesy swych członków.

Rozwój wypadków w Polsce jest pilnie obserwowany, ale bez optymizmu, gdyż warunki i możliwości są tu zgoła odmienne. Prócz przynależności do Związku Zawodowego i obecności licznych Rosjan, w grę wchodzi też stanowisko kleru, nie tak jednolite jak w Polsce. Wyższa hierarchia i część kleru nie chce się narażać. Sytuacja gospodarcza pogorszyła się. Jesienią było dużo deszczów, potem przyszła wczesna, mroźna zima, co utrudniło zbiór warzyw okopowych i ziemniaków, które w gospodarce litewskiej odgrywają wielką rolę. A że i lato było niepomyślne, kolejki przed sklepami spożywczymi wydłużyły się. Ludność wiejska, której odsetek spadł już do 39 %, na razie ma co jeść, ale w miastach ludzie zaczynają mieć kłopoty. Może to wpłynąć na wstrzymanie pędu do miast. W ogólnych zarysach wewnętrzna migracja odbywała się w ten sposób, że młodzież ciągnęła do międzynarodowego Wilna, starsi do jeszcze litewskiego Kowna. Pęd na litewskie Pomorze do Kłajpedy, Połagi ustał, gdy prowincja ta uległa wielkiej rusyfikacji wskutek napływu rosyjskich pracowników i setek tysięcy wczasowiczów. Ciekawym zjawiskiem jest, że ostatnio rosną jak na drożdżach miasta i miasteczka w pobliżu polskiej granicy, jak Olita czy Druskienniki. Chociaż oficjalnie nikt tego nie komentuje, jednak motyw jest jasny: chęć bycia tam, gdzie dochodzi świeższy powiew, bowiem znając język polski można oglądać nie tak „zglajchszaltowane” programy TV, słuchać radia i bardziej zachodniej muzyki. Do tej oceny sytuacji (zaczepniętej z prasy litewskiej) można dodać, że w Olicie i Druskiennikach żyją ogromne skupiska Rosjan, więc któż tęskni do tego świeżego powiewu? Może Polacy, których telewizory są nastawiane wyłącznie na Warszawę. O stosunkach w coraz bardziej zrussyfikowanym Wilnie dochodzą sprzeczne wiadomości.

W kościołach litewskich usuwanie łaciny idzie opornie, gdyż brak jest litewskich mszałów i litewskiej literatury religijnej. Modlitwy przy obrze-

dach chrztu, ślubów (44 tys. rocznie) i ostatniego namaszczenia odmawiane są po łacinie. W roku 1972 wydrukowano 10 tys. egz. Nowego Testamentu. Egzemplarz ewangelii kosztuje na czarnym rynku 30 rubli.

Charakterystyczne jest, że „Kronika Kościoła katolickiego na Litwie”, której wyszło już bez mała 50 numerów, składających się na wielotomowe dzieło, pomija udział i warunki pracy polskich katolików na Litwie, porzeczając na informacji, że w kilku kościołach w Wilnie i jednym w Kownie są odprawiane polskie nabożeństwa. Dopiero teraz dotarła na Zachód petycja sprzed paru lat w sprawie zwrotu kościoła w Kłajpedzie, wybudowanego kosztem wiernych i zabranego im przed 20 laty. Pod zaadresowaną do Breżniewa petycją widnieją 143 tysiące podpisów; załączona do niej dokumentacja liczy sobie 1.434 stron i 56 zdjęć.

W czasie wizyty w Niemczech papież otrzymał od grupy Litwinów medal z brązu z podobizną Matki Boskiej Ostrobramskiej. Usłyszeli oni ponowne zapewnienie: „Co dzień modłę się za Litwę”.

Prasa litewska na emigracji zamieszcza podobizny Miłozsa, cytuje jego przemówienie sztokholmskie i urywki autobiograficzne z „Rodzinnej Europy”. Pewna litewsko-amerykańska dziennikarka po dłuższej rozmowie telefonicznej z autorem stwierdziła, że jest on rzekomo Litwinem. Zaalarmowana tym Polka z Toronto zapytała Miłozsa, czy rzeczywiście jest on Litwinem i usłyszała: „Istnieje taka legenda, że jestem Litwinem, jednak nie jestem Litwinem, a Polakiem”. Kwartalnik *Metmenys* dedykuje swój numer 40 „Czesławowi Miłozsowi, ostatniemu obywatelowi Wielkiego Xięstwa Litewskiego, pierwszemu Litwinowi (ale) polskiemu poecie, laureatowi Nobla”. Ujście inteligentne, które byłoby bardziej precyzyjne, gdyby wzorem białoruskim stosować rozróżnienie na Litwinów i „Lietuvisów”.

Omawiając 400-lecie uniwersytetu Wileńskiego Litwini tak w kraju jak też na emigracji pomijali weń polski wkład, ograniczyli się do wymieniania przejawów jego litewskości, zwłaszcza pod względem językowym. Uniwersytet Batorskiego był w okresie międzywojnia pomijany. Kłam takim naświetleniu zadała nagroda Nobla dla jego wychowanka Czesława Miłozsa. Toteż i w litewskiej prasie emigracyjnej można zanotować pewną reakcję na te przemilczenia.

Liberalny kwartalnik *Metmenys* zapytuje np., dlaczego podkreślano tylko przejawy litewskości, podczas gdy w latach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej na 1.604 wydawnictwa uniwersyteckie 820 było po łacinie, 716 po polsku i 52 po litewsku. W latach porozbiorowych w okresie rozkwitu uczelni, rozważano wprowadzenie kursu raczej niż katedry języka litewskiego, ale nie brano w ogóle pod uwagę zastąpienia łaciny językiem litewskim, gdyż językiem warstwy oświeconej był w owym czasie (1800-1832) język polski.

Na koniec rewelacja (może naukowa?): w innym tygodniku litewskim autor wywodzi, że Prusowie i Jądźwingowie zostali zniemczeni lub spolszczeni i nazwiska Wojtyła, Wałęsa i Kania świadczą o ich litewskim pochodzeniu. Dodać można, że z nazwisk współcześnie znanych w Polsce nazwisko arcybiskupa wrocławskiego Gulbinowicza jest chyba rzeczywiście litewskiego pochodzenia, bowiem *gulbinas* znaczy po litewsku łabędź, a trudno w tym wypadku doszukać się polskiego źródłosłowu.

Papież Jan Paweł II napisał 20 sierpnia 1980 r. czterostronicowy list do biskupa J. Steponavičiusa, internowanego w małym miasteczku na łotewskim pograniczu i usuniętego od 20 lat od administrowania archidiecezją wileńską. Przesyłając gratulacje z okazji 25-lecia otrzymania sakry biskupiej, papież w serdecznych słowach omawia działalność jubilata, absolwenta wydziału filozoficzno-teologicznego Uniwersytetu Wileńskiego (1936), prefekta w Grodnie, proboszcza w Święcianach i następnego biskupa, który się nie załamał. Udzielając błogosławieństwa Litwie papież dodaje: „Przecie

trzeba, aby najwyższy Pasterz najbardziej troszczył się o te swe dzieci, którym wypadło żyć w najtrudniejszych warunkach”.

W dniu 11. 9. 1980 biskup Steponavičius przybył do Wilna, odprawił mszę w Ostrej Bramie i wygłosił kazanie w językach litewskim i polskim. Jest pewna ironia losu w tym, że po obchodach 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego, w czasie których polski Uniwersytet Batorskiego został odsądzony od wszelkich zasług naukowych i wychowawczych, właśnie dwaj jego wychowankowie zyskali ostatnio światowy rozgłos — laureat Nobla Miłozs i kardynał *in pectore* Juljonas Steponavičius.

E. ŻAGIELL

POPARCIE DLA „OŚWIADCZENIA” ROSYJSKO-UKRAIŃSKIEGO

W drugiej połowie 1980 roku rosyjska i ukraińska prasa wydrukowała podpisane przez dziesięć osób „Oświadczenie rosyjsko-ukraińskie”^{*}.

„Oświadczenie” wywołało żywy oddźwięk wśród ukraińskiej i rosyjskiej społeczności, czego dowodem jest m.in. to, że dziesiątki Ukraińców i Rosjan zgłosiły swe poparcie dla niego. Są wśród nich politycy, dziennikarze, profesorowie, pisarze, poeci, artyści, działacze społeczni i kulturalni. Zgłaszający swój akces Rosjanie to najnowsi emigranci-dysydenci, których wiążą mocne więzi z narodem rosyjskim i którzy mają poważny wpływ na jego opinię publiczną.

Podajemy pierwszą listę dalszych sygnatariuszy (bez tytułów naukowych):

Ukraińcy: Ołeksa Biłaniuk, Jarosław Biłynskij, Roman Borkowskij, Wasyl Wytwyckij, Ołeh Woliński, Josyf Hirniak, Wasyl Hryszko, Mychajło Dobrianskij (Anglia), Ołeksij Konował, Hryhorij Kostiuik, Dmytro Kuzyk, Anatolij Łysyj, Jurij Łucygij, Wasyl Markuś, Jarosław Pełenski, Petro Poticznyj, Mykoła Radejko (Norwegia), Iwan Łysiak-Rudnyckij, Roman Sawyckij, Mychajło Smyk, Atanas Fihol (RFN), Ołeksia Jaworski (kraj podajemy tylko przy nazwiskach osób nie mieszkających w USA lub Kanadzie).

Rosjanie: Kronid Lubarskij, Galina Sałowa, Wadim Nieczajew, Wiktor Niekrasow, Władimir Maramzin, Violetta Iverni, Wasilij Bietaki, Oskar Rabin, Aleksander Glezer, Kira Sappir, Ernst Nieizwiestnyj, Wadim Delauney, Władimir Ałoj, Edward Kuzniecowa, Walerij Czalidze, Paweł Litwinow (pełną listę nazwisk podaje 26-ty numer *Kontynentu*).

* „Oświadczenie” było zamieszczone w *Kulturze* w nrze 11/398, listopad 1980.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

CZESŁAW MIŁOSZ

« DZIEŁA ZBIOROWE »

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMY:

ZNIEWOLONY UMYŚŁ, str. 240 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

ZDOBYCIE WŁADZY, str. 160 — cena F. 50,00
(\$US 13,50).

RODZINNA EUROPA, str. 248 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

DOLINA ISSY, str. 196 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, str. 256 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

ZIEMIA ULRO, str. 224 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

WIDZENIA NA ZATOKĄ SAN FRANCISCO, str. 172
— cena F. 40,00 (\$US 10,50).

OGRÓD NAUK, str. 256 — cena F. 65,00
(\$US 15,75).

Poezje Czesława Miłosza w dwóch tomach
ukazą się w niedługim czasie.

Kraj

Wolny ruch zawodowy w Polsce

(REFLEKSJE NIE-BEZSTRONNEGO OBSERWATORA
KRAJOWEGO)

Pięć miesięcy funkcjonowania wolnego ruchu zawodowego w Polsce, przede wszystkim zaś i głównie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” (dalej dla zwięzłości NSZZ „S”), dostarcza materiału do uwag i refleksji na ten temat i pozwala dostrzec pewne słabe strony tego ruchu — wymagające jak najszybszej naprawy — oraz luki czekające na dopełnienie.

Od hasła do rzeczywistości

W późnych latach siedemdziesiątych hasło wolnych związków zawodowych zaczęło się przekształcać w fakt społeczny. Powstały — początkowo z inicjatywy KSS „KOR” i innych ugrupowań — pierwsze komitety organizacyjne wolnych związków, ukazały się też pierwsze numery ich czasopism. Lipcowo-sierpniowa fala strajków 1980 roku doprowadziła do powstania autentycznego, masowego — więc wolnego — ruchu zawodowego. Jego istnienie zostało formalnie usankcjonowane umowami-ugodami w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu.

Lecz w kraju pozbawionym od ponad trzech dziesięcioleci demokratycznego życia publicznego nowa organizacja napotkała na specyficzne przeszkody, jakich z góry przewidzieć się nie dało. Stanęła przed problemami, które dawno zostały rozwiązane w innych państwach, gdzie swobody związkowe są faktem dokonanym, a przede wszystkim skazana była na prowadzenie dalszej walki o podstawowe swobody związkowe, które w pierwszej konfrontacji nie zostały ostatecznie załatwione.

Eksperci i umowa

Umowy z jesieni 1980, kończące pierwszy etap walki robotniczej, były — czego nikt chyba nie kwestionuje — kompromisem; i to kompromisem niezupełnie autentycznym, naturalnym. Kompromis jest zazwyczaj wyrazem stosunku sił zawierających go stron. Natomiast we wspomnianych okoliczności stała się centralna, mimo że jastrzębska była dalej idącą — niezupełnie tak się stało. Robotnicy osiągnęli mniej niż pozwalała im na to ich siła, i to niekoniecznie w rezultacie działania czynnika eufemistycznie nazywanego położeniem geopolitycznym*. Jeśli bowiem eksperci komisji rządowej byli rzeczywistymi rzeczoznawcami swego mocodawcy i dbali wyłącznie o jego interesy, to eksperci drugiej strony ustawili się od pierwszej chwili jako pośrednicy pomiędzy stronami, mediatorzy zaakceptowani przez jednych i drugich. Toteż dbali przede wszystkim o to, by jak najszybciej doprowadzić do kompromisu. Do tego parła zresztą również większość Episkopatu, wywierając nacisk zarówno na ekspertów strony robotniczej jak i bezpośrednio na tych przywódców strajkowych, którzy uznawali autorytet i kierowniczą rolę hierarchii kościelnej.

Toteż eksperci robotniczy byli bardziej ustępliwi, niż ich partnerzy z przeciwnej strony stołu. Zresztą grupa ta była psychicznie predysponowana do przyjęcia takiej właśnie postawy. Ponadto w całej tej ekipie nie było — co w niczym nie uwłacza naukowemu kompetencjom poszczególnych ekspertów — ani jednego znawcy problematyki związkowej. Nic zatem dziwnego, że właśnie w kwestii wolnych związków (w imię kompromisu zastąpiono w umowie przymiotnik „wolny” aż dwoma innymi — „niezależny samorządny”) ów gdański pakt społeczny zawiera wyjątkowo wiele luk. Wynikały one nie (jak w przypadku niektórych innych postanowień) z pozostawienia — w imię kompromisu — pewnych spraw czasowi jako najlepszemu lekarzowi, lecz z niewiedzy. Były to bowiem sprawy, do których zarówno komisja rządowa, jak i całe kierownictwo partyjno-rządowe, rozżalone na stare kierownictwo związkowe za jego nieudolność, odniosłyby się raczej pozytywnie, rzucając na pożarcie swoją dawną „transmisję do mas”. Zarazem kwestie te, pozostawione otwartymi, lada dzień mogą stać się przyczyną nikomu niepotrzebnych konfliktów. Tak więc pominięto zarówno sprawę przyszłości Funduszu Wczasów Pracowniczych, będącego dotąd agendą CRZZ, a rozporządzającego pokaźną liczbą domów wczasowych, powstałych, względnie poddanych kapitalnemu remontowi, ze składek związkowców. Podobno nie ustalono trybu podziału

* Ci, którzy w sierpniu o tym czynniku „geopolitycznym” mówili, zapewniali, iż „starszy brat” nigdy nie pogodzi się z wolnymi związkami, gdyż sprzeczne to z jego doktryną itp. A jednak CRZZ znikł z powierzchni, a czołgi granic nie przekroczyły.

majątku dotychczasowych związków, którego współwłaścicielami — także z racji płaconych w ciągu wielu lat składek — są przecież ci, którzy zostali teraz członkami wolnych związków, czyli przede wszystkim NSZZ „S”. A fundusze te lada dzień okażą się potrzebne dla wywiązania się nowych związków ze świadczeń przysługujących ich członkom, analogicznie jak w „starych” związkach. (Statut NSZZ „S” całkowicie pominął kwestię świadczeń, stanowiących przecież uzupełnienie dochodów pracowniczych właśnie w trudnych finansowo sytuacjach pracownika)*.

Styl działania

Rokowania gdańskie prowadzono w pełni jawnie. Sala, w której się toczyły, była radiofonizowana i cała załoga mogła się przysłuchiwać transmitowanemu przez radiowęzeł Stoczni przebiegowi rozmów. Posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „S”, tej najwyższej instancji Związku, odbywają się *coram publico*. Niemal każdy może przystąpić do wystąpień mówców. Lecz nie ukazują się żadne komunikaty o ich tematyce, przebiegu i stanowiskach zajętych wobec konkretnych zagadnień przez poszczególnych członków Komisji. Podobna jest praktyka władz związkowych w regionach. W ostatecznym rachunku nasuwać to może obawy, że powoli dokonuje się powrót do potępionych metod pracy kierownictw dawnych związków

* *Solidarność dolnośląska* (nr 4/18 z 29 stycznia br.) w artykule „Majątek CRZZ” podaje:

„Wszyscy jesteśmy zdania, że majątek po Zrzeszeniu Związków Zawodowych, którym dysponowała CRZZ, powinien być rozdzielony proporcjonalnie pomiędzy wszystkie zarejestrowane związki zawodowe.

Oczywiste jest, że NSZZ 'Solidarność', jako związek zawodowy zrzeszający największą liczbę pracowników winien partycypować w przeważającej części tego majątku.

Jaki to jest majątek i w czyjej dyspozycji pozostaje? Otóż majątek ten, jak wynika z uchwały XVII Plenum CRZZ z dnia 5. 12. 1980 r. składa się z szeregu nieruchomości oraz z następujących środków pieniężnych:

- 366,9 mln złotych na rachunku bankowym CRZZ,
- 173,4 mln złotych na rachunkach WRZZ,
- 811,6 tys. rubli,
- 168,3 tys. dolarów,
- 30,9 tys. dolarów clearingowych.

XVII Plenum CRZZ podjęło również uchwałę o powołaniu komisji likwidacyjnej, w skład której weszło sześciu byłych pracowników CRZZ i przewodniczący 23 zarządów głównych branżowych związków zawodowych, będących w dniu 1 września 1980 r. członkami Zrzeszenia Związków Zawodowych. Przewodniczącym komisji został Mieczysław Grad — były sekretarz CRZZ.

Pomimo że NSZZ 'Solidarność' już w dniu 10. XI. 1980 r. został zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie oraz że w dniu zaprzestania działalności CRZZ, Związek nasz zrzeszał przeważającą większość ludzi pracy, do komisji likwidacyjnej nie powołano w ogóle przedstawicieli NSZZ 'Solidarność'”.

branżowych i CRZZ. Pojawiają się już pierwsze nutki-interpretacje, że istnieją sprawy związkowe nie nadające się do publicznego roztrząsania, a wymagające dyskrecji. Jakże to sprawy?

Oczywiście, póki trwa społeczne napięcie owo niebezpieczeństwo nawrotu do starych praktyk jest minimalne. Lecz w sytuacji nieco spokojniejszej pojawią się silne w tym kierunku pokusy. Dlatego byłoby chyba wskazane wprowadzenie trwałej praktyki, iż szczegółowe sprawozdania z posiedzeń związkowych władz regionalnych i centralnych oraz uchwały publikuje się w czasopiśmie regionalnych i w centralnej „Solidarności”, której poród tak trudny jest i skomplikowany.

Pałapki i konsekwencje pluralizmu

NSZZ „S” powstał jako organizacja światopoglądowo i — powiedzmy to otwarcie — politycznie pluralistyczna. Inaczej zresztą być nie mogło. Jest on dzieckiem fali strajkowej z lipca-sierpnia 1980 roku. A brali w niej czynny udział robotnicy wszelkich poglądów, od katolików praktykujących, po takich członków PZPR, dla których ideały socjalizmu i marksizmu nadal pozostają wyznaniem wiary. Z takiego stanu rzeczy wynikają konsekwencje organizacyjne i polityczne, które powinni i muszą sobie uświadomić przywódca NSZZ „S”; inaczej doprowadzą do osłabienia organizacji.

Wielonurtowość oznacza przede wszystkim równouprawnienie wszystkich postaw, zatem świadomą rezygnację z próby narzucenia jednej z nich całej organizacji. Nie wolno robić takich gestów oficjalnych, wobec których część członków czułaby się skrzepowana czy znalazłaby się w sytuacji dwuznacznej. Aktualnie dotyczy to wielu posunięć grup inspirowanych przez część Episkopatu. Nie służą bowiem jedności organizacyjnej takie posunięcia jak poświęcanie związkowych sztandarów w kościołach, zbiorowy udział władz związkowych w praktykach religijnych czy wystąpienie Wałęsy, który wzorem króla Jana Kazimierza i kardynała Wyszyńskiego oddaje Polskę i „Solidarność” pod opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej. Tym bardziej trudno jest odnieść się z aprobatą do nacisków na Międzyzakładowe Komisje Robotnicze i Regiony „Solidarności”, by powołały u siebie kapelanów i wyznaczyły stałych przedstawicieli dla porozumiewania się z właściwymi terytorialnie kuriami biskupimi. Nie wystarcza w tych przypadkach odpowiedź, iż taka jest przecież wola większości, więc się jej należy podporządkować, zaś niewierzących nikt nie zmusza do udziału w owych aktach religijnych. Wielonurtowość oznacza równouprawnienie światopoglądów, a nie jedynie tolerowanie inaczej myślących. Nie zmieni tej sytuacji argument o woli większości. Demokracja nie pokrywa się bowiem z jej dyktaturą; integralną częścią składową demokracji jest konsekwentne szanowanie prawa mniejszości do

zachowania własnych poglądów. W USA z tego względu zrezygnowano z odmawiania modlitwy w szkołach, bowiem nie zdołano opracować takiego jej tekstu, który byłby do przyjęcia przez wszystkich.

Doprowadzić zaś do tego, że zwolennicy postaw laickich opuszczą szereg NSZZ „S”, tego życzyć sobie mogą chyba koła partyjno-rządowe, gdyż nie tylko zmniejszyłoby to liczebność niemiłej im organizacji, lecz pozbawiłoby ją także części elementu aktywnego ze środowisk zawodowej inteligencji.

Demokratyczne wybory

Obecność w Związku ludzi różnych poglądów stawia na porządku dziennym również sprawę ich reprezentacji we władzach związkowych, zatem kwestię odpowiedniej ordynacji wyborczej. Trzydzieści kilka lat pogardy dla swobód obywatelskich skutecznie oduczyło obywateli PRL od myślenia kategoriami demokratycznymi; nie mieli możliwości praktycznego zaznajomienia się z różnorodnymi formami demokratycznych rozstrzygnięć. Toteż dla przygniatającej większości członków NSZZ „S”, pamiętających praktyki arbitralnego narzucania związkowcom — m.in. za pomocą odpowiednich regulaminów i instrukcji wyborczych — nawet ich najniższych władz związkowych (Komitety Zakładowe), możliwość wybierania do Komisji Zakładowych spośród kandydatów zgłaszanych przez uczestników zebrania wyborczego, decydowania w drodze głosowania tajnego na poszczególnych kandydatów — wydają się szczytem demokracji. Lecz system taki pozwala minimalnej nawet większości wprowadzić do Komisji Zakładowej wyłącznie swoich przedstawicieli. I odwrotnie, nawet spora mniejszość może nie być reprezentowana we władzach związkowych. Jedynym bodaj rozwiązaniem zdolnym zadowolić wszystkich byłoby głosowanie nie na pojedynczych kandydatów, lecz na zgłoszone przez uczestników listy kandydatów, reprezentujące określone postawy czy środowiska. Oczywiście system głosowania na listy byłby równoznaczny z przyznaniem się do polityczno-społecznej wielonurtowości NSZZ „S”, a pośrednio całego społeczeństwa. Nic w tym strasznego: powiedzenie tego na głos może tylko uzdrowić ogólną sytuację. Lepsze to od uników, które dają przeciwnikom asumpt do ataków.

Skończyć z zaściankowością

Już podczas sierpniowego strajku zaczęli przybywać do Gdańska przedstawiciele rozmaitych związków z różnych krajów. W ten sposób rodzący się wtedy polski wolny ruch zawodowy

stał się częścią międzynarodowego. Nie wyciągnięto z tego jednak konsekwencji. A NSZZ „S” nie może na stałe zachować *splendid isolation*. Ani mu to nie wyjdzie na korzyść, ani też życie mu na to nie pozwoli. Natomiast czynny udział w międzynarodowym ruchu zawodowym może polskiemu przynieść tylko korzyści. Oczywiście, wymaga to żywych kontaktów zarówno z centralami jak i z poszczególnymi związkami. W skali międzynarodowej liczą się dwa: Światowa Federacja Związków Zawodowych (SFZZ) i Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych (MKWZZ). W pierwszej — do której należała niesławnej pamięci CRZZ — rej wodzą związki zachodnie, jak francuska CGT. W MKWZZ przeważają centrale związkowe bliskie partiom socjalistycznym i socjaldemokratycznym, m.in. angielski Kongres Trade-Unionów (TUC). Daleko w tyle za tymi ośrodkami pozostaje — zarówno pod względem liczby zorganizowanych w niej członków, jak i wpływów w środowisku robotniczym — tzw. międzynarodówka chrześcijańskich. Zresztą jakiś czas temu usunęła ona ze swej nazwy słowo „chrześcijańskich”. Z wchodzących w jej skład związków pewną siłę, liczącą się w skali swego kraju, reprezentują w Europie jedynie chrześcijańskie związki w Belgii. Ta właśnie międzynarodówka dostrzegła w NSZZ „S” okazję do wzmocnienia swej pozycji w Europie i usilnie wciąga go w krąg swoich wpływów. Jej przedstawiciele jeden za drugim pielgrzymują do Wałęsy, coś mu tam tłumaczą, jakieś ważne perspektywy przed nim snują, a wtórują im niektórzy eksperci. Wyniki tych zabiegów nie kazały długo czekać na siebie. „Solidarność” rozpoczęła nawiązywanie międzynarodowych kontaktów od związków chrześcijańskich. Jej pierwsza delegacja zagraniczna pojechała do takich właśnie organizacji zawodowych w... Ameryce Południowej; widocznie było to najpilniejszą potrzebą w tej dziedzinie. Potem delegacja przyjechała do Madrytu, gdzie odwiedziła nie wielkie centrale — Komisje Robotnicze czy UGT — lecz mało komu znaną, niewielką centralę chrześcijańsko-demokratyczną. Nic więcej odpowiedniego nie znaleziono w Europie. Uzasadnienia takiego postępowania członkom nie podano.

Uwagi obserwatora krajowego otrzymaliśmy przed wizytą delegacji „Solidarności” w Rzymie, gdzie odbyło się kilka spotkań z przywódcami włoskich związków zawodowych oraz wizytą związków zawodowych szwedzkich i angielskich. Zapowiadana jest wizyta Wałęsy w Paryżu, na zaproszenie C.F.D.T. Nie wolno też zapominać o amerykańskiej AFL-CIO, która tyle konkretnej pomocy udzieliła „Solidarności” jesienią ub. roku i obecnie.

— (Redakcja).

„Autochtoni”*

Mam pewien dług wobec kolegów pisarzy, a zwłaszcza wobec ustępującego Zarządu Głównego. Otóż 8 września br., gdy Związek Literatów Polskich uchwalił swoje „Oświadczenie”, solidaryzując się z Porozumieniem Gdańskim i wspierając rozpoczęty proces odnowy naszego życia społeczno-politycznego, na tym samym posiedzeniu Zarząd zobligował równocześnie kolegów z Opola i Katowic oraz mnie, z Olsztyna, do opracowania memoriału, który by zwracał uwagę opinii publicznej na budzącą uzasadniony niepokój sytuację rdzennej ludności polskiej — określanej niekiedy z grecka jako autochtoniczna — na ziemiach odzyskanych. Dla ludności tej przez długie wieki jedyną ostoją polskości była „ojczyzna-mowa”.

Inne było ciśnienie historii w poszczególnych regionach, inaczej formowały się losy tej ludności w okresie powojennym. Wiedzą o tym pisarze, którzy tam wrosli i którzy osobno dzielą doświadczenia owych wspólnot, rozbijanych i chyba świadomie, jak można dziś już powiedzieć, skazywanych na zagładę.

Dokonujących się procesów, jak wielu innych procesów dziejowych, nie da się zatrzymać ani odwrócić. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, jak bardzo w ostatnich dziesięcioleciach ograbiano społeczność lokalne na Mazurach i Warmii, na Kaszubach, na Opolszczyźnie i na Śląsku — z godności ludzkiej i ze zwykłych człowieczych praw. I jak trudno przełamać zżerające nas milczenie, aby zdobyć się na moralny osąd tego, co się stało... Mówię więc o długu. Większy on jest wobec społeczności regionalnych, o których mowa, niżli wobec pisarzy. Ale źle by było, gdyby na tym zjeździe pisarskim zabrakło głosu w tej sprawie.

Rzecz bowiem nie sprowadza się do gestu ani do mniej lub bardziej zgrabnych sformułowań. Tu chodzi o życie — o życie godne i o wartości, które życie to czynią godne. I jeżeli się o nich zapomina, literatura przestaje być ważna. Nic nie usprawiedliwia zgody na społeczne upodlenie.

Nie znam dokładnie warunków, w jakich bytują społeczności lokalne w innych regionach ziem odzyskanych. To jednak, co dokonało się na Mazurach i Warmii w trzydziestopięcioleciu zasługuje na gorzką — i jeszcze nie zakończoną — rozprawę pod tytułem: Jak germanizowano Mazurów i Warmiaków w Polsce Ludowej? Znany publicysta, poseł na Sejm, przed laty stwierdzał z bezradną ironią, że to, co nie udało się ani Bismarckowi, ani Hitlerowi, dokonało się obecnie.

Przykro mi o tym mówić. Moja postawa i moja twórczość wywodzą się z przesłanek socjalistycznych. Niestety, praktyka godząca w rozwój człowieka i barbarzyńsko niszcząca wspólnoty ludzkie zawsze budziła mój sprzeciw. Świadczy ona bowiem o wynaturzeniach i zwyrodnieniach idei socjalistycznych. Zbyt długo trwała ta praktyka. Gorzej, że nadal ma się dobrze. Urodzony na Mazurach, od paru lat jako pisarz byłem w Olsztynie nieobecny — i taki pozostałem. Protestując przeciwko wynaturzeniom, wiosną tego roku zrezygnowałem z etatu w gazecie. Teraz, w okresie odnowy, wypowiedzenie z pracy otrzymała moja żona, od dwóch lat dopominająca się

* *Solidarność Dolnośląska* nr 5/19, Wrocław, 5. II. 1981.

o sprawiedliwość. I nie wiem, co przekazać?... Że dopominanie się o konstytucyjne prawa i zasady sprawiedliwości społecznej było — jest? — przybierające różną formę — zjawisko nietolerancji i szowinizmu. Tu i ówdzie, według rzymskiej zasady „dziel i rządź”, władza specjalnie antagonizuje społeczeństwo. To co narodowe, zbyt łatwo przeradza się — w nacjonalistyczne. Wiedzą o tym pisarze wywodzący się ze środowisk lokalnych, choć rzadko kiedy stać ich na głos w sprawach własnych. Poddani innym restrykcjom, organizują się najczęściej wokół tego, co im bezpośrednio zagraża. Jak w latach pięćdziesiątych bowiem, tak i dziś z okazji procesu odnowy ochotnie wyciąga się wobec społeczności lokalnych straszak separatyzmu. Wówczas ludzi wsadzano do więzień. Obecnie, gdy po dwudziestu pięciu latach zdziesiątkowano społeczności lokalne na Mazurach i Warmii, Opolszczyźnie czy Śląsku, ten straszak okazuje się nadal wygodny. Być może, że posługują się nim ci sami ludzie.

W ostatnich miesiącach, gdy na Wybrzeżu „dogadano się jak Polak z Polakiem”, w różnych środowiskach daje o sobie znać — przybierające różną formę — zjawisko nietolerancji i szowinizmu. Tu i ówdzie, według rzymskiej zasady „dziel i rządź”, władza specjalnie antagonizuje społeczeństwo. To co narodowe, zbyt łatwo przeradza się — w nacjonalistyczne. Wiedzą o tym pisarze wywodzący się ze środowisk lokalnych, choć rzadko kiedy stać ich na głos w sprawach własnych. Poddani innym restrykcjom, organizują się najczęściej wokół tego, co im bezpośrednio zagraża. Jak w latach pięćdziesiątych bowiem, tak i dziś z okazji procesu odnowy ochotnie wyciąga się wobec społeczności lokalnych straszak separatyzmu. Wówczas ludzi wsadzano do więzień. Obecnie, gdy po dwudziestu pięciu latach zdziesiątkowano społeczności lokalne na Mazurach i Warmii, Opolszczyźnie czy Śląsku, ten straszak okazuje się nadal wygodny. Być może, że posługują się nim ci sami ludzie.

Kto przypomni, że ludność mówiącą językiem polskim, osiadłą i siedzącą na ziemiach odzyskanych, już w 1944 roku potraktowano jako ludzi drugiej kategorii? A przecież wtedy, w Lublinie, w resorcie spraw zagranicznych pojawiło się stwierdzenie, że „elementy miejscowe nie mogą zajmować stanowisk kierowniczych”. Później zaś, gdy powstało Ministerstwo Ziemi Odzyskanych, w pięciu podstawowych punktach działania tego resortu ni słowem nie wspomniano o tym, że na ziemiach odzyskanych bytuje jakakolwiek ludność mówiąca językiem polskim!... Nie chcę już wspominać, jakie były pierwsze rozporządzenia pełnomocników rządu na poszczególne okręgi. Nie chcę też wspominać kto i jak w latach pięćdziesiątych sprawował tam władzę. I — dłaczek później, po polskim październiku, działacze mazurscy i warmińscy tak szybko zamilkli i w dodatku tak trwałe...

A dziś nie da się ukryć: „separatyzm mazurski” kwitnie! Przed dziesięć laty nad jeziorami Pluszne i Łańskim (opodal Olsztyna) zagrodzono niecałe 30 tysięcy hektarów, a pod koniec tej dekady tych hektarów było już prawie 70 tysięcy. Drucianymi wysokimi płotami „separatyści mazurcy” odgradzili się od ludności. Przeszkadzały im wioski śródleśne, także rolnicy warmińscy dopominający się w gminach o lepsze warunki. Czy „separatyści” musieli słuchać tych głosów? Czy to wojewoda, czy sekretarz KW — którzy nadal miłościwie sprawują władzę — nie mogli mieć takich samych „chat mazurskich” jak byli promineneci?... Mam przeto propozycję, aby warmińskie i mazurskie „rezerwy” z obu stron Łańska zachować dla przyszłości i pamięci jako pomnik separatyzmu władz od rzeczywistości.

Te praktyczne działania władz były przykładem dla lokalnej administracji i środowisk twórczych. Przykład przecież szedł — i nadal idzie — z góry. Dlaczego więc mieliby odeń stronić niektórzy przedstawiciele olsztyńskiego środowiska literackiego? Otóż jeden z nich, opiekun Koła Młodych ZLP, aktywny działacz ORMÓ, swą działalność patronacką rozpoczął od prezentowania adeptom literatury swego pistoletu na zebraniach. Lokalne władze poлюбиły go. On też walnie wspierał Zarząd Oddziału ZLP i w październiku tego roku przyczynił się do zwołania nadzwyczajnego zebrania, podczas którego on i jego koledzy potraktowali forum związkowe jako „społeczne biuro kadr”. (...)

Nie ma więc memoriału, który by zwracał uwagę opinii publicznej na

budzącą uzasadniony niepokój sytuację rdzennej ludności polskiej na tzw. ziemiach odzyskanych... Co robić? Może warto przytoczyć powody niepokoju, które wraz z gronem działaczy społecznych i kulturalnych (członków komitetu założycielskiego Mazurskiego Zrzeszenia Kulturalnego), nie zapierających się własnego rodowodu mazurskiego, w grudniu przygotowałem. Oto te powody, które składają nas do zabrania głosu; oto niektóre z nich:

Po pierwsze — postępujące wyniszczanie ludności mazurskiej, które doprowadziło do wyeliminowania tej społeczności z aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym, oświatowym oraz kulturalnym regionu i kraju;

Po drugie — polityka władz w mijającej dekadzie, rozpoczęta podpisaniem — ponad głowami ludności autochtonicznej — umowy między rządami PRL a RFN o tzw. akcji łączenia rodzin, która w praktyce nie zasługuje na inną kwalifikację moralną, jak tylko na dwudziestowieczny handel ludźmi;

Po trzecie — dezintegracja wspólnoty mazurskiej, dokonana najpierw przez administracyjny podział historycznych Mazur, a potem, na skutek licznych wyjazdów, przez presję i występujące zjawiska nietolerancji oraz przypadków szowinizmu zrodzonych zarówno na gruncie błędów polityki, jak i powszechnej w naszym społeczeństwie niewiedzy o dziejach i losach tej ludności;

Po czwarte — zacieranie śladów kultury mazurskiej w działaniach propagandowych i popularyzatorskich oraz w wyborczym podejmowaniu badań naukowych, co należy przyjąć jako efekt niedostrzegania istnienia ludności mazurskiej;

Po piąte — nasilanie się zjawisk nietolerancji, szczególnie ostatnio, także wśród warstw oświeconych i administracji wojewódzkiej, co stanowi groźne w skutkach polityczne, kulturalne i psychologiczne naruszanie praw ludzkich i pogwałcenie tożsamości;

Po szóste — współcześni mieszkańcy terenu Mazur, wychowani na błędach propagandy i jej doraźnych ocenach upraszczających kwestię mazurską, niewiele lub prawie nic nie wiedzą o wielowiekowych tradycjach oraz o mazursko-polskiej kulturze ludowej regionu, która ukształtowała specyficzne cechy ludu i formy jego bytowania;

Po siódme — pomimo licznych sygnałów, zarówno po wojnie jak i w połowie lat pięćdziesiątych, choćby podczas Zjazdu Inteligencji Miejscowego Pochodzenia, kolejne władze administracyjne nie uczyniły wiele, aby dzieci mazurskie uzyskałyby gruntowniejsze wykształcenie i w ten sposób zasyłały inteligencję miejscową, zadomowioną w kulturze ogólnopolskiej i mazurskiej, co było podstawowym warunkiem, aby przeciwdziałać tendencjom negatywnym, których skutki są obecnie tak widoczne;

Po ósme — z wielotysięcznej (liczącej ponad 60 tys.) grupy Mazurów, przez pokolenia trwających w swojszcie rozumianej i formowanej przez warunki historyczne polskości jako „ojczyzny-mowy”, dziś na terenie etnicznych Mazur pozostało zaledwie ok. 6 tysięcy Mazurów, którzy na ogół są pomijani w rachubach i działaniach władz, a co gorsza są traktowani jako element obcy, z którym nie wiadomo co robić i którego istnienia najlepiej nie dostrzegać.

Zainteresowany wszechstronnym rozwojem człowieka i potrzebą obrony jego godności, nie chcę przyrmykać oczu na to, co przyspiesza całkowitą zagładę Mazurów. Nasi przodkowie, którzy od wieków — tak jak ziemię — uprawiali tu ojczystą mowę i ojczyste obyczaje, dali moralne prawo, żeby Polska w 1945 roku mogła wrócić na Mazury. Uważam wszelako, iż tragedia mazurska, której akt końcowy rozgrywa się współcześnie na naszych

oczach, jest nade wszystko jaskrawym przykładem, w jaki sposób zostało nadużyte to moralne prawo i jak bardzo oddzielono je w praktyce od moralnych obowiązków z prawa tego wynikających.

Skoro inni, tak długo korzystając z moralnego prawa, tak niewiele uczyli dla wypełnienia takich samych obowiązków, uważam za konieczne, aby nad tymi wynaturzeniami, które trwały tak bardzo długo, i nad tymi błędami, które obecnie podsycają w praktyce występujące bezkarnie zjawiska nietolerancji, rozległ się głos pisarskiego sumienia. W obronie godności ludzkiej. W obronie tych wartości, które człowieka żywią.

Erwin KRUK

Warszawa, 29. 12. 1980 r.



KOMUNIKAT KSIĘGARNI „ORBIS” W LONDYNIE

Księgarnia ORBIS BOOKS (LONDON) Ltd. zawiadamia, że klienci, którzy w grudniu 1980 r. i styczniu br. opłacili prenumeratę *KULTURY* lub *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*, będą mieli zwróconą nadwyżkę powstałą wskutek wyższego kursu wymiany funta w momencie przekazywania należności do Francji. Nadwyżki te są następujące:

roczna prenumerata <i>Kultury</i>	£ 2.50
półroczna prenumerata <i>Kultury</i>	£ 1.25
roczna prenumerata <i>Zeszytów Historycznych</i> ..	£ 2.00
półroczna prenumerata <i>Zeszytów Historycznych</i> dla prenumeratorów <i>Kultury</i>	£ 1.90

Prenumeratory w Wielkiej Brytanii, którzy dokonali wpłat bezpośrednio do ORBISU, mogą albo uzyskać zwrot pieniędzy czekiem, po nadesłaniu zaadresowanej koperty ze znaczkiem pocztowym, albo użyć je na zakup książek względnie dalszą prenumeratę.

Prenumeratory, którzy dokonali wpłat przez inne księgarnie lub agentów proszeni są o bezpośrednie skomunikowanie się z nimi.

Kronika kulturalna

12 dziwnych lat

CZESKA LITERATURA 1968-1980

Czescy pisarze, ich organizacje oraz prasa stawiali opór dłużej niż partyjne kierownictwo Dubczeka: dopiero w roku 1970 nowe kierownictwo partyjne rozwiązało organizację pisarzy, zlikwidowało prasę kulturalną oraz za pomocą cenzury uniemożliwiło wszystkim niekonformistycznym autorom — a tych była ogromna większość — publikowanie ich nowych dzieł. Do roku 1970 ich utwory mogły ukazywać się w druku, chociaż sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Znow okazało się, że periodyzacja rozwoju literatury niekoniecznie zgadza się z periodyzacją życia politycznego danego kraju — znamienne daty historyczne 1918, 1939 lub 1945 też nie były punktami zwrotnymi w rozwoju literatury czeskiej.

W jednym wypadku data z historii politycznej jest jednak jednocześnie datą w historii literatury czeskiej: rok 1948. Pucz komunistyczny w lutym 1948 miał znamiona absolutnej katastrofy. W ciągu kilku miesięcy zlikwidowano 12 czasopism kulturalnych oraz uniemożliwiono dziesiątkom pisarzy publikowanie. Wielu pisarzy prześladowano. Wszystkim tym, którym wolno było drukować, przepisano ostry socrealizm. Gorsze jeszcze było to, że liczni pisarze z przymusu, na pół dobrowolnie czy nawet z entuzjazmem zaczęli produkować utwory, które od początku przedstawiały tylko pozycję bibliograficzną. Do policyjnego państwa typu stalinowskiego, odciętego hermetycznie nawet od „bratnich” krajów, nie mogły przenikać nieliczne książki czeskich autorów emigracyjnych. O literaturze nieoficjalnej w kraju nie mogło być mowy. Okres po roku 1948, zwłaszcza lata 1948-1954, przedstawia tak negatywny bilans w historii literatury czeskiej, że nawet okres okupacji niemieckiej 1939-1945 może wykazać więcej aktywów.

W odróżnieniu od okresu po lutym 1948 fala represji po sierpniu hamowała rozwój czeskiej literatury powoli, stopniowo. Zamknięto również wszystkie czasopisma kulturalne (razem 15),

jednak ostatnie dopiero po dwu latach. Przeszło 120 autorów nie może od roku 1970 drukować swych prac, ale do tego czasu ich utwory mogły się ukazywać. Jeżeli do pierwszego, nieśmiałego ożywienia czeskiej literatury po roku 1948 doszło dopiero w roku 1954 — a więc po sześciu latach — to drugie, burzliwe ożywienie następuje już w roku 1970, dwa lata od okupacji oraz kilka miesięcy od ostatecznego zlikwidowania publicznego życia literackiego. Społeczeństwo czeskie tym razem nie czekało, zanim się coś zmieni na lepsze w moskiewskim czy praskim centrum politycznym; samo, własnymi siłami ruszyło życie literackie z miejsca — bez zezwolenia centrali partyjnej.

W pierwszym pookupacyjnym okresie (1968-1970) mogły się jeszcze ukazać niektóre utwory katolickich pisarzy (Kostohryz, Reynek i in.). Czescy surrealiści wydali w roku 1969 znamienny zbiór tekstów, w tym samym 1969 roku ukazał się w czerwcu pierwszy — i ostatni — numer czasopisma surrealistów *Analagon*. Malarz, grafik i poeta J. Kolarz wydał zbiór wierszy oraz przygotował z dwoma czeskimi przyjaciółmi i z austriackim poetą Gerhardem Rühmem cykl tzw. poezji audytywnej dla praskiego radia.

J. Mucha, syn Alfonsa Muchy, słynnego autora afiszów teatru S. Bernhard, wydał w 1969 roku biograficzną powieść o swoim ojcu. J. Škvorecký mógł jeszcze w 1969 roku wydać powieść z kluczem „Młoda lwica”, opisującą pewne praskie wydawnictwo. V. Havel inscenizował wtedy w Pradze swą nową sztukę „Utrudniona możliwość koncentracji”.

Rok 1970 oznacza nie tylko koniec możliwości publikowania niekonformistycznych autorów — jednocześnie zaczyna krążyć w odpisach alegoryczna powieść L. Vaculika „Świnki morskie”. Ten utwór zaczyna serię czeskiej literatury nieoficjalnej, która po dziesięciu latach liczy przeszło 200 tytułów.

W roku 1971 udało się założyć trzy czeskie wydawnictwa emigracyjne — dwa w RFN i jedno w Kanadzie. Wydawnictwa te wydają książki czeskich autorów emigracyjnych (jest ich około 30), ale zwłaszcza utwory krajowej literatury nieoficjalnej. Tysiące drukowanych egzemplarzy przenikają do kraju, gdzie krążą do zupełnego ich zacytowania. Znaczny odsetek inteligencji czeskiej w kraju, zainteresowanej literaturą współczesną, dobrze się orientuje w nieoficjalnej czeskiej literaturze krajowej i literaturze emigracyjnej. Świadczą o tym m.in. ożywione literackie dyskusje w kołach inteligencji w kraju.

Od roku 1971 istnieją obok siebie trzy sposoby rozpowszechniania czeskich dzieł z zakresu beletrystyki, nauki oraz publicystyki. Drukiem ukazują się w Czechach utwory, które zdobyły zezwolenie cenzury politycznej. W maszynopisach krążą utwory, które cenzura odrzuciła oraz przede wszystkim te, które nigdy nie zostały cenzurze przedłożone. Na Zachodzie ukazują się drukiem utwory autorów emigracyjnych oraz nieoficjalne utwory krajowe. Granice pomiędzy tymi sposobami rozpowszechniania są płynne — znane są wypadki, kiedy utwór rozpowszechniany najpierw jako nieoficjalny maszynopis zostaje później wydany drukiem przez państwowe wydawnictwo (np. niektóre utwory B. Hrabala). Czasami autor żyjący na emigracji przyśle tekst do nieoficjalnego wydawnictwa w kraju (np. V. Linhartova). Są również autorzy (np. J. Seifert), których starsze utwory ukazują się „legalnie” w druku, natomiast nowe utwory są rozpowszechniane nieoficjalnie oraz wydawane po pewnym czasie na Zachodzie, w wydawnictwach emigracyjnych.

Powstała sytuacja nie jest oczywiście idealna — wielkie rzesze czytelników, zwłaszcza na prowincji, tylko z trudem oraz przypadkowo docierają do „nieoficjalnej” literatury. Z drugiej strony utwory autorów nieuznawanych przez kierownictwo polityczne w Pradze zyskują przez to, że ich autorzy przy pisaniu nie biorą pod uwagę cenzury. Nieoficjalna literatura czeska jest więc najbardziej wolną literaturą wszystkich czasów: cenzuralne, polityczne czy komercyjne względy po prostu nie istnieją.

Podział czeskiej literatury lat siedemdziesiątych według sposobu rozpowszechniania tekstów jest oczywiście sztuczny. Doświadczenie uczy, że dobrowolny czy wymuszony pobyt autora za granicą, wydanie utworu na obczyźnie czy jego rozpowszechnianie w postaci prymitywnych czasami odpisów są przejściowymi faktami z dziedziny polityki kulturalnej. Dla historii literatury oraz dla świadomości późniejszych czytelników są prawie bez znaczenia — wystarczy przypomnieć chociażby losy licznych utworów literackich polskiego romantyzmu w czasie ich powstawania oraz szerzenia w kraju.

Jeżeli porównamy czeskie utwory literackie z lat 1968-1980 (bez względu na sposób ich rozpowszechniania) z czeską produkcją literacką z czasów przed sierpniem 1968, to musimy stwierdzić, że ani roku 1968, ani żadnej późniejszej daty nie możemy uznać za początek nowego odcinka rozwoju w historii literatury czeskiej (przynajmniej o ile chodzi o kryteria estetyczne). Przy tym jest jasne, że o ile chodzi o utwory „legalnie” drukowane w kraju, są one oceniane z dwu krańcowych pozycji. Autorzy takich utworów, oficjalni krytycy literaccy oraz kierownictwo partyjne w Pradze są zainteresowani w tym, żeby udowodnić, że w latach 70-tych „legalna” literatura nie tylko rozwijała się w Czechach normalnie, ale osiągała nawet sukcesy. (Inna rzecz, że nawet oficjalna krytyka przyznaje, że czeskie „legalne” nowości dramatyczne mają teraz zenująco niski poziom).

Koła opozycyjne w kraju oraz emigracja nie chcą znów przyznać, że „legalnie” ukazują się również dosyć liczne wartościowe utwory literackie. Natomiast czechosłowackie czynniki oficjalne pomijają literaturę opozycji oraz emigracji milczeniem — mówi się o niej najwyżej w salach sądowych podczas procesów politycznych.

Nie ma wątpliwości co do tego, że opozycja oraz emigracja są w swej ocenie „legalnej” literatury znacznie bliższe prawdy niż oficjalna krytyka. Z drugiej strony opozycjoniści oraz emi-

granci mają skłonność do przyznawania niemal wszystkim tekstom literackim ukazującym się poza zasięgiem cenzury wysokiej rangi estetycznej — zjawisko to jest zresztą znane również z nieoficjalnej literatury polskiej czy rosyjskiej.

Trzeba przyznać, że z wyjątkiem utworów dramatycznych nie ma czeska literatura wydawana „legalnie” tak katastroficznie niskiego poziomu jako w okresie po roku 1948. Natomiast o ile chodzi o prasę kulturalną, to sytuacja jest bodaj jeszcze gorsza niż wtedy — ukazuje się tylko bezbarwny *Miesięcznik literacki* rządowego związku pisarzy; czasopismo ma wyraźnie funkcję alibistyczną. Czasopismo *Tvorba* (Twórczość), będące głosem KC w sprawach kultury, nigdy nie odznaczało się wysokim poziomem. W roku 1976 wyrzucono jego redaktora naczelnego J. Hajka (nie mylić z działaczem Karty 77!) i od tego czasu jego poziom jest wręcz rozpaczliwie niski. Po doświadczeniach z lat 60-tych bowiem nawet zupełnie lojalni pisarze nie dostają z rąk redakcji czasopism.

W oficjalnej produkcji literackiej lat 70-tych znajdują się utwory o pewnych walorach literackich. W dziedzinie liryki V. Zavada (ur. 1905) wydał w roku 1970 oraz 1977 dojrzałe tomiki. M. Florian (ur. 1931) wydał sześć tomów poetyckich — niestety zaczyna się powtarzać. J. Hanzlik oraz V. Hons (obaj ur. 1938) wydali również kilka wartościowych książek poetyckich. W dziedzinie prozy najlepszy chyba żyjący czeski prozaik B. Hrabal (ur. 1914) zdołał wydać po roku 1976 (w 1975 wygłosił samokrytykę) kilka tradycyjnie już autobiograficznych powieści, cieszących się ogromnym powodzeniem. Do dobrych prozaików należą VI. Paral (ur. 1932), który nadal analizuje „socjalistyczną burżuazję” północnych Czech, VI. Neff (ur. 1909), który wydał w latach 1973-80 świetną trylogię z czasów przed wojną trzydziestoletnią; ciekawe powieści wydali np. B. Brzezovsky (1912-1976) oraz J. Otczenaszek (ur. 1924). Do pewnego stopnia zaskoczył czytelników J. Szotola (ur. 1924), niegdyś znany liryk, który w roku 1975 ogłosił samokrytykę i może odtąd publikować. Pisze teraz powieści historyczne. Świetnie napisany jest jego „Święty na moście” (1978), książka ostro antykatolicka. Powieść o św. Janie Nepomuceńskim ukazała się jak gdyby w ramach obchodów 250 rocznicy kanonizacji tego czeskiego świętego. F. Kozík (ur. 1909), autor licznych *vies romancées*, wydał m.in. poczytną biografie czeskiej malarki Z. Braunerowej, przyjaciółki Paula Claudela.

Obok utworów wartościowych przyciągnęły uwagę publiczności również niektóre teksty o charakterze skandalicznym — m.in. powieść z kluczem „Va banque” (1974) A. Pludka (ur. 1923): jest to pamflet, karykaturujący przedstawicieli Praskiej Wiosny, przy czym nie brak w nim akcentów antysemickich (w Polsce ukazała się w 1969 roku powieść o podobnym charakterze, „Głupia sprawa” St. R. Dobrowolskiego).

Legalnie grające teatry nie mają żadnych nowości na pozio-

mie — z wyjątkiem tzw. teatrów małych form, które od 25 lat cieszą się ogromnym powodzeniem wśród młodych widzów. Niestety repertuar zaczyna się powoli powtarzać.

Historia oraz teoria literatury są wiernym odzwierciedleniem zastoju w całym życiu kulturalnym. W roku 1978 ukazał się „Przewodnik po historii literatury czeskiej”, który ze stanowiska dzisiejszego kierownictwa partyjnego „przewartościowa” autorów przeszłości. Liczni autorzy oraz dużo utworów zniknęło, co nie jest niespodzianką. Zaskakuje jednak, że historia literatury doprowadzona została tylko do roku 1948 — a więc brak ostatnich 30 lat od przejścia władzy przez komunistów. Niedoświadczony czytelnik jest zdziwiony: jak to, trzy dziesiątki lat panowania komunistów nie zasługują na przedstawienie? Wiadomo jednak, że większość autorów i dzieł z tych lat jest teraz na indeksie — nie ma więc o czym pisać.

Od roku 1975 jest zresztą na indeksie cały strukturalizm, który przecież powstał właśnie w Pradze. Jego czescy zwolennicy mogą dziś publikować tylko za granicą. Prawie cudem mogła się ukazać jeszcze w latach 1970-72 doskonała trzypięciotomowa praca „Awangarda znana i nieznaną”.



Lata 70-te przyniosły ogromny wzrost znaczenia czeskich wydawnictw emigracyjnych. Zasięg ich działalności, jakość oraz znaczenie wydawanych książek nie mają w historii czeskich wydawnictw precedensu. Ich działalność jest przez całe to dziesięciolecie na tyle związana z nieoficjalną literaturą krajową, której samizdatowe wydania drukują, że będzie logiczne, jeżeli zajmujemy się obu sposobami rozpowszechniania tekstów jednocześnie.

W dziedzinie poezji rozpowszechniano od roku 1970 w odpisach zbiór poezji J. Seiferta (ur. 1901); drukiem tom ukazał się w r. 1977 w Kolonii. Późniejszy tomik ukazał się drukiem w Monachium w 1979 roku. Wiosną 1980 roku ukazała się w Uppsali płyta z fragmentami pamiętników poety; tekst czyta częściowo sam autor. Od roku 1970 krążą w odpisach teksty malarza i pisarza J. Kolarza. Wiersze K. Sziktanca, J. Skacela, P. Kablesza oraz J. Gruszy należą do osiągnięć czeskiej liryki ostatniego dziesięciolecia — rozpowszechniane są w odpisach, a niektóre ukazały się już drukiem w wydawnictwach emigracyjnych. Poeta J. Grusza wydał (w maszynopisie) również powieść „Kwestionariusz” (po czesku drukiem w 1977 roku w Kanadzie) — w Pradze został autor za ten utwór skazany na więzienie, na Zachodzie otrzymał zań emigracyjną nagrodę literacką im. E. Hostovskiego.

Czescy surrealiści wydają (w maszynopisie) zbiory prac teoretycznych, na Zachodzie zaś ukazują się teksty ze spuścizny starszych czeskich autorów tego kierunku.

W dziedzinie prozy ukazują się w odpisach niektóre powieści wspomnianego już B. Hrabala; później te same teksty ukazują się na emigracji, a niektóre nawet w wydawnictwach państwowych w kraju. J. Szkvorecky wydaje we własnym wydawnictwie w Toronto powieści o różnej tematyce, tak samo jego żona Z. Salivarova (ur. 1933). Utwory I. Klimy (ur. 1931) są od roku 1973 rozpowszechniane w odpisach oraz drukowane na Zachodzie („Lato miłości” zostało też sfilmowane w Szwecji). A. Kliment (ur. 1929) oraz K. Pecka (ur. 1928) wydają w odpisach oraz drukiem na Zachodzie powieści z życia czeskiej inteligencji, powieści historyczne, sztuki teatralne oraz słuchowiska. Znany krytyk literacki J. Trefulka (ur. 1929) publikuje od roku 1972 w maszynopisach (oraz na Zachodzie drukiem) powieści psychologiczne. O. Filip (ur. 1930) pisał w kraju utwory szerzone nieoficjalnie, po wysiedleniu na Zachód drukuje w wydawnictwach emigracyjnych. W ostatnim czasie zaczął pisać po niemiecku. M. Kundera (ur. 1929), profesor w Rennes, wydaje swe powieści po czesku w wydawnictwach emigracyjnych oraz po francusku w renomowanych wydawnictwach paryskich.

Sztuki teatralne, tak słabe w literaturze oficjalnej, piszą przede wszystkim znani autorzy P. Kohout (ur. 1928) oraz V. Havel (ur. 1936). Kohout jest teraz czynny w wiedeńskim Burgtheater, Havel zamknięto w kraju w więzieniu. Teksty ich sztuk krążą w kraju w odpisach oraz są grane w mieszkaniach prywatnych, drukiem ukazują się w wydawnictwach emigracyjnych. W tłumaczeniach na zachodnie języki zdobyły światowy rozgłos.

W dziedzinie eseistyki ukazują się bardzo liczne prace w kraju i na emigracji — do najbardziej znanych autorów należą egzystencjalista W. Czerny oraz filozof-fenomenolog J. Patoczka (pierwszy leader Karty 77). „Słownik pisarzy czeskich”, doprowadzony do roku 1978 (ostatni podobny słownik ukazał się drukiem w Pradze 1964), jest na razie rozpowszechniany tylko w odpisach.

W przeciwieństwie do literatury ubiegłego dziesięciolecia, w życiu gospodarczym, politycznym i naukowym panuje zastój. Powodów nie należy szukać w jakichś specjalnych talentach pisarzy w odróżnieniu od naukowców. Czeskiemu pisarzowi dziś wystarczy papier, maszyna do pisania oraz spokój do pracy. Jeżeli jego utwór posiada walory literackie, znajdzie swoich czytelników, pomimo wszystkich przeszkód. Już historyk czy ekonomista ma nieporównanie gorszą pozycję — jeżeli należy do osób prześladowanych, nie może dotrzeć do archiwów, statystyk, zachodnich prac fachowych itd.

Lata siedemdziesiąte przyniosły urodzaj wartościowych dzieł literackich w języku czeskim. Większość z nich pisana była bez względu na cenzurę — trudno byłoby je wydać nawet w systemie „socjalizmu z ludzką twarzą”. Wiele z tych utworów doczekało się już tłumaczeń na Zachodzie, dalsze są właśnie tłumaczone na

niemiecki, francuski, angielski, włoski, hiszpański, szwedzki, japoński i inne języki, ale też np. na serbski (w Jugosławii) czy polski.

Tzw. normalizacja Husaka, od roku 1970 otwarcie dążąca do sprowadzenia literatury do absolutnego konformizmu, odniosła akurat odwrotny skutek: literatura czeska jako pierwszy czynnik czeskiego życia narodowego pokazała, że okupacja w sierpniu 1968 posunęła idee Praskiej Wiosny znacznie dalej niż ważyły się pomyśleć jej nawet najodważniejsze umysły.

Antonin MESTAN

KS. J. TISCHNER W RZYMIE

W pierwszych dniach marca przebywał w Rzymie ks. Józef Tischner, profesor filozofii na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, znany w środowiskach naukowych i studenckich duszpasterz. Ks. prof. Tischner jest również wybitnym publicystą. Jego artykuły na łamach miesięcznika *Znak* i *Tygodnika Powszechnego*, a zwłaszcza ostatnio zamieszczony cykl poświęcony etyce solidarności, wzbudziły duże zainteresowanie również we Włoszech. Czasopismo dokumentacyjne CSEO, Ośrodka Badań Europy Wschodniej w Bolonii, nazwało go „jednym z najbardziej autorytatywnych myślicieli szkoły krakowskiej”. W czasie ostatniego pobytu w Rzymie ks. Tischner wygłosił odczyt w siedzibie Instytutu Kultury Chrześcijańskiej w Domu Polskim przy via Cassia. Treścią tego odczytu był fragment większej, mającej się ukazać w kraju całości o stosunku człowieka do drugiego człowieka, w którym wyłania się kwestia groźby jaką może stanowić jeden człowiek dla drugiego. Analizując zjawisko zniewolenia człowieka (główny temat prelekcji), ks. Tischner przeprowadził porównanie między dwoma rodzajami tego zniewolenia: w tekstach filozoficznych Hegla i w twórczości Dostojewskiego, zwłaszcza w „Braciach Karamazow”. Z tego zestawienia wynika szereg różnic. Pierwsza: u Hegla człowiek zniewolony jest ofiarą przemocy, zagrożoną śmiercią, u Dostojewskiego natomiast jest niewolnikiem ułudy, iluzji. Druga różnica: pan u Hegla chce być uznawany, narzuca swą wolę, u Dostojewskiego zaś nie sięga do przemocy, jest geniuszem tworzenia iluzji i pragnie być kochany — nie wystarczy mu samo tylko uznanie. Przedstawiając mechanizm iluzji prelegent stwierdził, że jednym z jej warunków jest „przemiana godności człowieka”, jej umniejszenie i powierzenie komuś innemu. Drugi warunek stanowi „obietnica szczęścia polegająca na przekonaniu człowieka, że jego szczęście osiągalne jest małe i ograniczone”. Pan — wielki inkwizytor — „wie bowiem co dobre i co złe, decyduje o losie człowieka”. Mechanizm zniewolenia u Dostojewskiego polega na „powolnym umieraniu, na świadomości moralnego upodlenia i lęku prowadzących do poddania sumienia. Zniewolenie u Hegla, oparte na przemocy fizycznej lub duchowej, jest sielanką w zestawieniu z Dostojewskim”.

Chcąc wykazać, że można się wyzwolić ze zniewolenia, ks. prof. Tischner powołał się na słynne słowa Kartezjusza *cogito, ergo sum*. Platformę wyzwolenia stanowi racjonalny wysiłek myślenia prowadzący do prawdy, do

możliwości odzyskania własnej, ludzkiej godności. W wydarzeniach sierpniowych i w tym co po nich nastąpiło i nadal się dzieje ks. Tischner widzi potwierdzenie realnych i racjonalnie pojmowanych możliwości wyzwolenia wartości i prawd, jakie chrześcijaństwo wnosi w życie społeczne, a przede wszystkim przywrócenia godności człowieka.

Drugi odczyt, a właściwie spotkanie z ks. prof. Tischnerem, przeznaczone dla włoskiej publiczności, zostało zorganizowane przez włoskie stowarzyszenie imienia Maksymiliana Kolbe, powołane do życia przez intelektualistów i działaczy znanej katolickiej organizacji „Comunione e Liberazione”. Spotkanie to odbyło się z okazji ukazania się książki ks. Tischnera pt. „La svolta storica, cristiani e marxisti in Polonia”. Książka ta ukazuje się wkrótce po polsku w Bibliotece *Spotkań* pt. „Polski kształt dialogu”.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 321 — JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280.

Cena F. 80,00.

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki

„Baśki i Barbary”

i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce
w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

Wołanie na puszczy**Piaskiem w oczy**

Warszawa, 22 lutego 1981.

Mamy więc od dwóch tygodni premiera wojskowego. Różne są co do tego wersje: jedni mówią, że to wynik jakiejś gwałtownej rozgrywki na plenum KC partii i zwycięstwo Kani, drudzy, że to na pokaz dla Ruskich przed ich Zjazdem, trzeci, że aby złuzować premiera Pińkowskiego, który dosyć się już nakompromitował indolencją we wszelkich pertraktacjach. Z reguły przyjmował on warunki, które najpierw długo odrzucał, doprowadzając do stanu napięcia i wrzenia. Razem z Wałęsą zresztą uwikłali się w długi a bezsensowny spór o wolne soboty, dopiero strajkujący studenci sprowadzili rzecz do zdrowego sensu, stawiając szereg znakomych postulatów, dotyczących cenzury, prawa do własnej historii, reformy procedury paszportowej, dopuszczenia do kraju wydawnictw emigracyjnych, zwolnienia więźniów politycznych, ujawniania umów międzynarodowych etc. Tychże studentów zresztą próbowano przedstawić w telewizji jako debilów, nie wiedzących po co strajkują, ale rzecz się nie udała, bo w końcu postulaty ich ogłosił *Sztandar Młodych* i częściowo *Życie Warszawy*. Rząd tłumi informację, lecz ze zbuntowanymi dziennikarzami rady sobie dać nie może. A poza tym dezinformacja bywa też informacją: gdy na przykład pokazuje się w telewizji Komitet Centralny jako grupę grubych, ponurych facetów, wysłuchujących w milczeniu półtoragodzinnego dukania z maszynopisu, uskutecznianego przez jednego takiego samego faceta... No tak, mówią sobie ludzie, to jest informacja: oni się jeszcze niczego nie nauczyli, nawet od profesora Wałęsy. Podobnie, gdy się czyta absurdalne przemówienie warszawskiego sekretarza partii Kociołka o straszliwych antysocjalistycznych i antyradzieckich mafiach, które działają w Warszawie. Zaiste, ten nieprawdopodobny człek znów sobie grób polityczny kopie,

nic nie rozumiejąc. O niezgłębiona zagadko komunistycznej duszyczki! O tajemniczo bytu!

Od takich kuriozów generał Jaruzelski odbija dodatnio (co szlachta to szlachta, panowie!), choć niewiele o nim wiadomo. Nigdy żadnych poglądów dotąd nie wypowiadał, trzymał się na boku, a jego 10-punktowy program to lista marzeń i ideałów, nie konkretów. Również zmiany personalne mało są istotne, toteż huczna reklama że to „rząd ocalenia publicznego” szybko ucichła, także znanej akcji hołdowniczych depeš po paru dniach zaniechano. Gustowny jest tylko wicepremier Mieczysław Rakowski, wieloletni redaktor dobrego, sympatycznego, nawet gdy przymusowo lawiruje, pisma *Polityka*. Tak więc polski partyjny Hamlet po 25 latach przymierzania się doszedł do władzy, ale cóż to za władza, mój Boże — wrogowi bym nie życzył! Nawet ciekawy szkic o polskiej opozycji w *Życiu Literackim*, gdzie kurtuazyjnie choć negatywnie wyrażał się o KOR-ze musiał biedny Wicepremier przerwać. O KOR-ze można widać tylko bełkotać jak nieoceniony Krasicki lub nowy paszkwilant Zbigniew Kot, nie mówiąc już o prasie radzieckiej czy czeskiej, której teksty można by recytować żywcem w kabarecie Pietrzaka. Jakby wielcy tego świata (groteskowego) umówili się, że wszystko złe zwałą na Moczulskiego i Ziemińskiego z jednej, na Kuroń, Michnika i Macierewicza z drugiej strony, no i na złowrogą *Kulturę* oczywiście. Komiczne by to było, gdyby nie złowieszczy podtekst: że to ofiara, palona pilnie na dziwnym ołtarzu RZĘKOMEGO BÓSTWA KREMLOWSKIEGO.

Piszę: rzekomego, bo nikt prócz zapewne paru osób na górze nie wie, co to bóstwo właściwie zamierza. Dzieje się tak w myśl recepty Socjusza, że rozmawiać z Rosjanami może tylko góra Partii, a wara od tego rzeczywistym przedstawicielom polskiego społeczeństwa. Nawet Augstein* jeździć może do Moskwy na rozmówki, ale nie wolno ani Wałęsie, ani biskupowi, ani nawet Turowiczowi czy Stommie (choć był). W myśl tej dziwacznej teorii stado baranów nie ma prawa dowiedzieć się nawet, czy i kiedy pójdzie do rzeźni, powinno zostać zaskoczony, a co najwyżej może się domyślać tego lub owego. Otwiera się tu pole do nieustającego szantażu ze strony partii, ustałby on dopiero, gdyby złamano monopol tajemnicy. No, ale skoro Socjusz nie pozwala...

Ciekawe by było wiedzieć, czy owo 90-dniowe strajkowe zawieszenie broni, proponowane przez Jaruzelskiego (na szczęście nie ulegli mu studenci i rolnicy, nadgryzając rzecz o 10 dni niemal) podyktowane było jakimś postulatem Rosjan i czy generał powiedział o tym Wałęsie? Tajność, tajność nad tajnościami! A swoją drogą Partia nasz milusia ma przed zjazdem moskiew-

* Kisiel zapomina, że to nie była tylko samodzielna inicjatywa Augsteina, ale że Moskwa również życzyła sobie tych rozmów. Jeśli Kisiel czy ktoś z jednakomyślących uzyska zgodę na takie rozmowy na Kremlu, odszczekamy nasze wątpliwości. A więc do dzieła! (*Redaktor*).

skim problemy nielada. Chodzi mianowicie: a) Jaki ma być skład polskiej delegacji? — ryzykiem byłaby tu np. nagła zmiana Pierwszego Sekretarza o którą, jak wieść gminna głosi, toczyła się na naszych szczytach utajona batalia; b) Gdzie będzie posadzona ta delegacja: czy z tyłu, pomiędzy Chińczykami, czy w środku, obok Włochów, czy na froncie lub zgoła w prezydium? c) Jak będzie wycelowana, tudzież przez kogo i ile razy? d) Czy będzie zmuszona wymyślać na Reagana, czy wystarczy na Michnika, a może w ogóle na wrogów bez nazwiska? Po takich to objawach, w myśl Socjuszowej recepty, ma naród polski wnioskować o rzeczywistym stanie swych sojuszków i o swym losie! A ja furt twierdzę, że ważniejsze jest, abyśmy nasze sojusze i miejsce na wschodzie Europy potwierdzili sami, bez tajemnych a całujących pośredników. Czyż nie byłoby to poważniej? Zamiast, żeby się Kania musiał przymilać do Czechów i Honeckera?

Wróćmy do Kraju, który po 35 latach pilnej, zbożnej pracy socjalistycznej osiągnął kartki na mięso, brak gazet, lekarstw, węgla i prądu, oraz imponująco długie ogony przed sklepami. W Rosji propaganda twierdzi, że to wina polskiej reakcji tudzież anarchii i że oni nas utrzymują. Ja twierdzę, że to skutek nieopatrzności zastosowania socjalizmu (w Polsce upieram się, aby komunizm nazywał socjalizmem, za granicą — zachodnią — staram się wbić ludziom w głowę, że prawdziwym, marksistowskim socjalizmem jest tylko komunizm). Czesi i Węgrzy wykreślił się od wielkich, socjalistycznych inwestycji, bo to kraje małe o nie naruszonej dotąd mieszczańskie tradycji drobnotowarowej — toteż lepiej udało im się uniknąć złych skutków sowytyzmu, choć nawet i czołgi były w robocie. Za to Polska wielka, przeniesiona na nowe terytoria, nieuprzemysłowiona, przejęła nieopatrznie sowiecki wzorzec industrializacyjny i oto skutki. Tych skutków na pozór nie widać w Rosji, bo tam gaszone są terrorem, u nas terror zawiódł już dawno i rezultaty socjalizmu widać jak na dłoni. Nie chcą ich tylko dostrzec ludzie Zachodu, usiłujący nam wmówić, że to „normalny” kryzys złych rządów czy społecznej anarchii, a nie problem ustrojowy. Co im usiłował tłumaczyć profesor Stefan Kurowski w *Kulturze* 1-2/1981: cytowałem ten artykuł w krakowskim *Tygodniku Powszechnym*, cenzura nawet rzecz dopuściła, konfiskując tylko, że to było w *Kulturze*. Konsekwencja duża: jak u ex-premiera Pińkowskiego!

A kto Polskę może uratować? Moim zdaniem CHŁOPI. Chłopskie strajki, demonstracje i ruchy w celu uzyskania prawdziwego samorządu, to w moim pojęciu najdonioślejsza dziś w Polsce sprawa. Chłopi mogą i MUSZĄ przeprowadzić to, od czego uchylają się związki robotnicze i co „wyadministrować” próbuje pewna komisja: reformę gospodarczą, przemianę ekonomicznego myślenia, odrodzenie realnego prawa wartości. Chłopi w komunistycznej Polsce ostali się jako jedyna autentyczna, nie zaś sztucznie zaprojektowana warstwa społeczna. Chłop jest zarazem pracobiorcą i pracodawcą, robotnikiem i producentem, własnym planistą związanym jeszcze dotąd w każdym momencie

swego życia z żywą produkcją; nie walczy on o wolne soboty czy niedziele, lecz o PRACĘ i TWÓRCZOŚĆ materialną. Aby jednak mógł pracować, a także swoją pracą nadać nowy kierunek i strukturę naszej produkcji przemysłowej i rozwojowi handlu zagranicznego, trzeba pozwolić mu się zorganizować, porzucając biurokratyzowaną i skorumpowaną sieć dotychczasowych Kółek Rolniczych. Ważność tej sprawy rozumieją wszyscy, dobrze też rozumie ją Kościół, dając tego dowód w Komunikacie Rady Głównej Episkopatu z 10 lutego. Tylko Partia nie zrozumiała, lub nie od razu zrozumiała, niepotrzebnie alarmując Rosjan sprzeciwem wobec propozycji stworzenia „Solidarności” wiejskiej. Nie chodzi zresztą o nazwę, gdyby na Górze mieli społeczny pomysłuńek, zgodziliby się szybko i cicho — toć pomysłuńek dla Kraju! A i Ruscy by rzecz przełknęli, skoro prywatne rolnictwo tyle już lat łykają. Ale trudno o szybki, społeczny pomysłuńek u ludzi z Urzędowa (czerwony Urzędów to też Urzędów), którzy nigdy z prawdziwymi ruchami społecznymi do czynienia nie mieli. Jednak może się nauczą? Sprawa nowych chłopskich związków jeszcze na szczęście nie jest stracona, o nazwę nie chodzi, powtarzam, lecz o możliwość swobodnej produkcji. Robotnik nie wie, czy praca w jego fabryce lub hucie jest celowa i rentowna, chłop wie na pewno i dokładnie CZY i JAK produkować. Najlepszy dowód, że nie dał się jednak zniszczyć przez wieloletnie, doktrynerskie absurdy.

Tyle by było na dzisiaj, przed Zjazdem Partii w Moskwie. Miejmy nadzieję, że Kania nie zasiądzie jednak między Chińczykami i że będzie ucałowany. Już się wszakże utarł, sekretarzy wojewódzkich sobie ustawił, stara się, był wszakże w Pradze i w Berlinie. Oby się nam tylko nie przeziębili! Ale co dalej?!

Mam dwa warianty: optymistyczny i pesymistyczny. Optymistyczny: w Polsce jeszcze 4-5 lat trwać będzie (ku zabawnemu zgorzeniu Zachodu) ferment społeczno-polityczny, który doprowadzi do całkowitej przebudowy systemu (ustroju) — Rosjanie nie zainterweniują, bo to trudne politycznie i merytorycznie, lepiej mieć Polskę swobodną po swojej stronie, niż zniszczyć ją i całą wschodnioeuropejską politykę. Wariant pesymistyczny: Rosjanie wkroczą ostro, aby odbudować strach zrezygnują z wszelkich środków czy pozorów politycznych!

Wariantu drugiego nie rozpatruję, bo nie mam nań wpływu i pewno go nie przeżyję, więc mnie nie interesuje. Wariant pierwszy za to mogę sobie wyobrazić. Następować będzie stopniowa pluralizacja władzy. Mamy już dwuwładzę (rząd — związki robotnicze), gdy zorganizują się związki chłopskie nastąpi trójwładza. Sekretarz Kania twierdzi, że nigdzie na świecie nie ma nawet dwuwładzy — to oczywiście nieprawda: dwuwładza jest w USA (prezydent i kongres), wielowładza w NRF (*Landy*), w Szwajcarii etc. W Polsce wymuszona przez kryzys gospodarczy pluralizacja władzy doprowadzi najpierw do długich lat stwórczego zamętu — aż wyłonią się nowe formy i nowi ludzie, kto wie, może odegra też rolę nowy, pluralno-korporacyjny parlament. Zaś nowa forma reprezentacji społecznej potwierdzi auto-

rytatywnie nasz dobrowolny sojusz z narodami Wschodu, przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim. Wbrew tezm Socjusza, który chce politykę zagraniczną rezerwować dla komunistów. Tymczasem przyjdzie kolej na cały naród. Amen.

Tak więc będzie, albo... inaczej. Na zakończenie mała uwaga polemiczna *pro domo sua*. Czytelnicy zauważyli, że jeżdżą sobie po biednym Socjuszu jak tylko mi się podoba. Chciałem jednak również popolemizować tutaj trochę z profesorami Wiktoorem Sukiennickim i Stanisławem Swianiewiczem, którzy mocno atakowali moje dogmaty geopolityczne w *Kulturze* i w *Zeszytach Historycznych*. Niestety — nie udało mi się. Wobec tego kieruję PT. Polemistów do numeru 7 krajowego czasopisma *Res Publica*, gdzie wszystkim szczegółowo odpowiadam. Numer ten ukaże się w Warszawie jeszcze przed wakacjami, do nabycia w Redakcji. A adres Redakcji? Według starej, dziecięcej piosenki:

Na ulicy Ryż — Mysz

Pod numerem Sztok — Fisz.

Gdzie na pewno się wszyscy (a także i Pan Łobodowski) niezależnie od rozwoju wypadków spotkamy.

Przepraszam, dziękuję.

KISIEL

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

— pióra generała Sir John Hackett'a — to sensacyjna książka z gatunku współczesnej powieści polityczno-wojennej, która stała się światowym *bestseller'em* Nr 1 natychmiast po jej ukazaniu się w języku angielskim (patrz *Kultura* Nr 3, Paryż 1979). W języku polskim powieść ta ukaże się wiosną 1981 roku nakładem

LITERATURA Publishing Co.,
6201 Lexington Ave, Hollywood, CA, 90038 USA.

Cena: 14,50 dolarów.

W estetycznej szacie graficznej — edycja ta ukaże się w ściśle ograniczonym nakładzie — 500 egz. Zamówienia do realizacji przyjmujemy wyłącznie z przedpłatą, stąd zastrzegamy sobie prawo do negatywnego załatwienia (tj. zwrotu wpłaty) późniejszych zgłoszeń.

Wolna trybuna

Uwagi o Afrykańskiej Republice Południowej

Artykuł Włodzimierza Ledóchowskiego pt. „Afryka Południowa na zakręcie” (*Kultura* nr 9/396) wywołał znaczne poruszenie wśród Polaków zamieszkałych w tym kraju. Odmienne punkty widzenia reprezentuje drukowany poniżej artykuł Zygmunta Dąbrowskiego. Innych, dość licznych, wypowiedzi nie zamieszczamy nie tylko z braku miejsca, ale również ze względu na ich ton, którego staramy się unikać w *Kulturze*: wymyślania nie są argumentem. (*Redakcja*).

Z uczuciem melancholii zauważyłem niedawno, że najdłuższy okres mojego życia spędziłem w Południowej Afryce. Trzydzieści dwa lata! A w Polsce od dzieciństwa (z przerwą) zaledwie dwadzieścia pięć lat, oczywiście tych najważniejszych, kształtujących umysł, samopoczucie i światopogląd.

Tutaj od chwili przyjazdu nieprzerwaną pracą zarabiam na życie. Zacząłem niemal od zera. W chwili gdy otrzymałem moją pierwszą pracę cały majątek mojej rodziny wynosił siedem funtów. Nigdy nie narzekałem na nadmiar wolnego czasu i przypuszczam, że to samo odnosi się i do innych Polaków mieszkających w tym kraju.

W trakcie jednej z moich prac przemierzałem ten kraj przez pięć lat wzdłuż i wszerz, wiele razy. Pracowałem też jako inżynier przy najróżnorodniejszych kompleksach mechanicznych. Stykałem się z ludźmi wielu poziomów, zawodów i kolorów skóry i przyjaźniłem się z nimi. Także żona moja i dzieci miały wszechstronne kontakty. Rozmawialiśmy, obserwowaliśmy, czytaliśmy prasę i książki. Myślę, że mamy pewną znajomość tego kraju i że to co piszę oparte jest na rzeczywistości. A że przy tym jest szczerą prawdą, więc może zainteresować kogoś, kto nie zna Południowej Afryki.

Gdy w marcu 1948 roku pierwszy raz podjeżdżaliśmy pociągiem do Johannesburga (w skrócie pisze się Jhbg), byliśmy wstrząśnięci widokiem skupiska ruder koło stacji Newelace, wygładało to strasznie. Przestrzeń po obu stronach toru była zawalona masą zabudowań, zlewających się w jedną całość, bez kształtu i prawie bez ulic. Zlepisko blachy falistej, zardzewiałej blachy płaskiej, desek, płyt azbestowych itp., użytych na ściany i na dachy podtrzymywane kamieniami i cegłami. A w tym wszystkim mrowie ludzkie. Murzyni. Gdziekolwiek dała się zauważyć wolna przestrzeń, natychmiast ktoś ją pokrywał kawałkami blachy i zaczynał tam mieszkać. To skupisko musiało tam istnieć od dawna, rozszerzając się wzdłuż i wszerz i zagęszczając się powyżej granic możliwości. Jak się później dowiedzieliśmy, podobnie było wokół innych miast, np. w Cato Manor koło Durbanu, które też poznałem.

Przypuszczam, że gdzieś koło roku 1955 rząd zainicjował budowę solidnych murowanych domków dla Murzynów na specjalnie na to wytyczonych terenach. Tak powstało Soweto koło Johannesburga, Kwa Mashu koło Durban i inne osiedla, do których stopniowo przenoszono Murzynów z tych straszliwych blaszanych ruder. Domy budowano masowo, tysiącami, więc tanio, byle szybciej, ale za to te *shanty towns* zniknęły. W Soweto zaczęto już w bieżącym roku elektryfikację domów, co wymagało uzyskania dużych kapitałów. Wiem, że w osiedlach dla kolorowych w pobliżu Johannesburga mieszkańcy otrzymują domy już zelektryfikowane. Niewątpliwie będzie to wymagało dużego wysiłku, aby te czarne osiedla uczynić bardziej atrakcyjnymi, a zwłaszcza wolnymi od zbrodni. Rząd czyni wysiłki w tym kierunku. To prawda, że zbyt wolno i niedostatecznie, ale z drugiej strony Czarni okazują mało współpracy w tym kierunku, który przecież jest tak ważny dla nich samych. Co przede wszystkim rzuca się w oczy, to brak własnej inicjatywy Czarnych w polepszaniu swego bytu.

Łatwo jest wytykać, że standard życia Białych jest wyższy od warunków życia Czarnych. Pamiętajmy jednak, że gdy w pierwszej połowie XIX wieku burscy *roortrekkerzy* przybyli do Transvaalu, to nie przywieźli ze sobą tego wyższego standardu. Przywędrowali tu wozami zaprzężonymi w woły i dorabiali się pracą własnych rąk i umysłów. Nie zagarniali Czarnych jako niewolników i nie zmuszali ich do pracy — zresztą wtedy niewolnictwo było już zniesione — Czarni przychodzili do nich pracować, bo wiedzieli, że przy Białych lepiej się żyje. Taki był początek białych ferm i miasteczek oraz czarnych pomocników przy nich. A co do białych miast, wzniesionych jakoby rękami Czarnych, to do bardzo, ale to bardzo niedawna Murzyni nie budowali dla

białych dosłownie nic, służąc jedynie i wyłącznie jako siła transportowa. Każdą najprostszą pracę rzemieślniczą wykonywał Biały. Najpierw dlatego, że Czarny nie miał o tym pojęcia, a następnie, bo praca będąca jakkolwiek specjalnością (chociażby wbijanie gwoźdźcia czy wkręcanie śrubki) była obowiązkiem i przywilejem Białego. Oczywiście z czasem zauważono, że Czarny potrafi wszystko zrobić i leniwi Biali zaczęli ich uczyć i wyręczać się nimi, i dziś jest całkiem inaczej. Ale w dawnych czasach było całkiem naturalne i automatyczne, że Czarny stanowił tylko elementarną siłę pomocniczą. Wtedy nie wymagało to żadnych przepisów ograniczających zakres pracy Czarnych. No bo i Czarny miał raczej tendencję do biernego wykonywania roboty, zarobienia trochę pieniędzy a potem wypoczywania beczynnie, dopóki starczyło pieniędzy. Ten sposób życia jeszcze dziś daje się gdzieś tam zaobserwować, i to samo przez się ogranicza postęp Czarnych (tak Czarni pracują w kopalniach!). No i tak rosły miasta i przemysł Białych, a Czarni stali w miejscu.

Oczywiście, że spotykane na całym świecie nadużycia ze strony kapitału dążącego do zapewnienia sobie najtańszej siły roboczej odegrały tu dużą rolę. I zaznaczam, że nie było to winą masy białej ludności osiadłej w Południowej Afryce. Jaskrawym nadużyciem było aprobowane i przeprowadzone przez angielskie kolonialne rządy Natalu masowe sprowadzanie Chińczyków do pracy przy uprawie trzciny cukrowej. Po odesłaniu ich do Chin importowano masowo również mało wtedy płatnych Hindusów, którzy już tam zostali. Bardzo wiele błędnych nastawień i przepisów dominatorskiej polityki angielskich rządów obciążało później nastawienie rządów lokalnych. Wiele z tego co istniało wcześniej jako umowne i niekwestionowane, choć niemniej karygodne, zostało po 1948 roku, po objęciu władzy przez Afrykanerów wypukłone przez termin *apartheid*. Zostało wyrażone, a tym samym podkreślone, szeregiem niepotrzebnych a głupich przepisów, które od chwili, gdy je wyrażono i nakazano przestrzegać stały się tym bardziej krzywdzące dla ludzi o innych barwach skóry, a szkodliwe dla Białych, plamiąc ich imię w oczach świata. Dziś zdaje sobie z tego sprawę większość Białych, łącznie z Afrykanerami, którzy to przeprowadzili. Rozróżnia się wśród nich teraz *verligte* — oświeconych, w przeciwieństwie do *verkrampste* — zatwardziały, a zwłaszcza do twardego rdzenia ich, partii H.N.P., „Herstigte Nationale Party” (Zreformowana Partia Narodowa), która zresztą w wyborach parlamentarnych nie tylko nigdy nie uzyskała ani jednego posła, ale nawet z reguły traciła depozyty pieniężne, nie wykazując się żadaną minimalną ilością głosów wyborców. *Verkrampstes* i H.N.P. zażarcie bronią *apartheidu*. Do grupy *verligte* należy dziś większość rządu z pre-

mierem P. W. Botha na czele. Dążą oni do zmieniania, do złagodzenia, a wierzą że i do stopniowego zneutralizowania *apartheidu*. Rząd niewątpliwie chce to przyspieszyć, ale bez jednoczesnego doprowadzenia do rozłamów wewnątrz rządzącej Partii Narodowej, bo choć H.N.P. jest obecnie bardzo mała, to jednak *verkrampstes* są liczni i wielu z nich ma duże wpływy. Postęp Czarnych jest widoczny, nie tylko w zlikwidowaniu *slums'ów* z blachy falistej i we wroście ich swobody i dobrobytu. Każdy np. może zaobserwować obecnie ilość czarnych sprzedawców w „białych” sklepach Johannesburga. To było nie do pomyslenia 32 lata temu, gdyśmy przyjechali do Afryki Południowej. Podobnie jest i w innych zawodach, np. kelnerzy w restauracjach. Pamiętam, jak w 1953 roku w kamieniołomach, których byłem kierownikiem miałem krótki protestacyjny strajk białych kierowców ciężarówek, gdy na ciągnikach zaczęło pracować dwóch czarnych. Ileż musiałem im tłumaczyć, że ciągniki to coś o wiele prostszego niż samochody i dlatego rząd pozwolił Czarnym na nich pracować. Dziś niemal wszyscy kierowcy samochodowi są czarni i biali nie protestują. Jeszcze w roku 1974 fabryka, w której pracuję, dostała nakaz rządowy, aby zabrać z „białej” narzędziowni maszynę, na której pracował Czarny. Musieliśmy ją przesunąć na zewnątrz, wraz z Czarnym. Dziś w naszym warsztacie naprawczym, gdzie są sami Biali, pracuje na tokarce Czarny i jest to uważane za całkiem OK. Dodam, że kierownikiem tego warsztatu jest Afrykaner, a naczelnym dyrektorem fabryki jest też Afrykaner. Tak jest w *blue collar* pracach, ale jak jest w umysłowych? Ja sam się zdziwiłem parę miesięcy temu, gdy przed końcem roku budżetowego przyszło do nas trzech audytorów i jeden z nich był Czarny! Niedawno byłem w aptece po lekarstwo. Przygotował mi je Murzyn, i to nie sprzedawca, ale pracujący tam czarny farmaceuta.

Rząd dawno już usunął tzw. *petty apartheid*, np. osobne wejścia dla Białych i Czarnych na pocztę, otworzono też wszystkie okienka dla wszystkich, tzn. jak jest ogonek po znaczki pocztowe, to jest on już wielokolorowy. Podobnie jest w innych urządach rządowych i miejskich. W bankach kasjerzy są biali i czarni dla wszystkich interesantów bez różnicy. Otworzono parki dla wszystkich, co często powoduje, że wszystkie ławki są zajęte przez Czarnych. Jest dużo hoteli i restauracji traktowanych jako międzynarodowe, gdzie wstęp mają Biali i Czarni¹. Nawet na komputerach pracują już i Biali i Czarni.

1. Zaznaczę tu, że napis przy wejściu *Right of admission reserved* można znaleźć nie tylko nad drzwiami tych lokali. Podobne napisy są nad drzwiami lokali, do których uczęszczają tylko Biali.

Powie ktoś, że to wszystko mało i zacnie wyliczać przykłady trwania *apartheidu*, lub przykłady niesprawiedliwego, czasem brutalnego zachowania poszczególnych Białych. Tak, to się zdarza, ale myślę że coraz rzadziej, na co wpływa ogólnie życzliwa atmosfera stosunku Białych do Czarnych. Ale w przeciwnym kierunku to już wygląda inaczej, bo niewątpliwie istnieje tu grupa ludzi, zarówno Czarnych jak i Białych, którzy postawili sobie za zadanie podniecanie niechęci Czarnych do Białych i powodowanie zamieszek, kiedy tylko się da. Przykład tego mieliśmy niedawno. W nocy z niedzieli na poniedziałek uszkodzono bombą linię kolejową z Soweto do Johannesburga. Potrzebne to było sabotażystom, aby na parę godzin zatrzymać w Soweto pracowników, jadących co rano do Johannesburga. Tego właśnie ranka urządzono tam demonstrację uliczną, dla której trzeba było widzów, a jak się da, to i uczestników.

W latach sześćdziesiątych premier Hendrik Verwoerd zainicjował utworzenie dla Czarnych tzw. *homelands* (krajów rodzinnych), które jedno z angielskich pism nazwało „śmietnikami do wyrzucania nadliczbowych i zużytych Murzynów”. Czego to się nie powie, jak brzmi dowcipnie! *Homeland* to jest obszar, zamieszkały przez osiadłych tam Czarnych, tworzących jeden osobny naród, jak Tswana, Zulu, Xhosa i inni. Ci, którzy są w danym *homeland* urodzeni, są jego obywatelami. *Homeland*, który chce się sam rządzić, może uzyskać od rządu Południowej Afryki niepodległość, której jednak nikt mu nie narzuca, jeśli on sam jej nie chce. Sprawa *homelands* jest wciąż jeszcze rozważana (np. pod względem ogólnego obywatelstwa Płd. Afryki) zarówno statutowo jak i terytorialnie. Zarysy terytorialne *homelands* były ogłoszone, ale zmiany ciągle mają miejsce. Tak np. niepodległy *homeland* Transkei uzyskał włączenie doń miasta Port St. Johns, a niedawno niepodległy *homeland* Bophuta Tswana otrzymał miasto Mafeking, sławne na przełomie stulecia ze swej obrony przeciw Burom „for the Queen and Empire” przez twórcę skautingu Baden Powella. Cel tworzenia *homelands* jest zrozumiały. Chodzi o stworzenie warunków wolnego życia dla wszystkich mieszkańców kraju, ale przy zachowaniu tradycyjnych społecznych warunków kulturalnych poszczególnych grup ludności, skupionych obecnie na różnych obszarach Płd. Afryki. Poza niewątpliwymi różnicami sposobu życia różnych grup plemiennych ludności czarnej, które każda z tych grup chce zachować, chodzi oczywiście o uniknięcie przymusowego sprowadzenia ośrodków życia Białych do poziomu życia *kraaelu* murzyńskiego.

W ramach koncepcji *homelands* rząd Płd. Afryki usiłuje umożliwić Czarnym zorganizowanie się we własnych narodach i z po-

mocą finansową rządu i organizacji Białych stworzenie analogicznych własnych organizacji Czarnych.

Oprócz pomocy celem polepszenia warunków bytu oraz zatrudnienia wewnątrz *homelands* rząd Płd. Afryki stara się tworzyć na granicach *homelands* tzw. *border industries*, dając specjalne ulgi podatkowe fabrykom, które by otwierały się lub rozbudowywały w pobliżu *homelands*. Pamiętam, iż pracując w fabryce, która zamierzała otworzyć nowy dział produkcji, musiałem wypełniać szereg formularzy, podających rządowi dane, czy to jest możliwe czy nie, abyśmy się usadowili blisko *homeland*.

Oczywiście można by wprowadzić w Płd. Afryce jako całości zasadę *one man — one vote*, pozwolić Czarnym objąć wszystko co stworzyli Biali i w rezultacie doprowadzić wszystko do ruiny. Przecież taki naturalny bieg rzeczy zaobserwował marksistowski prezydent Mozambiku Samora Machel, który niedawno wezwał do powrotu białych mieszkańców Mozambiku, którzy wyjechali do Portugalii po objęciu przezeń władzy, i ofiarował im zwrot ich przedsiębiorstw. Głośne są od dawna ekonomiczne kłopoty Zambii: wielu Białych wyjechało do innych krajów i Czarni objęli ich stanowiska. Gdy pracowałem w szwedzkiej firmie, która miała filię w Zambii, szwedzki inżynier, który stamtąd przyjechał powiedział mi ze złością: to są małpy i po małpiemu się rządzą. To był wyskok obraźliwy i niesprawiedliwy, ale Czarni tam nie mają doświadczenia i nic dziwnego, że sobie nie mogą dać rady z tym, co nie oni stworzyli. Żeby jednak przemysł funkcjonował, Zambia sprowadza kontraktowo specjalistów z Anglii. Nasz przyjaciel niedawno wstąpił do nas, wracając z paroletniego kontraktu w Zambii. Owszem, chwalił tamtejsze stosunki, ale sam był okazem bezsensowności polityki krajów, gdzie Czarni spowodowali odpływ Białych, którzy tam mieszkali stale, zarabiali pieniądze i wydawali je na miejscu. On popracował, zarobił pieniądze i zabrał je ze sobą za granicę!

Mugabe, rządzący dziś w Zimbabwie (dawniej Rodezji), bardzo zaprzyjaźniony z prezydentem Samora Machel wyciągnął zdaje się wnioski z jego doświadczeń i stara się zatrzymać w kraju ludność białą na jej dotychczasowej stopie życiowej. Ale już i tam są dążenia do odebrania im praw.

Homelands mają pozwolić Czarnym na rządzić się według reguły *one man — one vote* na terenie swojej grupy narodowej, bez prawa ingerencji danej grupy w warunki życia innej. Jak wyżej powiedziałem, stosunki między *homelands* a całością państwa Płd. Afryki są zagadnieniem nadal rozważanym. Konstytucja Płd. Afryki będzie musiała ulec zmianom. Jednym z kroków w tym kierunku jest ustanowienie *Presidents Council* i inne związane z tym projekty. Dążeniem premiera P. W. Botha jest

niewątpliwie znalezienie sposobu rozwiązania problemu wielorakowości kraju, dalszego podniesienia poziomu Czarnych i osiągnięcie równowagi społecznej. Wysiłek w tym kierunku nigdy jeszcze nie był tak zdeterminowany, ale też od iluż to lat wiadomo, jakie to jest trudne. W jaki sposób przekonać nieoświecone czarne masy o dobrej woli Białych? Wydawałoby się, że oświecając je w szkołach. Tak, ale wysiłki związane z rozwojem szkolnictwa są neutralizowane przez pochopną skłonność czarnej młodzieży do demonstrowania buntu. Mają miejsce strajki szkolne, prowadzące do rozruchów. I tak, zamiast zakorzeniać w Czarnych zrozumienie dla wartości wspólnego postępu, pozwala się wyrastać pokoleniu młodzieży zbuntowanej i rozgoryczonej.

Strajki te nie wydają się spontaniczne. Wyglądają raczej na planowo organizowane, bo nagle obejmują jednocześnie duże i odległe od siebie połacie kraju. Trudno przypuszczać, aby idea ich mogła powstać samoczynnie w umysłach młodzieży, nie mającej tradycji samodzielnego myślenia i żyjącej w środowisku dopiero co wynurzonym z prymitywu plemiennego. Ale niewątpliwie w tym właśnie środowisku panuje atmosfera przygnębienia, niezadowolenia i niechęci do Białych. I ta właśnie atmosfera powoduje, że czarni rodzice nie mogą, a może często nawet nie chcą kontrolować reakcji dzieci na wywrotowe hasła, lub ich odruchów powodowanych wydarzeniami dnia. Spójrzmy trzeźwo na fakty i pomyślmy, jak czuje się czarny człowiek, żyjący w pobliżu białych ośrodków. Jeśli mieszka np. w Soweto, to wraca z pracy koleją, stojąc w wielkim tłoku, bo linia kolejowa nie pozwala na przepuszczenie większej ilości pociągów. A druga linia dopiero jest w budowie. Ten Czarny widzi na sąsiednim torze pociąg jadący w przeciwnym kierunku, w którym niewielu jest stojących Białych. Przyjeżdża do Soweto. Ciemno na ulicach, elektryczności nie ma, tak samo jak i w domach. Ulice przeważnie nie asfaltowane. Po wodę trzeba chodzić do wspólnej studni. Posiłki gotuje się na węglowych piecach. Dym wszędzie zalega chmurą. Drzew mało. Parków nie ma, a po zjedzeniu nie ma co zrobić z wolnym czasem. W dodatku w wielu jednorodzinnych domkach mieszka już więcej niż jedna rodzina, dla której taki domek był planowany.

Smutne jest, że kiedy przed laty zbudowano domy Soweto, spoczęto na laurach i przez długi czas potem nie robiono nic.

Trzeba było dopiero rozruchów sprzed lat kilku, aby uprzytomnić wszystkim, że milionowe skupisko ludzi żyjących w ciemności, bez możliwości rozrywkowych i bez miejsc, gdzie można by się odprężyć, musi stać się siedliskiem rozgoryczenia i zbrodni, z którą jest prawie niemożliwe walczyć, nawet przy dobrej woli mieszkańców, a tej na razie nie ma, w dużej mierze ze stra-

chu przed elementami przestępczymi. Zajęto się wreszcie elektryfikacją Soweto, ale i to wymagało paruletnich zabiegów, aby doprowadzić do finansowego rozwiązania, które dopiero dziś się realizuje.

Mówiąc o bolączkach życia Czarnych, pamiętajmy, że ciągle istnieje ograniczenie swobody ich ruchów. Mogą oni przyjąć pracę tylko na tym terenie, gdzie są zarejestrowani. Mogą zmieniać pracę, ile razy chcą, ale jeśli się przeniosą na inny teren to pracy tam nie dostaną. Przepis ten jest tłumaczony potrzebą kontroli bezrobocia, które jest dziś bardzo nabrzmiałe wśród Czarnych, no i warunkami mieszkaniowymi. Niedawno slyszeliśmy w radio, że w Soweto znów brak 30.000 domów, a następnie podano wiadomość o zamierzonej czy już zaczętej budowie nowego wielkiego czarnego miasta na zachód od Pretorii, w okolicach Bronchospruit.

Jeszcze jedna dotkliwa bolączka obecnej nieskrystalizowanej sytuacji: sprawa przymusowego obywatelstwa *homelandu* ludzi, którzy się tam urodzili, ale nigdy tam nie mieszkali. Zdaje się, że w pewnych wypadkach tacy ludzie mogą być deportowani do swego *homelandu*, co jest nie do usprawiedliwienia.

Biorąc tę rzeczywistość pod uwagę, trudno się dziwić, że nie trzeba dużego wysiłku agitatorów, aby rozgoryczenie pod byle pretekstem przybierało gwałtowną formę i aby udział młodzieży w tym był olbrzymi.

Potrzebne są niewątpliwie natychmiastowe wielkie i efektywne posunięcia, aby przekonać Czarnych, że poważna decyzja zmiany jest wprowadzana w życie, i aby nie pozwolić aby elementy wrogie lub nieodpowiedzialne wykorzystywały atmosferę zmiany do przeprowadzenia swoich destrukcyjnych celów. Musi trwać stały nacisk na rząd, aby nie było przerw w postępie przebudowy, ale jeśli się on już zaczął i trwa, to nawoływanie do rozruchów, powodujących zniszczenie uzyskanych już środków (takich jak autobusy, budynki, szkoły, szpitale, domy) a nawet rozlew krwi, jest przestępstwem, hamowaniem postępu i marnotrawstwem. Bądź co bądź cokolwiek dziś Czarni otrzymują to idzie i musi iść coraz bardziej z uszczupleniem stanu posiadania Białych, których naturalną reakcją jest: „Oni nie cenią tego, co im daliśmy, odejmując sobie od ust; oni to marnują, to po co wysilać się na dobrą wolę wobec nich?”

Różnicę podejścia do sprawy widać w poglądach biskupa Czarnego Tutu z Hammanskraal i przywódcy Zulusów Gatcha Butheleri. Pierwszy widzi w wyobraźni krew dookoła i nie wy-daje się potępiac gwałtu. Drugi nie wierzy w gwałt i żąda pokojowej przebudowy. Podobne do niego poglądy mają przywódcy *homelands* już niepodległych. Butheleri jest może mniej ugodo-

wy od nich i odmawia przyjęcia niepodległości dla Kwa Zulu (którego zresztą jest premierem), dopóki sprawy sporne czy nieodomówione nie zostaną załatwione. Zarówno Butheleri jak i inni szefowie *homelands* są czarnymi nacjonalistami, ale są to ludzie, z którymi współpraca, przy dobrej woli rządu Płd. Afryki, może doprowadzić do równowagi rasowej i społecznej. To rząd musi zrozumieć, że tym ludziom trzeba pomóc, żeby czarne społeczeństwa miały zaufanie do rządu a nie do agitatorów organizacji wywrotowych. Dla wzmocnienia ich stanowisk jak i dla sukcesu powyższej współpracy potrzebna jest rzetelna pomoc dla *homelands*, finansowa i ekonomiczna. Finanse i specjaliści od eksploatacji bogactw naturalnych, sprzęt, traktory itp., oraz nawozy dla rolnictwa, pieniądze i inicjatywa do dalszego rozwoju komunikacji, transportu, handlu. I tutaj odmowa państw świata i ONZ uznania *homelands* jest bardzo szkodliwa. Pomoc udzielana tym, którzy chcą przeprowadzać zmiany gwałtem, a odmawianie jej tym, którzy dążą do zmian na drodze pokojowej, jest jednym z przykładów dwulicowości i pomieszania pojęć. Właśnie tutaj byłaby pewność, że ofiarowana pomoc nie zniknie w łapach grupy rządzących, jak to ma miejsce w wielu czarnych państwach Afryki. ONZ nie chce tego zrozumieć. Nie łatwo jest pozyskać zaufanie Czarnych, za to hasła agitatorów łatwo do nich trafiają. Przykład tego miałem szereg lat temu w tutejszej fabryce, w której zdecydowano dożywiać Czarnych, dając im kilka razy dziennie gorącą strawę, zwłaszcza rano. Zaczęto im dawać tzw. *mixture M*, wysoko witaminowy, gęsty napój. Jako dodatkowy posiłek było trzy razy dziennie po pół litra tzw. *Amahevn*; jest to fermentujący rodzaj piwa, które Czarni bardzo lubią i całymi kartonami kupują sobie w kawiarenkach. Urządzenia do robienia *Amahevn* były kosztowne (kilkaset funtów), ale zainstalowano je i zaczęto wydawać strawę Czarnym (bezpłatnie). No i ktoś puścił pogłoskę, że w tych posiłkach jest jakaś domieszka zmniejszająca potencję płciową. Czarni odmówili jedzenia. Wobec tego załatwiliśmy zwrot urządzeń *Amahevn* do firmy, która je dostarczyła, a kontynuowaliśmy tylko wydawnictwo gorącej *mixture M* trzy razy dziennie (to nie wymagało kosztownych urządzeń). Trzeba było pięciu lat namów i stopniowych prób, aby skłonić Czarnych do jedzenia przynajmniej tego posiłku. Dziś jedzą to wszędzie. Jak pisałem, dąży się coraz powszechniej do tego, żeby Murzyni rządząli się sami i to lepiej niż w innych państwach czarnych. Ale dopiero dziś wzywa się do utworzenia specjalnego technikum do szkolenia Czarnych w administracji rządowej i miejskiej. Również dopiero teraz zorientowano się, że jest i będzie za mało Czarnych rzemieślników-specjalistów. Otwiera się dla nich specjalne szkoły, a fabryki

są zachęcane przy pomocy specjalnych bonusów do przyjmowania czarnych terminatorów, obok już szkolonych białych.

Spójrzmy teraz na tych, co drogą gwałtu chcą dojść do władzy. Z Białych są tam komuniści, ale są też i idealisci, którzy uważają, że rząd nic nie robi, albo że wszystko jest zasłoną, za którą tylko udaje się, że się coś robi. Jest też Afrydymną, za którą tylko udaje się, że się coś robi. Jest też Afrykański Kongres Narodowy A.N.C., organizacja murzyńska, nielegalna od 1960 roku, od czasu krwawych rozruchów. Żąda ona równego prawa głosu dla wszystkich na terenie Płd. Afryki jako całości. Przy kilkakrotnej przewadze ludności nie-białej dałoby to jej przeważający głos w decyzjach państwowych. Patrząc na historię demokracji w innych czarnych państwach Afryki widzimy, że upragnione demokratyczne rządy większości prawie nigdy nie są demokratyczne. Czarni nalegają na całkowitą afrykanizację aparatu rządzącego, nie uznają żadnej demokratycznej wielorasowości w rządach i koncentrują się na nagiej walce o czarną dominację.

Wielu powie: no tak, ale to przecież ich prawo, to ich kraj! Wielu, ale nie Południowi Afrykańczycy! Oni wyjaśnią, że historycznie rzecz biorąc około roku 1650 (data pierwszych osiedli holenderskich w Cape) plemiona murzyńskie (Bantu) wędrujące z okolic wielkich jezior Afryki Centralnej właśnie zaczęły wchodzić w północne granice obecnej Płd. Afryki, posuwając się na południe. Jednocześnie biali osadnicy posuwali się na północ od Cape. Posuwali się po pustym terenie. Pierwotni bardzo nieliczni mieszkańcy to byli Buszmeni o organizacji jedynej rodzinnej. Oni wycofali się w pustynię Kalahari, gdzie ich rodziny można jeszcze dziś spotkać. Równie nieliczni Hotentoci w większości wyginęli w dwóch epidemiach ospy.

Można powiedzieć, że z dwu stron dzisiejszej Afryki Południowej osadnicy biali i czarni wkraczali równocześnie, przy czym plemiona Venda (obecnie niepodległy *homeland* Venda) osiedliły się tu dopiero około roku 1700, a plemiona Shangaan przybyły z Mozambiku dopiero ok. 150 lat temu. Wędrowki Czarnych odbywały się w ciągłych walkach poszczególnych plemion ze sobą i trwały prawie do końca XIX wieku. Dziś widzimy gęsto osiedlonych Czarnych wzdłuż granic Botswany (poprzez którą weszli na te obszary), wzdłuż Zimbabwe, no i w Natalu od północy, aż do Transkei i Ciskei. Są to ziemie obecnych *homelands*. Na innych terenach Płd. Afryki Czarnych jest mało, poza skupiskami przy wielkich białych miastach, dokąd Czarni przyszli, opuszczając swe miejsca osiedlenia dla pracy i lepszych zarobków.

W świetle powyższego historycznego i terenowego położenia słuszny wydaje się pogląd, że jeśli Czarnym należy się samostano-

wienie, to tylko na ich terenach, tam, gdzie się osiedlili. A w takim razie równe prawo mają Biali do swojej własnej, dawno ustanowionej państwowości na terenach gdzie się osiedlili i zorganizowali. Chcą oni być wolni od obawy czarnej dominacji i mają do tego prawo.

Czarne państwa kontynentu afrykańskiego uznają Białych jako pełnoprawnych (nie kolonialnych) mieszkańców Afryki; Afrykanerzy zasłużyli na to prawo. Różnią się z rządem Płd. Afryki jedynie w sprawie *apartheid* — *separate development*, który im ubliża, no i w sprawie *one man — one vote*, czyli kto panuje w kraju.

Czyli że znów wracamy do sprawy *homelands*, które mają dać Czarnym całkowite samostanowienie w ich granicach terenowych, przy zachowaniu samostanowienia Białych na ich terenach.

Idea *homelands* wydaje się zatem rozwiązaniem słusznym, ale po dalszym przetrwaniu go terenowym, ekonomicznym, finansowym i konstytucyjnym wewnątrz Republiki Południowo-Afrykańskiej. No i sprawa *apartheidu* musi być zneutralizowana. Trzeba tu przyznać, że to „ale” jest jednak wielkim problemem. Sądzę, że rząd P. W. Botha ma jak najlepsze intencje w tym względzie, ale liczy się z opozycją w łonie własnej partii nacjonalistów. Jak się przedstawia podział opinii w Afryce Płd.? 60 % Białych to Afrykanerzy. W wyborach do parlamentu nie wszyscy głosują według linii *apartheidu*. Także pozostałe 40 % w pewnych okolicznościach głosuje na listy afrykanerskie.

W 1939 roku według ideologii zatwardziałego nacjonalisty dr. Malana (późniejszego twórcy *apartheidu*) i ówczesnego premiera gen. Hertzoga głosowało 67 posłów. Za gen. Smutsem, czyli za wzięciem udziału w drugiej wojnie światowej wypowiedziało się 80 posłów. Ten rozłam głosów nacjonalistycznych był zaskoczeniem. Podobnym zaskoczeniem był odwrotny wynik głosowania po wojnie, kiedy w 1948 roku zwolennicy Malana zwyciężyli Smutsa 79 głosami do 74. Trudno przewidzieć, jaki byłby wynik ewentualnego referendum w sprawie nowego spojrzenia na *apartheid*, gdyby rząd chciał kiedyś je urządzić.

Reasumując myślę, że nie potrzebuję podkreślać, iż celem mego artykułu nie jest usprawiedliwianie czy obrona niesprawiedliwości wynikających z systemu *apartheidu*, ale jedynie zwrócenie z całym naciskiem uwagi na postępującą zmianę. Ilustrują ją np. głos przedstawiciela policji, który w dzienniku *Star* z dnia 1 października 1980 zaznacza, że policja nigdy z własnej inicjatywy nie występuje z wymuszaniem praw (krzywdzących niebiałych obywateli). Że zawsze czyni to dopiero wtedy, gdy ktoś z publiczności zadenuncjuje do policji przekroczenie prawa. Wte-

dy to — jak pisze kolorowa pani H. Le Marque w *Southern Cross* z 5 października 1980 — policjant jest zmuszony „z zaczerwienioną twarzą” i z wyraźnym wstydem domagać się przestrzeżenia prawa. Że rząd widzi te tragiczne sytuacje, dowodzi niedawne oświadczenie premiera P. W. Botha, że w ciągu najbliższego roku około 800 przestarzałych i zbędnych praw zostanie unieważnionych.

Problemy jakie stoją przed rządem są olbrzymie. Poza rozwinięciem *homelands* musi on włączyć do organizacji państwowej czarne osiedla wzrosłe z dala od *homelands* w pobliżu białych miast. Musi również załatwić sprawę tzw. grupy kolorowych, którzy są mieszańcami różnych ras. W roku 1956 usunięto ich z białych list wyborczych i ta ówczesna decyzja oczekuje na ponowne rozważne rozpatrzenie.

Musimy mieć ufność w Bogu, którego opiece za pośrednictwem Matki Bożej została niedawno poświęcona Płd. Afryka. Musimy wierzyć w zdrowy rozsądek Białych i ich patriotyzm. Musimy ufać w zrozumienie własnego interesu i prawdziwego dobra kraju, w którym mieszkają, przywódców mas ludności innych kolorów.

Na zakończenie parę myśli bardziej osobistych. Nigdy nie planowałem osiedlić się w Płd. Afryce. Prawdą jest jednak, że Płd. Afryka często w mym życiu była w mych myślach. Dawno temu byłem oczarowany Burami z wojny anglo-burskiej w książce angielskiego autora Mayne Reida „Jeździec bez głowy”, którą czytałem jako dziecko. Później zobaczenie filmu podróżniczego o Płd. Afryce utwierdziło mnie ostatecznie w zamiarze wstąpienia do marynarki, co się jednak nie ziściło. Gdy w 1940 roku starałem się wydostać z Hiszpanii do Anglii, to pamiętam, że się zastrzegałem, aby przypadkiem nie wysłano mnie do Płd. Afryki „na przechowanie”. Kiedy w końcu 1947 roku przeczytaliśmy zgodę rządu Płd. Afryki na „Permanent Residence in South Africa”, stały pobyt mej rodziny w Południowej Afryce, żona moja powitała to łzami, bynajmniej nie radości. Bo chociaż wiedzieliśmy, że do Polski, sprzedanej przez naszych aliantów Sowietaom, wracać nie chcemy, to jednak fakt ostatecznego na dłuższy czas oderwania się od kraju rodzinnego był ciężkim przeżyciem.

I zupełnie niespodziewanie okazało się, że było to 32 lata temu! A Polski wolnej ciągle nie widać! I wnuki już zaczynają dorastać!

Zygmunt K. DĄBROWSKI

Książki

Ile skrytek?

Przedostatnia powieść Romanowiczowej („Sono felice”) była otwarciem nowego rozdziału jej twórczości zaczynającej się odrywać od tła okupacyjno-obozowego. „Skrytki”^{*} są dalszym śmiałym przetrzuciem do problemów *de la condition humaine*, jednakowo bolesnych nad Wisłą czy Sekwaną. Para małżeńska, której tragedia jest osią powieści nie otrzymała od autorki ani imion, ani nazwisk, biografia jej rozpoczyna się, gdy dwudziestoparoletni obejmują w posiadanie pierwsze paryskie *locum* — robaczywą „skrytkę” — pokoiak sublokatorski z widokiem na Palais Royal. Dla czytelników polskich pewną poszlaką ich pochodzenia jest zaopatrywanie się w specjały „orientalne”, tak znamienne dla naszych upodobań gastronomicznych, jak chałwa, chleb z kminkiem czy serniki.

„Skrytek” w potocznym znaczeniu tego słowa jest w powieści wiele. W mieszkaniu przy ul. Debelleye, w toku odnawiania głównego pokoju po zdarciu kilku warstw tapet wyłoniła się skrytka a w niej rozsypujący się w pył bukiet ślubny Madame Durand, skarb zapomniany czy zdewaluowany? Z nieco sensacyjnie ujętej warstwy powieści wyłoni się w tymże mieszkaniu jeszcze jedna skrytka, gorliwie poszukiwana przez młodego brodacza, także zapewne Duranda, odnaleziona i opróżniona pod nieobecność bohaterów powieści. Zawartość jej nie ma znaczenia — liczy się tylko intensywność i upór poszukiwania. Jest jeszcze, nawiasem wspomniana, *cachette* w Mas Soubeyran nad Gardonem, w osobliwym Musée du „Desert” w domu Rolanda. Ukrywać się w niej mieli protestanci prześladowani po odwołaniu edyktu nantejskiego i przywódcy kamisardów Roland i Cavalier. Są wreszcie potężne skrzynie, które służyły krzyżowcom, zależ-

nie od potrzeby i sytuacji, jako walizy, skład łupów — albo trumny.

Ponad znaczenia dosłowne wybijają się jednak zdecydowanie tajemnice ludzkich biografii. Powieść jest nimi niemal przeładowana. Przytwórzyc wypadła Terleckiemu, który dostrzegł w Romanowiczowej „najbardziej lakoniczną powieściopisarską”. Na niespełna dwustu stronach pomieścić zdołała niemal encyklopedię ludzkich cierpień, z gatunku tych norwidowskich *niewidzialnych* kajdan, przesiąkniętych najbardziej krwią i łzami. W zacisku takich udręczeń znaleźli się rodzice Małego, niespełna trzyletniego synka jedynaka, porażonego nieuleczalną chorobą, oligofrenika, niezdolnego do samodzielnej egzystencji, wymagającego stałej opieki. Akcja powieści obraca się dokoła problemów gnębiących rodziców a zwłaszcza matkę, która przesadziła w aplikowaniu Małemu szczipionek ochronnych. Jedną z nich, niewłaściwie zastosowana spełniła rolę „dzikiego zwierza” z „Fatum” Norwida; wyrok specjalistów był jednoznaczny — Mały miał przed sobą dożywotnią egzystencję idioty, sztucznie powstrzymanego od ataków szału. Romanowiczowa pokazuje z niezwykłym umiarem odmieniony nieszczęściem tok życia rodziców, obracających urzędnicze zarobki na opłacanie pobytu Małego u niejakej Madame Konik, prowadzącej pod Paryżem swego rodzaju przedsiębiorstwo opieki nad nieuleczalnie chorymi dziećmi. Rytm życia nieszczęsnej pary wyznaczany jest comiesięcznymi wizytami u syna, z którym nie mogą nawiązać kontaktu i który jest w całkowitym władaniu wywiązującej się jako tako ze swych obowiązków opiekunki. Można by podjąć dyskusję, czy było to rozwiązanie najwłaściwsze i jedyne i czy mają sens plany zabrania go, już prawie dorosłego, do wiejskiego domu, po przejściu rodziców na emeryturę. Ważne jest to, że Romanowiczowa pewną ręką kreśli obraz zmagania dwojga nieszczęśników z Losem, nie wahając się przed buntem przeciw wyrokom nie mieszczącym się w pojęciu Opatrzności. „Można być wierzącym, a jednak stawiać sobie pytania, które wyglądają na heretyckie” — głosi motto powieści. Sprawa Małego tkwi ostrym cierniem w mózgach pary, która powołała go do życia. Myślą o niej niejako równoległe, ograniczając do minimum rozmowy i rozpamiętywanie „co by gdyby”. Odeszli od dawnych znajomych, wegetują w mieszkaniu z opustoszałym pokojem dzieciennym, kryjąc przed otoczeniem sekret swej udreki.

Corocznym wyłomem z beznadziejnej rutyny są wyjazdy urlopowe do tej samej fermy a raczej „domu za skałą” w okolicy Alès w Sewenach. Ale i tu pod pozorem życia gładkiego, jak powierzchnia okrągłych jezior — *lavognes*, kryły się szpony nieszczęścia. I znów można by dyskutować, czy błaha sprawa podejrzeń o dolewanie wody do mleka usprawiedliwia depresję Jana i ucieczkę od życia. Właściciele domu, Jan i Maria, potomkowie protestanckich kamisardów, nakreśleni są niezmiernie plastycznie. Czuje się zapach przekładanej ziołami bielizny i słyszy dmącego w muszlę Jana wzywającego letników na posiłki na

^{*} Zofia Romanowiczowa, *Skrytki*. Paryż 1980, Instytut Literacki, str. 194, „Biblioteka Kultury”, tom 322.

oświetłej winogradem werandzie. Przejście od atmosfery wakacyjnego wypoczynku do samobójstwa Jana i perspektywy poważnej operacji Marii jest niezwykle dramatyczne — i dobrze przez autorkę wyreżyserowane. Już to nie szczędziła trudu (i przepisywania kilku wersji powieści), by dojść do ogłoszonego drukiem tekstu. Ta niedzisiejsza staranność o zwięzłość i dokładność przekazywanych informacji budzi podziw i zazdrość! Tak często mamy do czynienia z podanym do druku surowcem powieściowym wołającym o interwencję życzliwego krytyka.

Finał „Skrytek” jest jakby echem tragedii klasycznych — przekleństwa losu zawężlają się i podsumowują. Kończy się możliwość letnich wypadów w Seweny, pod znakiem zapytania staje kontynuacja opieki nad chłopcem w domu Konikowej, powracających do Paryża wita nieład w mieszkaniu splądrowanym przez poszukiwacza skrytki. Lata życia w stałym nerwowym napięciu kończą się wybuchem wzajemnych pretensji i otwarciem starannie ukrywanych „skrytek”. Podobnym zdemaskowaniem prawdy o sobie kończy się „Sono felice”. Tu jednak Romanowiczowa widzi możliwość pojednania zwaśnionej pary dla dobra Małego, z poczucia obowiązku, niemożności rozpoczęcia życia na nowo. Ten *pozorny happy-end* jest logiczną konsekwencją bardzo skomplikowanej opowieści.

Jak zwykle w powieściach Romanowiczowej na pierwszy plan wysuwają się postacie kobiece. Zwłaszcza Maria z fermi w Sewenach. Ciekawym *novum* jest potraktowanie głównych bohaterów jako pary tak ze sobą żyjącej, że przemawiającej jednym głosem, dochodzącej do tych samych wniosków i decyzji. Odchylenia od tej swoistej rutyny mszczą się natychmiast, jak wykazuje dobitnie pochopne wpuszczenie do paryskiego mieszkania wnuka Duranda. O mężu wiemy właściwie bardzo mało. Wyraźniej rysuje się drugoplanowy majster-klepek i rybak, Konik, umierający przedwcześnie i „nie w porę”. W nakreślenie postaci Jana z „domu za skałą” włożyła Romanowiczowa cały swój sentyment i znanstwo południa Francji, odciętego od skomercjalizowanej Riwiery pasmem dekoracji górskiej, skał imitujących architekturę i domostw z pozrywanych dachami zrastających się w jedno z dotkniętymi zarazą kasztanowcami. Jan i Maria są częściami krajobrazu i bez ryzyka omyłki przypuścić można, że po ich odejściu spadkobiercy zerwą dach z „domu za skałą”, aby uzyskać ulgi podatkowe.

Trzy wątki powieściowe: wydarzeń w mieszkaniu paryskim, sprawy Małego i tragedii na fermie w Sewenach przeplatają się ze sobą umiejętnie, wywołując zainteresowanie „Co dalej?”. Przy powtórnym czytaniu rysuje się jaśniej zręczne rozmieszczenie detali, nabierających znaczenia w dalszym toku powieści. Przyjemnie spotkać się z tak dobrym warsztatem pisarskim. W dorobku Romanowiczowej jest to niewątpliwie krok naprzód.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Antycznym i życiowym szlakiem

Profesora Ignacego Wieniewskiego poznałem w specyficznych okolicznościach dwadzieścia lat temu. Obydwaj wystąpiliśmy na wieczorze laureatów Związku Pisarzy. On został wyróżniony za przekład *Iliady* i wokół niego została obudowana cała impreza, ja za tom wojennych wspomnień *Dramat i Opatrzność*.

Wtedy po raz pierwszy słyszałem jak przemawiał; choć nie jest mówcą, który stara się trafić do uczuć i emocji słuchaczy, widziałem wyraźnie, że sam był wzruszony. Tak musiało być, bo Wieniewski mówił o antyku, a antyk od najmłodszych lat jest jego namiętnością, pasją i bazą intelektualnych przeżyć.

Taki stosunek do tematu prowadzi przeważnie do dużej jednostronności, ale Wieniewski potrafił się przed tym obronić. Jego świat starożytnej Grecji i Rzymu, choć tak mu serdecznie bliski, to nie wyimaginowana wizja idealnego społeczeństwa i najwyższych kulturalnych i artystycznych wzlotów. Jest faktem, że starożytni twórcy, zwłaszcza Grecy, mieli wielkie poczucie piękna, proporcji i harmonii, ale jednocześnie ich sztuka pełna była okropności, które musiały być wzorowane na trudnym i ciężkim a często nawet okrutnym życiu. Świat idzie naprzód, wszystko się zmienia, ale ludzie są zawsze tacy sami. Kłamstwo, podłość i zbrodnia idą tuż obok świętości, ofiary i bohaterstwa; najwyższe osiągnięcia artystyczne mieszają się z pozą, zarozumiałstwem i miernotą.

Wieniewski przyjął na siebie trud przybliżenia do nas starożytności i udowodnienia jak wielki wpływ ma ona na nasze obecne życie, choć dzieli nas okres kilku tysięcy lat. Od pół wieku w licznych książkach, artykułach, rozprawach i esejach przekazuje nam rezultaty swych studiów i badań oraz dzieli się wrażeniami z podróży do Grecji i Italii, krajów tak bardzo mu bliskich, że można je nazwać jego artystyczną ojczyzną.

Profesor jest filologiem, ale przede wszystkim pisarzem i dlatego jego główne zainteresowania kierują się ku literaturze klasycznej i jej wpływom na piśmiennictwo zachodniego świata, a więc także i na polskie pisarskie osiągnięcia. Trudno w krótkiej recenzji zagłębić się w ten temat, można tylko rzucić kilka nazwisk: Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Sienkiewicz, Ujejski, Wyspiański, Wierzyński.

Wszyscy oni, choć tak bardzo polscy i tak zaabsorbowani problemami swego narodu, byli mocno związani ze znanymi im doskonale elementami starożytnej literatury klasycznej. Znaczący przedmiot odkrywali te wpływy i zwracali na nie uwagę, ale nie zawsze w formie dostępnej dla szerszego ogółu czytelników. Czyni to od wielu lat Wieniewski, a jego kryształowa i piękna polszczyzna zachęca do czytania i w łatwej formie pozwala na przyswojenie sobie prawd i pojęć, które pozwalają na lepsze zrozumienie naszej własnej literatury.

W poważnym dorobku pisarskim Wieniewskiego najważniejszą, niezniszczalną pozycję zajmują przekłady: przede wszystkim *Iliada* Homera i *Eneida* Wergiliusza. Tak się złożyło, że w roku 1961, gdy ukazał się przekład *Iliady* i gdy otrzymał nagrodę, Wieniewski po raz pierwszy w życiu pojechał do Grecji. W samolocie różne opadły go myśli. Czuł wzrastające podniecenie, bo przecież za kilka godzin miał zostać skonfrontowany ze światem, o którym mógł dotychczas tylko marzyć. Jednocześnie budziła się obawa: czy świat ten wytrzyma próbę porównania z obrazem wymalowanym przez wyobraźnię? Pierwsze wrażenia były rozmaite, bo starożytne Ateny dzieli od dzisiejszej stolicy Grecji wiele wieków, ale schyłek dnia zarysował się inaczej.

„Wieczorem, po podróży, idę do hotelu do swego pokoju i otwieram szeroko okiennice, zamknięte w czasie dziennego skwaru. Olsnienie! Naprzeciwko, wysoko pod czarnym wygwieżdżonym niebem wznosi się, jak zjawisko nie z tego świata, jak jasny mit starogrecki — iluminowany Akropol. Promienieje niewysłowionym pięknem i potęgą, wzrusza symboliką żywej obecności i trwałości geniuszu hellenckiego”.

Wtedy Wieniewski przekonał się ostatecznie, że wybór jego życiowej drogi był słuszny i że lata, które poświęcił na studia i przekłady warte były tego wysiłku. Tak samo ocenili jego pracę znawcy i krytycy, którzy uznali przekłady *Iliady* i *Eneidy* za najlepsze w polskim języku, wierne w formie i treści oraz w wyrazie artystycznym. Miarą tej oceny jest fakt, że drugie wydanie *Eneidy* ukazało się w Krakowie w roku 1978, a drugie wydanie *Iliady*, także krajowe, jest w przygotowaniu. Wiele następnych polskich pokoleń, zainteresowanych starożytnością, będzie z nich korzystać.

Pisma wybrane Wieniewskiego, które próbuję tu omówić, nie mogły niestety objąć przekładów, bo format książki, z uwagi na duży koszt druku, jest skromny. Znalazły się w niej eseje „Z dziedzictwa antycznego”, które nasunęły mi powyższe uwagi; wspomnienia i refleksje z podróży po Grecji i Italii, także materiały do mych rozważań, oraz wypadki do Francji i na Malte; wspomnienia z własnego życia i dwa omówienia książek, które są tematycznie związane ze starożytnością.

Czytając autora, którego pisarstwo do nas przemawia i którego się lubi, zawsze odczuwa się chęć poznania go osobiście i dowiedzenia się czegoś o jego życiu. Profesora Wieniewskiego znam dobrze, bo od pierwszego spotkania nawiązała się pomiędzy nami nić sympatii, która przemieniła się w przyjaźń i współpracę, ale o jego długim życiu wiedziałem mało. Dlatego z dużym zainteresowaniem przeczytałem tę część *Pism wybranych*, która dotyczy jego życiowej wędrówki.

Tak miły człowiek mógł się urodzić tylko we Lwowie (ewentualnie w Kijowie lub w Wilnie), więc profesor nie zrobił nam pod tym względem zawodu. Nic dziwnego, że wspomnienia otwiera „Lwowski fotoplastikon”, w którym przed oczami niemłodego już człowieka przewijają się lata dziecinne a później szkolne, w czasie których obudziła się i utrwaliła jego wielka miłość do kultury klasycznej. Pierwsza wojna światowa zastała Wieniewskiego w Paryżu, gdzie studiował na Sorbonie, więc zaciągnął się do armii gen. Hallera. Niech mi profesor wybaczy tę niewinną uwagę: trudno mi go sobie wyobrazić jako żołnierza. No ale to było ponad 60 lat temu. Z tą armią znalazł się w roku 1919 w Polsce i natychmiast, korzystając z „polskiej przepustki”, pojechał do Lwowa. Chodził po mieście, jak sam pisze, „otumaniony radością”. Dziś ten obraz wygląda inaczej. „Przed moimi oczami, zapatrzonymi w fotoplastikon wspomnień, obrazy napływają i odpływają. Ręka matczyna nie dotknęła mego ramienia, by mnie zaprowadzić do domu. Matka śpi na dalekim lwowskim cmentarzu, na którym spoczywa słoneczna przeszłość pod ołowianym niebem teraźniejszości”.

Są tam i inne wspomnienia, jest sylwetka profesora Zielińskiego, jest rola tłumacza przy majorze de Gaulle, gdy był z misją francuską w Polsce, jest fragment dotyczący ubiegłej wojny, gdy profesor po upadku Francji znalazł się w Wielkiej Brytanii. „Wtajemniczenie mickiewiczowskie” to także fragmenty z życia profesora, związane z twórczością wielkiego poety.

W październiku ubiegłego roku Związek Pisarzy urządził w Londynie wieczór, który poświęciliśmy pięćdziesięcioleciu pisarskiej pracy profesora. Znosiło się na to, że będziemy go żegnać, że nastąpi podsumowanie jego osiągnięć, które już dobiegają kresu.

Gdzie tam. Profesor czekał cierpliwie, aż mówcy i recytatorzy wypełnią swą powinność, a później sam zabrał głos i zadziwił wszystkich planami na przyszłość. W kraju ma iść do druku drugie wydanie przekładu *Iliady*, w Kanadzie tłumaczą na angielski jego książkę, *Podstawy kultury polskiej*, tu, w Londynie Profesor pracuje już nad nową książką. Na podsumowanie całego życia jest jeszcze grubo za wcześnie.

Żeby jeszcze tylko udało się wrócić do Lwowa.

Józef GARLIŃSKI

Hommage to Chopin i Polonia A. Panufnika

Jak dotychczas Polska nie odegrała żadnej roli w historii baletu. Głównym powodem tego był brak niezależnego państwa w czasie kiedy balet został uznany za sztukę na równi z operą i teatrem, tzn. w ciągu XIX wieku. Talentów nie brakowało ale zostały one całkowicie pochłonięte przez rosyjski cesarski balet a później przez tzw. Ballets Russes Diagilewa.

I tak mało kto wie, że sławny Wacław Niżyński był Polakiem urodzonym w Kijowie, tak jak jego siostra Bronisława Niżyńska, jeden z największych choreografów w pierwszej połowie ub. wieku. Szereg jej baletów, stworzonych głównie dla Diagilewa, wchodzi dziś w skład repertuaru wszystkich ważniejszych kompanii na świecie. Np. „Les Noces” z muzyką Strawińskiego (który nawiasem mówiąc był z pochodzenia Polakiem, ale po rewolucji rosyjskiej władze polskie odmówiły mu obywatelstwa polskiego, opierając się na rozporządzeniu według którego nie nadawano obywatelstwa polskiego osobom pochodzenia rosyjskiego). W 1937 roku Bronisława Niżyńska założyła niezależną kompanię „Balet Polski”, której występy, m.in. podczas międzynarodowej wystawy w Paryżu, spotkały się z dużym uznaniem.

Tzw. Kschessinskaya, naprawdę Matylda Krzesińska, córka Feliksa Krzesińskiego, znanego polskiego baletmistrza, najświetniejsza balerina carskiego baletu, której pałac był jednym z centrów życia towarzyskiego w Petersburgu, była Polką, mówiła po polsku, a po rewolucji mieszkała przez jakiś czas we Lwowie (przed wyjazdem do Francji).

W pamiętnikach osób związanych z baletem Diagilewa można znaleźć szereg wzmianek o polskich balerinach, wchodzących w skład tzw. *Corps de Ballet*. Można tu dodać również nazwiska Idzikowskiego i Woidzikowskiego, którzy zastąpili Massine i Niżyńskiego w Ballets Diaghilew.



Ostatnio na firmamencie sztuki choreograficznej pojawiło się nazwisko Andrzeja Panufnika. Jak wiadomo Panufnik wyjechał z Polski w 1954 roku i od tego czasu kontynuuje swą pracę w Zachodniej Europie. Jego kompozycje stają coraz bardziej znane i zwróciły uwagę choreografów. Pierwszy balet do jego muzyki został wystawiony przez Gerald Arpino w City Centre Ballet w Nowym Jorku, w 1967 roku. Bezpośrednio po tym Kenneth MacMillan, główny choreograf Covent Garden Royal Ballet, za-

proponował Panufnikowi napisanie choreografii do jego muzyki i w ten sposób powstał „Cain and Abel” wystawiony dla Deutsche Oper w Berlinie w 1968 roku i „Miss Julie” dla Stuttgart Ballet w 1970 roku, a nieco później „Autumn Music” z choreografią Dawida Drew, napisany dla BBC TV w 1974 roku.

W rezultacie jeden z największych choreografów w Europie, J. Cranko, dyr. baletu w Stuttgarcie, zaproponował Panufnikowi napisanie muzyki do nowego utworu, który miał zamiar zrealizować w oparciu o jedną ze sztuk Szekspira. Niestety Cranko nagle zmarł i projekt nie doczekał się realizacji.

Z początkiem 1980 roku Sadlers' Wells Royal Ballet wprowadził do repertuaru nowy balet pt. „Hommage à Chopin” z muzyką Andrzeja Panufnika i choreografią D. Bintley. Bezpośrednio po tym w Royal Ballet Covent Garden odbyła się premiera nowego baletu A. Panufnika i D. Bintley pt. „Adieu” z Merle Park, prawdopodobnie najlepszą baleriną w zachodniej Europie w roli głównej. Wreszcie 9 grudnia br. Sadlers' Wells R.B. wznowił „Hommage à Chopin” dodając do tego nową produkcję, tych samych autorów, „Polonia”.

„Hommage à Chopin” Panufnik napisał w stulecie śmierci Chopina, w 1949 roku, na prośbę UNESCO. Kompozycja sięga do źródeł inspiracji Chopina, do melodii ludowych Mazowsza. W tym samym stopniu jak muzyka jest „Hommage à Chopin”, choreografia jest *hommage à* „Les Sylphides”, znanego arcydzieła Fokina napisanego w 1909 roku dla Baletu Diagilewa do transkrypcji muzyki Chopina. Jeden mężczyzna w białych trykotach i sześć balerinek w białych sukniach, przyćmione światło, ta sama neoromantyczna atmosfera pełna liryzmu i urozmaicona rodzajem flirtu pomiędzy poszczególnymi protagonistami. Tak jak „Les Sylphides”, balet pozbawiony jest akcji i zawiera dużo elementów baletu klasycznego, znakomicie wykonany przez Davida Aschmole i grupę kobiet z Nicola Katrak i Jennifer Mills na czele.

Bezpośrednio po „Hommage à Chopin” następuje „Polonia” tworząc z nią jedną całość. Andrzej Panufnik słusznie zauważył, że dotychczas nie było *suite* polskich tańców ludowych i w ten sposób w 1959 roku powstała „Polonia” (na zamówienie BBC). Stanowi ona silny kontrast z „Hommage à Chopin”. Ten ostatni jest napisany na małą orkiestrę smyczkową i flet i utrzymany w stylu romantycznym. „Polonia” wymaga znacznie większej orkiestry, zawierającej szereg instrumentów perkusyjnych. Składa się z 5 części: Marsz Jaworzyński, Mazurek, Krakowiak, Pieśń Wisły i Oberek. Całość podkreśla żywotność i dynamizm narodu polskiego. Trzy części są wykonane przez zespół mężczyzn z dużym animuszem i żywotnością. Pomiędzy nimi dwa tańce liryczne oddające naiwną i szczerą poezję sztuki ludowej. Pełna uroku i subtelności Jennifer Mills na czele znakomitego zespołu. Dawno już nie widziałem Sadlers' Wells R.B. w tak dobrej formie.

Jak już poprzednio zazaczyłem, premiera ta ma z polskiego punktu widzenia duże znaczenie. Obydwa balety Panufnika zostaną na pewno przez dłuższy czas w repertuarze Royal Ballet i będzie to pierwszy wypadek zajęcia przez polskiego żyjącego kompozytora poważnej pozycji w dziedzinie sztuki, w której Polacy byli jak dotychczas obcy.

W związku z tym należy wspomnieć o „Adieu”, balecie tańczonym do koncertu skrzypcowego Panufnika z choreografią D. Bintley, zainspirowaną przeżyciami kompozytora w powojennej Polsce i niemożnością prowadzenia twórczej pracy w atmosferze opresji, stworzonej przez ustrój komunistyczny i wypływającą stąd decyzją osiedlenia się na stałe w Wielkiej Brytanii. Balet pełen jest tragicznych gestów w stylu Tetley i zawiera *Pas de Deux* tańczone przez Merle Park i Davida Walla oraz finale — *Vivace* — wyzwolenie spod opresji. Miał on wielkie powodzenie i powinien znaleźć się w repertuarze Covent Garden.

David Bintley jest jednym z najmłodszych (ma zaledwie 22 lata, a napisał już siedem baletów) i niewątpliwie najbardziej utalentowanych młodych choreografów. Jego współpraca z Panufnikiem dała jak dotychczas jak najlepsze rezultaty. Dlaczego wybrał on muzykę Panufnika? W wywiadzie udzielonym pismu *The Observer* D. Bintley powiedział, że woli kompozytorów starszej generacji, gdyż potrafią oni napisać melodię. W przedmowie do broszury poświęconej jego muzyce Andrzej Panufnik podkreślił, że przywiązuje dużą wagę do geometrycznej konstrukcji swych utworów, co razem z pewną dozą romantyzmu, zawartego w jego muzyce, stworzyło kompozycje, które pozwalają na użycie szerokiego wachlarza tzw. języka choreograficznego.

We wspomnianym powyżej wywiadzie Bintley powiedział, że chciałby móc zamówić muzykę napisaną specjalnie dla jego choreografii. Miejmy nadzieję że David Bintley zdoła zrealizować swe pragnienie i że jego współpraca z Panufnikiem będzie nadal trwała.

Tadeusz HEINRICH

Świadectwo dojrzałości politycznej

„Przebywający niedawno przejazdem w Warszawie Niemiec postawił mi następujące pytanie: Co się tu u was właściwie dzieje? Kościół pobłogosławił niedawno uroczystości 60-tej rocznicy zwycięstwa Piłsudskiego nad bolszewikami, a władze administracyjne nie uczyniły praktycznie niczego, by

zapobiec temu świętu. Szef waszej partii komunistycznej szykuje się do podróży do Republiki Federalnej, by otrzymać tam dalsze 1,5 mld marek, podczas gdy cały świat drży ze strachu, że Wielki Brat wkroczy i udzieli wam krwawej lekcji, przy czym na dobrą sprawę nikt nie wie, jak się powinien w takim przypadku zachować. Co to wszystko ma znaczyć i gdzie się właściwie znajdujemy?”

Powyższy cytat pochodzi z wydanej w listopadzie w RFN książki „Polska. Wolne związki zawodowe w komunizmie?”¹. Pytanie postawione przez owego Niemca jest, jak sądzę, typowe dla większości osób zamieszkujących Niemcy na zachód od Łaby.

Dobrze się więc stało, że można sięgnąć po książkę która, choć nie daje odpowiedzi na zawarte w jej tytule pytanie, powinna pomóc w zrozumieniu polskiego fenomenu. Autor, Armin Dross zestawiał w pięciu rozdziałach² gdańskie dokumenty, przemówienia Gierka i Kani, artykuły Brusa i Kuronia, głosy Drawicza i Kisielewskiego. Każdy z rozdziałów poprzedzony jest krótkim wstępem uzasadniającym dobór tych właśnie materiałów, kreślący, gdy trzeba, w kilku słowach sylwetkę autora. Suche materiały „gdańskiej ugody”, patetyczne słowa Gierka, homilia kardynała Wyszyńskiego, słowna zonglerka Rakowskiego czy wreszcie polityczno-literackie felietony Kisielewskiego kreślą obraz Polski takiej jaką jest ona w rzeczywistości.

M. W.

1. Armin Th. Dross, *Polen. Freie Gewerkschaften im Kommunismus?*, wyd. rororo-aktuell, Hamburg 1980, str. 265.

2. I: Wydarzenia w Gdańsku, II: Robotnicy, III: Kościół katolicki, IV: Intelktualiści, V: Młodzież.

Nadesłane nowości wydawnicze

MÜLDNER-NECKOWSKI (Piotr). *Czapki i niewidki*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 32).

GRODZIŃSKI (Juliusz). *Biała karawana*. Str. 186 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1980, cena zł 44).

STACHURA (Edward). *Piosenki*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 50).

Almanach Polonii 1981. Str. 367 + 23. (Wyd. Interpress, Warszawa 1980).

MICHAŁOWSKI (Witold), RYGIELSKI (Janusz). *Spór o Bieszczady*. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. „Sport i turystyka”, Warszawa 1979, cena zł 20).

NIERASZ (Lech). *Garść insynuacji*. Ilustr. Szymon Kobylński.

Str. 51 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1980, cena zł 28).

Antemurale XXIII. Str. 160. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum Romae, Romae 1979).

Antemurale XXIV. Str. 325 i 3 nlb. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum Romae, Romae 1980).

DUNIN-WASOWICZ (Krzysztof). *L'insurrection au ghetto de Varsovie en 1943 et les recherches récentes sur le sort de la population juive de Varsovie pendant la seconde guerre mondiale*. Conférence faite au Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences à Paris le 16 mai 1978. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1980, seria „Conférences”, fascicule nr 126).

- APOLLINAIRE** (Guillaume). *Le bestiaire ou cortège d'Orphée — Zwierzyńiec czyli Orfeuszów orszak*. Wydanie dwujęzyczne, opracował Allan Kosko. Str. nlb. (Wyd. 1980, cena F. 27).
- TOULOUSE-LAUTREC** (Béatrix, de). *In memoriam... Anka Steczyńska comtesse Guillaume de GONTAUT-BIRON, retournée à Dieu le 27 juin 1979*. Str. 79 i 3 nlb.
- KORZEC** (Paweł). *Juifs en Pologne. La question juive pendant l'entre-deux-guerres*. Préface de Nahum Goldmann. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Presses de la Fondation Nationale des Sciences Politiques, 1980).
- HIRSZOWICZ** (Maria). *The Bureaucratic Leviathan. A Study in the Sociology of Communism*. Str. 208 i 4 nlb. (Wyd. Martin Robertson, Oxford 1980).
- The American and European Revolutions, 1776-1848. Sociopolitical and Ideological Aspects*. Edited with Introduction by Jaroslaw Pelenski. Str. 412 i 4 nlb. (Wyd. University of Iowa Press, 1980).
- POTICHNYJ** (Peter J.). *Poland and Ukraine. Past and Present*. Str. 364 i 4 nlb. (Wyd. The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Edmonton - Toronto 1980).
- BORYS** (Jurij). *The Sovietization of Ukraine 1917-1923. The Communist Doctrine and Practice of National Self-Determination*. Str. 488 i 2 nlb. (Wyd. The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Edmonton 1980).
- The Human Rights Movement in Ukraine. Documents of the Ukrainian Helsinki Group 1976-1980*. Edited by Lesya Verba and Bohdan Yasen. Str. 227 i 3 nlb. (Wyd. Smoloskyp Publishers, Baltimore - Washington - Toronto 1980).
- Eucharisterion: Essays presented to Omeljan Pritsak on his Sixtieth Birthday by his Colleagues and Students*. Edited by Ihor Ševčenko and Frank E. Sysyn with the assistance of Uliana M. Pasiecznyk. Vol. III/IV 1979-1980, part 1 and 2, str. 972 i 2 nlb. (Wyd. w cyklu Harvard Ukrainian Studies The Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge, Massachusetts 1980).
- CIOŁKOSZ** (Lidia). *The Uncensored Press*. (Nadbitka z Survey vol. 24, nr 4/109), autumn 1979, str. 56-67, wyd. Eastern Press Ltd., London and Reading).
- In Defence of Poland's Freedom 1980. Memorandum*. Str. 10. (Wyd. Polish Government in Exile, London 1980).
- Old Ruthenian Printed Books and Manuscripts in the Episcopal and Heritage Institute Libraries of the Byzantine Catholic Diocese of Passaic*. Katalog. Sporządził dr Bohdan Struminskyj. (Do nabycia w Byzantine Catholic Diocese of Passaic, 101 Market St., Passaic, N.Y. 07055).
- AXER** (Jerzy). *The Style and the Composition of Cicero's Speech „Pro Q. Roscio Comoedo”*. Origin and Function. Str. 87. (Wyd. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego w serii „Studia antiqua”, cena zł 23).
- SWIETOCHOWSKI** (Tadeusz). *Guide to the Collections of the Pilsudski Institute of America for Research in the Modern History of Poland*. Str. 35. (Wyd. Pilsudski Institute of America, New York 1980).
- Polish Affairs* nr 101-102, July-October 1980. Str. 40. (Wyd. Editorial Committee with the assistance of the Polish Cultural Foundation).
- Nobel Prize in Literature for Czesław Miłosz: Excerpts from the California Press*. Edited by Tadeusz Wojnicki. Str. 58 i 4 nlb. (Wyd. Marek Hasko Publishing Company, Berkeley 1980).
- Abstracts of Papers. The Tenth World Congress of the Czechoslovak Society of Arts and Sciences*. Str. 71. (Wyd. Georgetown University, Washington, D.C., Oct. 17-19 1980).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

25-1-81

Ukazał się pierwszy numer katolickiego dwutygodnika społecznego *Ład*, wydawanego przez Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych. Jest to pismo reprezentujące tzw. „dyspocyjnych katolików” z Januszem Zabłockim na czele. W tym numerze zamieszczono list Prymasa do redakcji *Ładu*.

15-2-81

W Warszawie rozpoczął się pierwszy zjazd Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich, które powstało w styczniu bież. roku. Zjazd zajął się problemami środowiska tłumaczy, zakresem ich prac, obowiązków i odpowiedzialności. Przekładami różnego typu zajmuje się w Polsce blisko 15 tys. osób. Tłumaczy się codziennie około 10 tys. stron tekstów obcojęzycznych.

16-2-81

W Warszawie zmarła Janina Broniewska, pisarka, publicystka oraz działaczka komunistyczna z okresu przedwojennego.

20-2-81

W Warszawie trwa strajk głodowy 10 członków Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego. Oskarżają oni kierownictwo tej organizacji o malwersacje finansowe, manipulowanie wyborami delegatów we Wrocławiu oraz o zamknięcie oddziałów wojewódzkich w kilku miastach.

22-2-81

Od lipca ub. roku Centralna Komisja Kontroli Partyjnej wykluczyła z partii 2.411 członków. Ponad 450 osób stanowili ludzie dopuszczający się łamania norm moralnych, w tym zwłaszcza wykorzystując stanowiska służbowe dla osiągnięcia nie należnych im korzyści materialnych. W ciągu ostatnich 3-ch miesięcy ub. roku skreślono 50.875 członków i 11.004 kandydatów, większość z nich wystąpiła na własną prośbę.

■ *Tygodnik Demokratyczny* podaje: „W sprawozdaniach z posiedzenia Sejmu wymieniono nazwiska posłów, którzy przejęli mandaty zwolnione w ośmiu okręgach na skutek zrzeczenia się ich przez dotychczasowych posłów z tych okręgów; nie wymieniono jednak nazwisk tych ostatnich. Niesłusznie. Przypomnienie faktu, że decyzją VII plenum Komitetu Centralnego PZPR ludzie, którzy utracili zaufanie partii zostali zobowiązani do zrzeczenia się piastowanych z jej rekomendacji mandatów poselskich służy umocnieniu autorytetu partii, przypomina bowiem, że jest ona konsekwentna w swych odnowicielskich decyzjach personalnych. Przypominamy więc, że w okręgu wyborczym nr 4 Warszawa Praga-Północ poseł Marian Grudzień objął mandat po b. premierze Piotrze Jaroszewiczu. W okręgu nr 22 w Bytomiu Kazimierz Jeżewski przejął mandat, który piastował b. wicepremier Tadeusz Pyka. W okręgu 25 w Sosnowcu Daniela Kwiatkowska, weszła do Sejmu na miejsce Edwarda Gierka. W okręgu nr 41 Łódź-Bałuty Andrzej Orbzyński został posłem po b. przewodniczącym CRZZ Janie Szydłaku. W okręgu nr 44 w Olsztynie Ryszard Waldemar Gwizdała — po b. sekretarzu KC Zdzisławie Żandarowskim. W okręgu nr 46 w Opolu Stefan Grodziński — po b. wicepremierze Tadeuszu Wrzaszczku. W okręgu nr 52 w Poznaniu prof. Jerzy Lutowski został posłem na miejsce b. premiera Edwarda Babiucha. Wreszcie w okręgu nr 63

w Szczecinie Danuta Mianowska objęła mandat na miejsce b. sekretarza KC Jerzego Łukaszczyka. Przypominamy też funkcje b. członków KC i zastępców członków KC, którzy przestali nimi być w związku z postępowaniem partyjnym prowadzonym przez Centralną Komisję Kontroli Partyjnej. Decyzją VIII Plenum KC zostali odwołani ze składu KC: Zdzisław Legomski, b. wojewoda katowicki, Franciszek Kaim, b. minister hutnictwa, Henryk Rechowicz, b. rektor Uniwersytetu Śląskiego i Andrzej Borkowski, b. I sekretarz KW w Koninie, a także została przyjęta rezygnacja z funkcji członka KC: Zdzisława Grudnia, b. członka Biura Politycznego, b. I sekretarza KW w Katowicach, Zofii Grzebisz-Nowickiej, b. I sekretarza KW w Siedlcach, Jadwigi Łokkaj, b. wiceministra handlu wewnętrznego i usług i Jerzego Zasady, b. I sekretarza KW w Poznaniu”.

25-2-81

Koło Poselskie „Znak” (powszechnie nazywane Neoznak) zmieniło nazwę na Koło Poselskie P.Z.K.S. (Polski Związek Katolicko-Społeczny).

27-2-81

Do Marszałka Sejmu PRL wpływa szereg petycji posłów, Klubów Partyjnej Inteligencji, etc. domagających się uchylecia dekretów uchwalonych przez Radę Państwa o uposażeniu osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe, o zaopatrzeniu emerytalnym osób zajmujących stanowiska kierownicze w państwie a także członków ich rodzin. (Dz.U. nr 42 z 7. 10. 1972 r.).

28-2-81

Prasa krakowska porusza skandal wynikły z wydawania dyplomów ukończenia Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie byłym dygnitarzom życia politycznego i gospodarczego PRL. Dotyczy to m.in. b. pierwszego sekretarza KW PZPR w Katowicach Zdzisława Grudnia oraz Edwarda Gierka. Rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, który jednocześnie jest zastępcą członka Biura Politycznego KC PZPR, prof. Roman Ney, powołał specjalną komisję senacką dla wyjaśnienia tej sprawy.

1-3-81

Rada Zakładowa Związku Nauczycielstwa Polskiego ogłosiła zbiórkę na Fundusz stypendialny im. Robotników Gdańskich. Fundusz ma na celu przyznawanie stypendiów na kształcenie ich dzieci. Wpłaty należy kierować na konto: 1599 - 6376 - 132 P K O IX 0/Warszawa — z dopiskiem: *na Fundusz Stypendialny im. Robotników Gdańskich*. ■ W archikatedrze warszawskiej została wmurowana tablica ku czci prezydenta miasta Warszawy, Stefana Starzyńskiego — z inicjatywy Komitetu Obywatelskiego Uczczenia pamięci Stefana Starzyńskiego. ■ Tygodnik *Solidarność* ma się ukazać w końcu marca br. Będzie się ukazywał w objętości 16 stron formatu *Expressu Wieczornego*, będzie drukowany w drukarni *Expressu* w Warszawie, a nakład będzie wynosił 500 tys. egzemplarzy. Cena jednego numeru — zł 8. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Malczewskiego 54, tel. 44 79 50. Do wolnej sprzedaży przeznaczono 270 tys. egzemplarzy, do prenumerat specjalnych (biblioteki, prenumeraty zagraniczne itp.) — 20 tys. Zastępcami redaktora naczelnego, Tadeusza Mazowieckiego, zostali mianowani: Bogdan Cywiński i Kazimierz Dziewanowski. ■ Zakończył się strajk okupacyjny studentów Łodzi, zakończyła się także fala strajków solidarnościowych, która przeszła przez wyższe uczelnie Warszawy, Poznania, Krakowa i innych miast. Porozumienie podpisane przez Międzyuczelnianą Komisję Porozumiewawczą i rządowną Komisję Międzyresortową przewiduje: zarejestrowanie Niezależ-

nego Zrzeszenia Studentów; odbudowę autonomii i samorządności uczelni, szczególnie jeśli chodzi o decyzje w sprawie programu studiów, w tym zajęci polityczno-ideologicznych, wyboru lektoratów z języków obcych; zniesienie obowiązkowych praktyk robotniczych i zreformowanie szkolenia wojskowego studentów; likwidację miejsc rektorskich i ministerialnych; uznanie studenckich strajków okupacyjnych (ustalono ich zasady i tryb); przyznanie pełnej swobody obchodzenia rocznie historycznych; opracowanie nowych podręczników historii; zmianę trybu wydawania paszportów studentom. ■ Przedsięwzięcia PRL zakończyły budowę polskiego odcinka (300 km) rurociągu naftowego, prowadzącego z Surgutu na Syberii do Połocka.

4-3-81

Został utworzony tymczasowy zarząd regionalny „Pobrzeże”, skupiający MKZ-y Białogard, Kołobrzeg, Koszalin, Szczecinek, Połczyn i Świdwin.

5-3-81

Reaktywowano Ligę Morską z siedzibą w Gdańsku. ■ Komitety Międzyzakładowe „Solidarności” w Jastrzębiu, Katowicach, Bytomiu i Hucie Katowice postanowiły utworzyć jeden wspólny M.K.Z. Górnego Śląska i Zagłębia. ■ Gen. Jaruzelski powołał stały Komitet do Spraw Współpracy ze Związkami Zawodowymi. Przewodniczącym tego Komitetu został wicepremier Mieczysław Rakowski. ■ Na podstawie zarządzenia Ministra Kultury i Sztuki biblioteki likwidują listy książek zakazanych. Będą one powszechnie dostępne w czytelnich bibliotecznych, nie będzie się ich natomiast wypożyczać do domu, gdyż mogłyby szybko zginąć.

7-3-81

Został utworzony Fundusz Społeczny „Solidarności”. Gromadzić się na nim będzie środki pochodzące z darowizn krajowych i zagranicznych.

8-3-81

W wywiadzie dla *Życia Warszawy* z 23. 2. br. minister Przemysłu Spożywczego i Skupu, Jan Załęski, uzasadnia konieczność przeznaczania dużej części zasobów zbożowych na produkcję spirytusu, zamiast na pasze. Okazuje się bowiem, że zapotrzebowanie na alkohol jest zaspakajane zaledwie w 81 %. Na marginesie tego wywiadu należy zaznaczyć, że statystyczny Polak wydaje rocznie na alkohol ponad zł 5.000 i wypija ponad 8 litrów czystego alkoholu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-1-81

Na estradzie POSK-u w Londynie powtórzone z wielkim sukcesem oryginalną adaptację „Sztuki na głosy” Dylana Thomasa „Under Milk Wood” (tytuł polski: „Pod mleczną drogą”), dokonaną przez Tymona Terleckiego.

11-2-81

Senat Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie postanowił nadać doktoraty honorowe następującym osobom: historykowi Władysławowi Bartoszewskiemu (promotor prof. Tymon Terlecki), malarzowi, krytykowi i teoretykowi malarstwa Józefowi Czapskiemu (promotor prof. Marian Bohusz-Szyszko), ekonomistcie Józefowi Poniatowskiemu (promotor prof. Edward Szczepanik). Uroczysta promocja prof. Bartoszewskiego odbyła się 2 marca w czasie jego pobytu w Londynie.

14-2-81

W pałacu arcybiskupim w Montevideo została odprawiona przez prymasa Urugwaju arcybpa Karola Parteli msza święta na intencję Polski, o pomyślny rozwój wydarzeń. Msza została odprawiona z inicjatywy Towarzystwa Polskiego im. Marszałka Piłsudskiego (którego prezesem jest dr Rudolf A. Hankus, syn dawnych emigrantów urodzony w Urugwaju), Domu Polskiego w Montevideo oraz p. Jana Pawłowskiego, sekretarza honorowego arcybiskupa.

21-2-81

Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie zorganizowała w Instytucie im. Sikorskiego „Wieczór wspomnień i wierszy” dla upamiętnienia 25-tej rocznicy śmierci Tadeusza Sułkowskiego. Przewodniczył prof. Tymon Terlecki, który ogłosił nagrodę rocznicową, ufundowaną przez OPiM w wysokości £100,00, która została przyznana poecie krajowemu Jerzemu Ficowskiemu za zbiór wierszy „Odczytanie popiołów”.

25-2-81

Z okazji 150-tej rocznicy Powstania 1830 roku, w wyniku którego przybyło do Francji 10 tysięcy uchodźców, Centre d'Etudes Polonaises, Université Lille III organizuje międzynarodowe kolokwium, w czasie którego zostaną wygłoszone następujące referaty: D. Beauvois (Université de Lille III), *Le Nord de la France et les Polonais 1831-33*. N. Davies (Université de Londres), *L'écho anglais de l'insurrection polonaise en 1830*. H. H. Hahn (Université de Cologne), *Les débuts politiques du prince A. J. Czartoryski dans l'émigration en France*. M. Inglot (Université de Wrocław), *L'insurrection vue par les journaux polonais de l'Empire russe*. L. Kalambka (Université de Wrocław), *Les débuts de la Grande Émigration polonaise et leurs implications internationales*. J. Lajarrige (Université de Toulouse), *Le mythe de novembre 1830 dans le théâtre de Wyspiański*. M. Le Guillou (Université de Brest), *Les mennaisiens et la Pologne après 1830*. E. Marek (Université de Lille III), *L'insurrection polonaise dans la chanson française*. A. Owsinska (Université de Cracovie), *La politique du gouvernement de Louis-Philippe à l'égard de la question polonaise (1832-1840)*. J. Skowronek (Université de Varsovie), *Révolution et nationalisme au début du romantisme*. M. Straszewska (Centre d'Etudes Polonaises de Paris), *La cause polonaise de 1830 dans la poésie et le théâtre français*. L. Trenard (Université de Lille III), *Salvandy et la Pologne*. S. Treugot (Académie des Sciences de Pologne - Varsovie), *Le souvenir de Napoléon dans l'insurrection polonaise de 1830*. W. Zajewski (Académie des Sciences de Pologne - Gdansk), *Le rôle de la révolution de juillet 1830 dans l'insurrection en Pologne*. B. Zakrzewski (Université de Wrocław), *Emilie Plater et le mythe romantique du héros européen*. — Kolokwium odbędzie się w dniach 14-15 maja br.

27-2-81

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. Adama Bonieckiego na temat „Charakterystyczne cechy pontyfikatu Jana Pawła II”. Książę Boniecki jest redaktorem polskiego wydania *Osservatore Romano*. Jego obszerna praca, ponad tysiąc stron maszynopisu, pt. „Kalendarium życia Jana Pawła II” ma się ukazać niedługo w krakowskim wydawnictwie „Znak”.
■ Staraniem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii odbył się wieczór dyskusyjny pt. „Cywilizacja humanistyczna i cywilizacja techniczna — wrogowie czy partnerzy”. Dwa stanowiska przedstawił ks. prof. Jerzy Mirewicz, TJ oraz inż. dr Mieczysław Skowroński.

28-2-81

Paryskie Towarzystwo Historyczno-Literackie oraz Biblioteka Polska zorganizowały w Londynie wspólnie z Instytutem Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego wystawę i trzy odczyty poświęcone tym instytucjom.

1-3-81

W związku z przypadającą w br. 60-tą rocznicą wojny polsko-bolszewickiej Rząd R.P. na wygnaniu przypomina, że w myśl dekretu Prezydenta R.P. z 6 sierpnia 1964 roku szeregowi i podoficerowie Polskiej Formacji Wojskowej z lat 1914-1921 mogą ubiegać się o stopień tytularnego podporucznika Polskich Sił Zbrojnych. Podania zawierające datę i miejsce urodzenia, stwierdzenie służby w Formacjach Wojskowych, fotokopie dokumentów oraz oświadczenie, że nie było się karany sądownie za przestępstwo popospolite — należy kierować na adres: 43 Eaton Place, London SW1X 8BX — Wielka Brytania. ■ Pamięć Katynia jest ciągle bardzo żywa na emigracji. Dowodem tego jest ilość pomników czy tablic pamiątkowych. Podajemy wykaz miejscowości, w których się znajdują: Australia — Adelaide, Canberra, Melbourne, Tasmania; Europa — we Francji — Paryż, we Włoszech — Rzym, w Wielkiej Brytanii — Birmingham, Cannonch, Kilmarnock, Leicester, Londyn, Manchester; w Kanadzie — Toronto; Nowa Zelandia — Wellington; Stany Zjednoczone — Buffalo N.Y. ■ P. Wiesław Patek przekazał Szwedzkim Archiwom Państwowym 70 tek zawierających artykuły o Polsce, Europie Środkowej i Sowietach — w sumie 4.000 wycinków prasowych z okresu ostatnich 25 lat; oraz teksty odczytów i wystąpień na terenie Szwecji. ■ Nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie ukazał się wybór współczesnych poetów polskich po angielsku *Witness out of Silence, Polish Poets Fighting for Freedom*. Blisko stustronicowy tomik dedykowany jest Mirosławowi Chojeckiemu i jego współpracownikom z Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Przedmowę napisał znany poeta angielski Stephen Spender. Tłumaczem wszystkich tekstów jest Antony Graham. Wybór podzielono na trzy części. Pierwsza, zatytułowana „Więc jestem”, składa się wyłącznie z wierszy Stanisława Barańczaka. Druga, „Dawać światu”, zawiera wiersze Ryszarda Krynickiego, Jacka Bierzina, Adama Zagajewskiego, Jerzego Ficowskiego. W trzeciej, „Przed światem”, znalazły się wiersze Zbigniewa Herberta, Wiktora Woroszyńskiego, Antoniego Pawlaka, Lecha Dymarskiego, Barbary Sadowskiej, Leszka Budrewicza, Anki Kowalskiej, Jana Polkowskiego, Jarosława Brody, Witolda Wirpszy, Leszka Szarugi, Lothara Herbsta, Henryka Jasieczka.

3-3-81

Tygodnik włoski *Panorama* ogłosił tekst listu KC KPZS do kierownictwa włoskiej partii komunistycznej (PCI). List został wysłany w grudniu ub. roku i dotyczył rezolucji, jaką komuniści włoscy skierowali do KC PZPR. Towarzysze sowieccy uważają rezolucję towarzyszy włoskich za „ingerencję PCI w wewnętrzne sprawy Polski”. I dodają: „Obiektywne znaczenie rezolucji PCI polega, według nas, nie na poparciu danym socjalizmowi który rzeczywiście istnieje w Polsce, lecz na solidaryzowaniu się z tymi siłami, które rozpętały w Polsce prawdziwą ofensywę przeciw socjalizmowi”. Na przytoczenie zasługuje jeszcze jeden fragment listu: „PCI zaprzecza, że działanie sił zewnętrznych, wrogich socjalizmowi, posiada jakkolwiek wagę w Polsce. W związku z tym wystarczy przypomnieć pomoc udzieloną „Solidarności” przez amerykańskie syndykaty AFL-CIO, a wy towarzysze wiecie na pewno w jakich celach i na jakich warunkach amerykańskie syndykaty ofiarowują środki finansowe syndykatom zagranicznym. Sam Lech Wałęsa przyznał, że kierowane przez niego związki zawodowe otrzymały milion ma-

rek z RFN, i że w sumie fundusze związków przekraczają 10 milionów w dolarach i innych walutach. Sami towarzysze polscy polscy podkreślają, że wszystko to razem wzięte oznacza realne zagrożenie dla socjalizmu. KPZS widzi zatem swój obowiązek w konieczności dopomożenia Polsce w wyjściu z kryzysu”.

5-3-81

Comité International pour le Soutien de la Charte 77 en Tchécoslovaquie w Paryżu przyznał doroczną nagrodę im. Jana Palacha wydawnictwu „Petlice”, które od szeregu lat wydaje w Pradze dzieła pisarzy, których publikacja jest zakazana przez obecny reżym. Nagroda została wręczona Janowi Vladislavowi, jednemu z animatorów tego podziemnego domu wydawniczego, który przybył przed paroma dniami do Paryża i który tę nagrodę doręczy osobom powołanym. Nagroda wynosi F.25.000. ■ W stulecie śmierci Dostojewskiego przyjechał do Włoch krakowski Teatr Stary z przeróbkami scenicznymi *Biesów* i *Idioty*. Występował w Genui, Mediolanie i Turynie, gorąco oklaskiwany przez publiczność, bardzo chwalony przez krytyków teatralnych. Zespół Teatru Starego został przyjęty przez Jana Pawła II. Warto przy okazji dodać, że prawdziwe triumfy święci we Włoszech teatr Tadeusza Kantora, któremu Rada Miejska Florencji ofiarowała, jako stałą siedzibę, piękny pałac. ■ Jan Paweł II odprawił mszę św. w kaplicy litewskiej w podziemiach bazyliki watykańskiej z okazji uroczystości świętego Kazimierza, patrona Litwy. W uroczystości uczestniczyli członkowie Papieskiego Kolegium Litewskiego w Rzymie, a także przedstawiciele Ambasady litewskiej przy Watykanie oraz kolonii litewskiej. Kaplica ta, imienia Matki Boskiej Ostrobramskiej, była poświęcona przez Pawła VI w 1970 roku. W kazaniu wygłoszonym po litewsku papież powiedział, że z wielką radością odprawia to nabożeństwo, upamiętniające postać świętego Kazimierza, „patrona narodu litewskiego, zwłaszcza młodzieży litewskiej”.

9-3-81

W reportażu z Polski tygodnik włoski *Espresso* donosi o powstawaniu wśród robotników i inteligencji klubów „prawdziwych marksistów”. Wymieniona jest krakowska „Kuznica”, której uczestnicy zajmują się poglądami Lukacsa, Althussera i młodego Marksa. Mowa też o sieci klubów „Rzeczywistość”, oraz o warszawskim klubie „Sigma”, wydawcy pisma „Wspólne rozmowy”. W Łodzi jakoby robotnicy fabryki im. Marchlewskiego wydali nowy „Manifest komunistyczny”. ■ Londyński *Times* pisze, że w tym roku Polska będzie musiała importować 10 milionów ton zboża. Brak części zamiennych unieruchomi prawdopodobnie 40 tys. traktorów. W rolnictwie potrzebne są dwa miliony filtrów oliwnych, a przemysł jest w stanie zapewnić zaledwie pół miliona. Polska będzie musiała sprowadzić w br. 200 tys. ton cukru. ■ Mija rok od powstania w Budapeszcie *Central-European International Bank*, pierwszej i jak dotąd jedynej instytucji finansowej założonej przez Zachód we Wschodniej Europie. Węgierski Bank Narodowy ma w niej 34 % udziałów, reszta należy do czterech banków zachodnioeuropejskich i dwóch japońskich. Dyrektorem jest Matthias Kunsch z Wiednia. W pierwszym roku impreza zdała egzamin: zarobiła na czysto 2,3 miliona dolarów, a 156 milionów ma w udzielonych pożyczkach i w innych aktywach bilansu. Węgrzy zgodzili się na założenie CEIB w dwóch celach: dla przyciągnięcia dalszych inwestycji zachodnich i dla podkształcenia własnych ekspertów w dziedzinie zachodnich praktyk finansowych. ■ Polsko-Ukraińskie Towarzystwo w Paryżu zorganizowało w sali Ukraińskiej Biblioteki im. S. Petlury odczyt Piotra Jeglińskiego pt. „Niezależny ruch młodych katolików w Polsce a problematyka polsko-ukraińska”.

11-3-81

W kolejnym reportażu z Polski w mediolańskim *Il Giornale* znany dziennikarz Mario Cervi cytuje wypowiedź wiceprzewodniczącej KIK, Stanisławy Grabskiej: „Kardynał Wyszyński? Jest wciąż człowiekiem silnym, ale mniej niż kiedyś. Rozumie pan, wiek. Wśród kleru mniej kompromisowego panuje pewne niezadowolenie, jego dowodem jest list około pięćdziesięciu księży z diecezji przemyskiej, gdzie biskup Tokarczuk zajął bardzo zdecydowane stanowisko przeciw deklaracjom rzecznika episkopatu, dystansującym się od KOR-u i jego przywódców Kuronia i Michnika. Ale niech pan teraz uważnie słucha. W 'Solidarności' najtwardsze są nie elementy socjalizujące bliskie KOR-owi, a tym mniej jeszcze umiarkowane elementy katolickie bliskie Włocławskowi. Twardzi, bardzo twardzi są robotnicy w dołach, to oni ogłaszają strajki i chcą strajków. A chcą strajków, gdyż na prowincji zwłaszcza ludzie partii nie dają tego, co kazano im dać. W grę wchodzi interesy osobiste i stare nawyki. To są ludzie niezdolni do zrozumienia, jak można demokratycznie kierować i współpracować. Ich modelem jest państwo totalitarne. Idea partnerstwa z innymi siłami nie mieści im się w głowach”.

17-3-81

Profesor Antoni Kruszewski, wykładowca nauk politycznych na *University of Texas at El Paso*, został uhonorowany w Yad Vashem w Jerozolimie za pomoc udzielaną Żydom podczas okupacji hitlerowskiej w Warszawie.

23-3-81

W Mediolanie wydawca Jaca Book zaprezentował pierwszy numer nowej włoskiej edycji *Kontynentu* (dwa numery poprzedniej edycji ukazały się u wydawcy Garzanti). Redaktorem nowej edycji jest Sergio Rapetti, znany i świetny tłumacz z rosyjskiego. Pierwszy numer zawiera teksty Wojnowicza, Grossmana, Płatonowa, Bułgakowa, Czukowskiej, Sacharowa, oraz reprodukcje rzeźb Nieznanego.

27-3-81

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt prof. Jerzego Kłoczowskiego z Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie na temat „Kultura polska a kulturalne podstawy Europy słowiańskiej”. 10-go zaś kwietnia br. Kazimierz Brandys będzie czytał fragmenty swej nowej książki „Miesiące” (ukazuje się ona w najbliższym czasie w ramach Biblioteki Kultury).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich w Chicago od początku swego istnienia rozprowadziło na terenie USA około 500 tys. stron literatury politycznej w języku angielskim. ■ W odpowiedzi na apel „Solidarności” Kongres Polonii Amerykańskiej utworzył bank leków dla Polski. Według nowojorskiego *Nowego Dziennika* do 18 lutego 1981 roku zebrano już ponad 55.500 dolarów. W najbliższym czasie ma również zostać wysłanych do Polski 3.000 pięciokilowych paczek żywnościowych. ■ W papierach rodziny Potockich z Łańcuta, zdeponowanych w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku, odkryto rękopis wiersza Cypriana Norwida, oraz listy Aleksandra Fredry i Wojciecha Kossaka. ■ *Helsinki Watch Committee*, amerykańska organizacja zajmująca się wprowadzaniem w życie uchwał tzw. „trzeciego koszyka”, zaprotestowała przeciwko propozycji odbycia następnej Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa (1983) w Bukareszcie, ze względu na notoryczne łamanie praw człowieka w Rumunii. ■

W połowie lutego br. przybył do Stanów Zjednoczonych adwokat Zbigniew Gryszkiewicz, pełnomocnik „Solidarności”. Celem wizyty p. Gryszkiewicza było zebranie wśród Polonii i członków amerykańskich związków zawodowych pieniędzy na zakup za granicą środków medycznych, w tym głównie lekarstw. P. Gryszkiewicz przedstawił 59 pozycji lekarstw. Wspomniał również o naglącej potrzebie sprowadzenia dwóch sztucznych nerek. Apel „Solidarności”, jeśli chodzi o w/w rodzaj pomocy streszcza się w zorganizowaniu „Banku Leków”. Wysokość potrzebnej na zakup lekarstw i innych środków medycznych sumy określa się na półtora miliona dolarów. P. Gryszkiewicz, będąc w Nowym Jorku spotkał się z przedstawicielami amerykańskich związków zawodowych i miejscowej prasy amerykańskiej.

KRONIKA KANADYJSKA

W dniu 3. 2. br. zmarł w Winnipeg w wieku lat 90 mecenas B. B. Dubieński. W uroczystościach pogrzebowych wzięli udział przedstawiciele wszystkich organizacji polonijnych, bowiem mec. Dubieński był przez kilka dziesięcioleci najbardziej reprezentacyjną postacią oraz pierwszym polskim adwokatem w prowincji Manitoba. ■ 21. 1. br. w *Institut of Human Values* przy Saint Mary's University w Halifaxie (Nowa Szkocja) prof. Stanisław Swianiewicz wygłosił odczyt na temat „The Problem of Enforced Values” poświęcony w przeważającej części książce Czesława Miłosza „Zniewolony umysł”. ■ W dniach 11-13. 10. br. odbędzie się w Ottawie XXVI walny zjazd Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który ma wybrać nowe władze na dwuletnią kadencję. ■ Światowy Kongres Słowaków, z siedzibą w Kanadzie, podjął 16 stycznia br. rezolucję w sprawie Polski: „Dzieje narodu polskiego to historia bohaterskiej walki przeciw uciskowi narodowemu i religijnemu. Najpierw przeciw carskiemu imperializmowi, potem przeciw niemieckiemu *Drang nach Osten*, wreszcie po Drugiej Wojnie Światowej przeciw imperializmowi sowieckiemu. Obecne zmagania narodu polskiego o wolność pod znakiem Krzyża Świętego stworzyły nową sytuację polityczną, która może doprowadzić do klęski sowieckiego imperializmu i do utrwalenia pokoju”. Rezolucję podpisali przewodniczący Kongresu Stefan Roman, znany w Kanadzie przemysłowiec, oraz wybitny niegdyś działacz a potem więzień komunistyczny Eugen Loebel.

Listy do Redakcji

Londyn, 28 lutego 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do działu Kronika Niemiecka (*Kultura* nr 12/399) zakradła się (w notatce o mojej Oficynie) mylna informacja o przygotowywaniu przez Oficynę monografii twórczości Stanisława Szukalskiego. Napływające w rezultacie tej notatki zamówienia na wymienione wydawnictwo skłaniają mnie do wyjaśnienia, że nie brałem żadnego udziału w przygotowaniu ani też w wydaniu tej monografii, która w rzeczywistości ukazała się w Kalifornii pt. „TROUGHFUL OF PEARLS” pod redakcją Glenn Bray'a i jego żony Leny Zwalwe, nakładem Glenn Bray'a. Oficyna podjęła się tylko dystrybucji tego fascynującego wydawnictwa wśród swoich odbiorców na terenie U.K., informując o tym zainteresowanych, co zapewne stało się przyczyną pomyłki w notatce *Kultury*, przypisującej to wydanie Oficynie.

Godnym zanotowania przypisem do inicjatywy wydania tej monografii jest fakt, że dwoje młodych Amerykanów (żona Holenderka), poznawszy przypadkowo Szukalskiego, tak zachwycili się fenomenalną twórczością naszego Mistrza, że zrezygnowali z kupna nowego samochodu i za odłożoną na ten cel gotówkę postanowili wydać jego monografię, sprzedając ją bez zysku, po cenie kosztów produkcji. Pełni nadziei na wczesny zwrot kosztów pierwszej monografii, pracują już z Szukalskim nad drugim tomem pt. „Inner Portraits”, który mają nadzieję wydać w jesieni. Stąd prosty wniosek, że utrwalenie w druku dalszej części dzieł Szukalskiego (z których bardzo wiele zaginęło) zależy od szybkiej wysprzedaży pierwszego tomu wydanej monografii. Młodym i bezinteresownym Amerykanom, którzy nas wyręczyli w obowiązku opieki nad polskimi dziełami sztuki na Obczyźnie, należy się teraz bezzwłoczna pomoc w postaci zamówień na monografię, wydaną w nakładzie zaledwie 1.000 egzemplarzy.

Z rozrabianego i zaginionego w czasie wojny dorobku artystycznego Szukalskiego część odnalezionych po wojnie rzeźb i rysunków znalazła się w posiadaniu Polskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki, które odmówiło artystcie zarówno zwrotu jego własności jak i materialnej rekompensaty. Wydana obecnie monografia, zawierająca ponad 300 reprodukcji prac z komentarzami artysty, opracowana w oparciu o zachowane fotografie dzieł przedwojennych i nowych, powstałych po wojnie, stanowi ważny, aczkolwiek niekompletny dokument twórczości tego fenomenalnego zjawiska w historii sztuki polskiej — „Stacha z Warty Szukalskiego. Część monografii poświęcono fragmentom prac naukowych Szukalskiego z zakresu antropologii, studiów językowych („macimowa”) i pokrewnych dziedzin pod ogólnym tytułem „Zermatyzm”. Prace te, którym poświęcił ponad 30 lat swego życia, obejmują 39 tomów, ilustrowanych 11 tysiącami rysunków. Do tomu dołączono także płytę z nagraniem gawędy Szukalskiego o sztuce.

85-letni Mistrz Szukalski, jak zawsze pełen twórczej werwy, snuje plany na dalsze 100 lat życia i jest jak zawsze niewyczerpanym źródłem kontrowersyjnych pomysłów i wypowiedzi. Osamotniony po śmierci ukochanej małżonki Joan, zachorował na ciężkie zapalenie płuc w czasie końcowych prac nad rzeźbą Papieża Jana Pawła II, pt. „Młocarz i Hydra”. Wypisany ze

szpitala z butlą i maską tlenową — więc chyba przedwcześnie — żyje samotnie w Burbank (Los Angeles) pod opieką prywatnej pielęgniarki. Rozgoryczony w stosunku do ukochanej Polski i rodaków, z maską tlenową na twarzy usiłuje jednak dokończyć rzeźbę polskiego Papieża, nie czekając na powrót do normalnego stanu zdrowia.

Stanisław GLIWA

Londyn, 25 lutego 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako entuzjasta twórczości Józefa Mackiewicza, z wielką radością dowiedziałem się, że została mu przyznana Nagroda Literacka Kultury im. Zygmunta Herta. Jednakże natychmiast doznałem zawodu, czytając początek uzasadnienia tej nagrody (*Kultura* nr 1/400-2/401, styczeń-luty 1981, str. 119). Oczywiście autor tego uzasadnienia ma prawo do własnych poglądów i nie zamierzam tu dyskutować na temat, czy ma rację, czy nie, uważając publicystykę Józefa Mackiewicza za całkowicie pozbawioną sensu. Ale zgodzi się Pan zapewne, że trudno oczekiwać, by jakikolwiek szanujący się autor przyjął nagrodę literacką przyznaną mu przez kogoś, kto uważa znaczną część jego dorobku za „... popis nieporozumienia przystrajającego się w piórka 'czystego i niezłomnego antykomunizmu'”. Nie wdając się zatem w ocenę merytoryczną tego uzasadnienia, stwierdzam, że jest niebывale obraźliwe i niniejszym pragnę gorąco zaprotestować przeciw znieważeniu jednego z naszych najwybitniejszych pisarzy.

Dowiedziałem się, że Józef Mackiewicz ze zrozumiałych względów odmówił przyjęcia nagrody Kultury. Został zatem zmuszony przez Redakcję Kultury do odrzucenia F. 5.000, a w jego warunkach — gdy jedynym źródłem dochodu jest twórczość literacka — jest to suma znaczna. Wobec tego proponuję zbiórkę pieniędzy dla wynagrodzenia Mackiewiczowi przynajmniej materialnej straty. Przeznaczam na ten cel £ 25; Adam i Krystyna Iglirkowscy zadeklarowali £ 50. Zwolennicy twórczości Józefa Mackiewicza, którzy pragną przyczynić się do zebrania sumy F. 5.000, proszeni są o przysyłanie czeków na mój adres.

Warto chyba wspomnieć, że Józef Mackiewicz wbrew temu, co się powszechnie sądzi, ma zwolenników nie tylko wśród ludzi starszego pokolenia na emigracji. W zeszłym roku Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii zorganizowało dla swych członków dwa bardzo udane odczyty o pisarstwie Józefa Mackiewicza. Odczyty te odbyły się w Londynie podczas zjazdu studentów z całej Anglii. Wiem też, że ostatnio wznowiona powieść Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić”^{*} jest bardzo poszukiwana w środowisku opozycji w Kraju. Jednym słowem, twórczość Józefa Mackiewicza oddziaływała na coraz więcej ludzi i zakres tego oddziaływania rozszerza się w najmniej oczekiwanych kierunkach.

Z wyrazami prawdziwego szacunku,

Piotr IGLIKOWSKI
Prezes

Zrzeszenia Studentów i Absolwentów
w Wielkiej Brytanii

* Pierwsze wydanie, Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury”, tom 173.

WSTRZYMANIE PRENUMERAT PISM Z POLSKI

Księgarnia „POLONIA” w Chicago podaje do wiadomości, że z dniem 28 lutego 1981 roku nie będzie przyjmować zamówień na indywidualne prenumeraty czasopism z Polski, z uwagi na niedbałe wykonywanie zamówień na te prenumeraty przez CHZ Ars Polona w Warszawie. Prenumeratorzy z Ameryki skarżą się na ciągły wzrost cen dolarowych na czasopisma, które w Polsce kosztują od 5 do 7 zł za egzemplarz; dla Ameryki Ars Polona ustala ceny w wysokości 80 centów do \$ 1,10, tłumacząc to wysokimi kosztami przesyłki lotniczej. Klienci nie dają temu wiary, skoro według cennika Ars Polona np. *Życie Warszawy* i inne ważniejsze dzienniki, przesyłane również pocztą lotniczą do USA, kosztują tylko 20 centów za egzemplarz, zaś waga ciekich tygodników krajowych jest prawie ta sama. Stąd prosty wniosek, że opłata za przesyłkę lotniczą za tygodniki jest trzykrotnie zawyżona (niezależnie od różnicy cen w złotychkach).

Jakby na ironię, od tych zawyżonych cen Ars Polona żąda jeszcze dopłaty 10-15% „na koszt przesyłki lotniczej” (!). To znaczy że poczta lotnicza kosztuje 8-15 c. od egzemplarza.

Jest dużo skarg na opóźnienia w dostawach czasopism z Polski. Po opłaceniu prenumeraty nierzadko czeka się 4 do 6 miesięcy na rozpoczęcie dostawy, przy czym pisma przychodzą z opóźnieniem, bardzo nieregularnie i często giną. Na przykład w czasie Olimpiady czytelnicy przestali otrzymywać pisma sportowe, a w czasie Świąt Bożego Narodzenia była 3-tygodniowa przerwa w dostawach tygodników.

Aby beztrudno uwolnić się od reklamacji ze strony prenumeratorów, Ars Polona wprowadziła klauzulę do katalogu czasopism, że „wysyłka odbywa się na ryzyko zamawiającego” (!). Oznacza to, że prenumeratorem nie ma prawa dopominać się dostawy tego, za co zapłacił z góry. Opublikowane przez Ars Polona tłumaczenie, że można dodatkowo opłacić za przesyłkę poleconą, co wyniosłoby blisko \$ 1,00 za każdy egzemplarz, zakrawa na groteskę. Na całym świecie istnieje praktyka, że kto zapłacił za towar z dostawą do domu, towar ten musi dostać, a jeśli nie dostał, dostawca zwraca mu pieniądze. Ars Polona tego nie uznaje.

Ponieważ Ars Polona nie odpowiada na reklamacje, albo po wielu miesiącach uchyla się od odpowiedzialności, Księgarnia „POLONIA” zawiesiła przyjmowanie indywidualnych prenumerat na pisma z Polski, aby nie narażać słusznie rozżalonych klientów na te niecodzienne praktyki.

Oczywiście Księgarnia POLONIA w dalszym ciągu przyjmuje prenumeraty na pisma i periodyki polskie wydawane w Ameryce i w zachodniej Europie. Wszystkie zlecenia przekazywane są niezwłocznie do wydawców.

Edward PUACZ

Stanford, Kalifornia, 11 lutego 1981.

Drogi Panie Redaktorze,

Styczniowy numer Kultury przyniósł mi miłą niespodziankę. Bardzo dziękuję za zaszczytne wyróżnienie.

Niespodziewane wyrazy uznania za moją „działalność odczytową” stanowią zastrzyk moralny (nie mówiąc już o finansowym) skłaniający by raz jeszcze, „nie zważając na wiek i stan zdrowia”, ewentualnie stawić się na jesieni (połowa września do połowy listopada) „wszędzie tam gdzie są chętni do słuchania” mnie w krajach Zachodniej Europy.

Mówiłbym w tym roku o „Stosunkach rosyjsko-polskich w toku dziejów” z tym, że — jak zwykle — starałbym się temat każdorazowego wykładu (gawędy) dostosować do zainteresowania na miejscu.

W celu konkretnego ustalenia terminów oraz tematów wykładów (gawęd) prosilibym zainteresowane osoby, gotowe do podjęcia trudu zorganizowania spotkań oraz zapewnienia mi noclegu i ewentualnie skromnego utrzymania na miejscu, o listowne skomunikowanie się za czasu pod adresem:

Wiktor Sukiennicki, 11 Hartswood Rd., London W12 9NQ, England.

Dziękując raz jeszcze za przyznanie nagrody publicystycznej *Kultury*, łączę serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni,

Wiktor SUKIENNICKI

SPROSTOWANIE

Do artykułu prof. Stanisława Swianiewicza pt. „USB w perspektywie historycznej”, zamieszczonego w 55-tym *Zeszytach Historycznym*, mentrampaż-Francuz przez pomyłkę wstawił na str. 100-nej wiersz pochodzący z innego artykułu: *Trzeba też wymienić Althussera, wraz z miłosierzną inwokacją*. Za nieuważną korektę przepraszamy Autora (*Redakcja*).

Kolonia, 16 marca 1981 r.

OŚWIADCZENIE

W dniu 11 marca br. telewizja PRL nadała 40-minutowy program oczerniający Konfederację Polski Niepodległej. Nie ulega wątpliwości, że miał on na celu, tak jak wszystkie poprzednie ataki, przygotowanie dogodnej dla reżymu atmosfery przed zbliżającym się procesem członków kierownictwa KPN. Chodzi przy tym o wykazanie przed społeczeństwem polskim, że Konfederacja jest rzekomo powiązana z jakimiś antypolskimi siłami i, że korzysta z ich pomocy. W celu udowodnienia tych oskarżeń reżym znów posunął się do perfidnej mistyfikacji.

Podczas audycji przedstawiono Polakom nagrania rozmów telefonicznych dowodzących jakoby utrzymywał kontakty ze środowiskami politycznymi na Zachodzie, które żądają rewizji polskiej granicy zachodniej. Sugerowano nawet, że doszedł do porozumienia.

Oświadczam, że oskarżenia te są nieprawdziwe, a przypisywane mi wypowiedzi zostały sfałszowane przez bezpiekę. Zmontowano je z wielu, często koleżeńskich i politycznie neutralnych, rozmów telefonicznych jakie przeprowadzałem z Leszkiem Moczulskim i jego żoną.

We wspomnianej audycji udawadniano, że taśmy z zaprezentowanymi nagraniami znalezione w domu Moczulskich. Również w tym tkwi kolosalne fałszerstwo, gdyż bezpieka skonfiskowała jedynie trzy taśmy z nagraniami muzyki rozrywkowej. To, że w zaświadczeniu o konfiskacie nie uwidoczono jakie taśmy zawłaszczono, najlepiej uwidacznia, że od dawna, krok po kroku, finguje się dowody przeciwko więzionym Konfederatom.

Proces polityczny przeciw członkom kierownictwa KPN świadczy o tym, że w PRL ma miejsce odnowa stalinowskich metod walki z opozycją.

Pełnomocnik Rady Politycznej KPN
na zagranicę
Maciej PSTRĄG-BIELEŃSKI

Już jest w sprzedaży

TOM 333 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

PAWEŁ ZAREMBA

„HISTORIA DWUDZIESTOLECIA”
(1918-1939)

Do druku przygotował Marek Łatyński

(w 2-ch tomach)

Tom 1-szy (str. 240), Cz. 1-sza: PIERWSZE LATA: U progu Niepodległości. — Rewolucja Październikowa i niepodległość Polski. — Komuniści. — Demokratyczne podstawy Państwa. — Rząd Moraczewskiego. — Rząd Paderewskiego. — Powstanie Wielkopolskie. — Polacy i Ukraińcy. — Polacy i Litwini. — Sejm Ustawodawczy. — Reforma Rolna. — Oświata. — Konferencja Pokojowa. — Górny Śląsk. — Wschód: początek konfliktu. — Po roku niepodległości. — Mikaszewicz. — Przed wznowieniem wojny. — Sojusz z Ukrainą. — Wyprawa kijowska. — Rada Obrony Państwa. — Bitwa Warszawska. — Rozejm. — Wilno. — Pokój. — Powstania Śląskie.

Tom 2-gi (str. 423 plus Indeks nazwisk). Cz. II-ga: SPRAWY WEWNĘTRZNE: Początki. — Gospodarka. — Wieś. — Konstytucja Majowa. — Mniejszości narodowe. — Spór konstytucyjny. — Wybory 1922. — Zamordowanie prezydenta. — Prezydent Wojciechowski i rząd Sikorskiego. — Rząd Witosy. — Reformy Grabskiego. — Bank Polski obala rząd. — „Sejmowładztwo”. — Zamach majowy. — Piłsudski u władzy. — Piłsudski i opozycja. — Rządy Pułkowników. — Kryzys gospodarczy i społeczny. — Społeczeństwo lat trzydziestych. — Konstytucja kwietniowa. — Śmierć Marszałka. — Bez Piłsudskiego. — Kwiatkowski i polska gospodarka. — Rolnictwo w końcu lat trzydziestych. — Problemy społeczne. — Instytucje samorządowe. — OZON. — Ostatnie wybory. — Cz. III-cia: POLITYKA ZAGRANICZNA: Od Rygi do Rapallo. — Locarno. — „Zacisze pięcioletnie”. — Pakty nieagresji. — Pakt Wschodni. — W Lidze Narodów. — Dziedzictwo Piłsudskiego. — Nadrenia. — Rambouillet. — Ku wojnie. — Rokowania czy przetarg? — Polska i rokowania niemiecko-sowieckie. — Pakt Ribbentrop-Mołotow. — Ostatnie dni pokoju. — Czy była alternatywa?

HISTORIĘ DWUDZIESTOLECIA można nabywać tylko w całości.

Cena: T. I/II — F. 170.

Anna Winczakiewicz, Paryż — na „Solidarność”	F. 100,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA) — sumę zebraną w Westfield na pomoc dla robotników z „Solidarności” (wplacili: po \$ US 10,00 pp. M. Philipps, K. Smigiel, L. Kosińska, J. Branczewiczowie, pp. Kobrin i Fr. Wojtowicz; po \$ US 5,00 pp. A. Sobczak, K. Zawadzki, P. Surowy, E. Pitoniak, J. Sajewicz, J. Bielski, K. Bala, St. Kuźmin, K. Urban, Z. Góralska, L. Gregor, St. Suchocka; \$ US 2,00 pp. W. Kalinowski, J. Urban, T. Wysocki, K. Urbanek, R. Zawadzki, R. Blood, H. Zawadzki, T. Babik, St. Płóciennik, W. Pielecki; po \$ US 1,00 pp. W. Pielecki i J. Janczura oraz A. Ślesińska \$ US 3,00 — razem: \$ US 145,00	F. 725,00
Zebrane przez czytelników <i>Pomostu</i> w Chicago \$ US 100,00 oraz przekazane za pośrednictwem <i>Pomostu</i> przez International Union of Operating Engineers w Los Angeles, Cal. \$ US 500,00 — na NSZZ „Solidarność” oraz na pomoc dla strajkujących i ich rodzin — razem: \$ US 600,00	F.3.000,00
Zebrane przez polskie harcerki drużyny im. J. Falkowskiej w Los Angeles, Cal. (USA) — na fundusz pomocy dzieciom strajkujących członków NSZZ „Solidarność” (nadesłał E. I. Suszyński, Torrance, Cal.) — \$ US 142,00	F. 710,00

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Grenoble (Francja)	F. 200,00
W. Łaguna, Lane Cove (Australia) — na Komitet Opieki Społecznej „KOR” — \$ A. 23,20	F. 129,50
Wanda Pilecka, Pau (Francja)	F. 150,00
Zamiast kwiatów na grób Aleksandra Drożdżyńskiego — Prof. Jan Halpern, Kolonia (RFN), Christof Hyla, Bonn (RFN), Andrzej J. Koszyk, Moguncja (RFN), Janusz Piekalkiewicz, Rösraht/Kolonia, L. S. Pinneberg/Hamburg (RFN), M. Weber, Kolonia, Erika i Andrzej Chilecyc, Kolonia, dr J. S. Düsseldorf (RFN), prof. Leszek Kołakowski, Oxford, dr O. R., Kolonia, Peter Nasarski, Kolonia, Bezimiennie z Jerozolimy — razem: DM 600,00	F.1.380,00

WPLATY NA KASĘ POMOCY NAUKOWEJ T.K.N.

Bezimiennie z Heidelbergu (RFN), po raz 6-ty — DM 100,00	F. 230,00
Franz Laux, Aulendorf (RFN) — DM 60,00	F. 138,00
S. J. Zaremba, Bordentown, N.J. (USA) — na ROPCiO — \$ US 8,00	F. 40,00

WPLATY NA NIEZALEŻNĄ OFICYNĘ WYDAWNICZĄ NOW-a

Bezimiennie z Guelph, Ont. (Kanada) gotówką \$ US 100,00 ..	F. 500,00
J. H. Missouri (USA) — \$ US 250,00	F.1.250,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — zamiast różnych prezentów imieninowo-urodzinowych — gotówką \$ US 100,00	F. 500,00

WPLATY NA K.P.N.

Tadeusz Brzostek z Paryża	F. 300,00
Józef K. Falkowski, Northville, Mich. (USA) — \$ US 20,00 ..	F. 100,00
St. Stankiewicz, Nancy (Francja)	F. 300,00

Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (dyr. Bonawentura Migąła, sekretarz Jan Jurewicz) nadesłał sumę \$ US 4.550,00 z czego na:	
— „Solidarność wiejska” w Warszawie na cele humanitarne — \$ US 1.000,00	F.5.000,00
— Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a — \$ US 1.000,00 ..	F.5.000,00
— Towarzystwo Kursów Naukowych T.K.N. — \$ US 500,00 ..	F.2.500,00
— Ruch Młodej Polski i <i>Bratniak</i> w Gdańsku — \$ US 500,00 ..	F.2.500,00
— KSS „KOR” — na cele humanitarne, obronę L. Moczulskiego, W. Ziemińskiego i innych działaczy komitetów demokratycznych — \$ US 500,00	F.2.500,00
— Polskie Porozumienie Niepodległościowe — \$ US 350,00 ..	F.1.750,00
— Biblioteka Historii i Literatury w W-wie — \$ US 350,00 ..	F.1.750,00
— <i>Spotkania</i> , Lublin — \$ US 350,00	F.1.750,00

Zjednoczenie Polskie w Południowej Afryce (Alberton) nadesłało F.58.018,50 z czego na:	
— „Solidarność”	F.32.252,00
— KSS „KOR”	F.12.890,00
— ROPCiO	F.3.223,00
— T.K.N.	F.6.446,00
— <i>Bratniak</i>	F.3.207,50

Przekazane za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> w Sydney:	
— M. Kuncewiczowa — \$ A. 60,00, E. i E. A. Grochowsy — \$ A. 45,00, S. Kozak — \$ A. 20,00, p. Barbara — \$ A. 10,00 — razem na Fundusz pomocy robotnikom w Polsce — \$ A. 135,00	F. 755,00
— Komitet Międzyorganizacyjny Obchodów i Rocznic Narodowych w Canberri na K.P.N. — \$ A. 77,18	F. 432,00
— M. Pasternak na K.U.L. — \$ A. 10,00	F. 56,00
— S. i M. de Waldorf na Fundusz wolności słowa w Polsce — \$ A. 5,00	F. 28,00

W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli pp. J. Dąbek, Union City — \$ US 25,00, G. Jezierski z Camden — \$ US 15,00, J. Talaga z Manchester i I. A. Zedziłko z New Britain po \$ US 10,00, S. Kochanowski z Bridgeport i L. Zimny z Colchester po \$ US 5,00 — razem \$ US 70,00 z czego na:	
— „Solidarność” — \$ US 55,00	F. 275,00
— K.P.N. — \$ US 15,00	F. 75,00

Złożone w parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Los Angeles na żywność i leki dla najbardziej potrzebujących w Kraju (nadesłał E. I. Suszyński, Torrance, Cal.) — \$ US 750,00 F.3.750,00

Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA — na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom (Leszek Moczulski, Tadeusz Stański, Janusz Ziemiński, Skuza, bracia Kowalczyk) — \$ US 10,00 F. 50,00

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dzisiaj, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata w r. 1981 wynosi F. 180 (\$ US 45; \$ Can. 50) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 160 (\$ US 40; \$ Can. 45), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 2° Trimestre 1981.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Glovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 4,50	\$A 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-tern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliessen- gen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h. 60,00	Fl. h. 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; B. Kruszki, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 10,00	DM 60,00	DM 100,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dzielanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271 ; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009 ; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. 312) 489-2554 ; E.I. Suszyński, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211 ; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.			
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)

(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F. 170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

◆
TOM 334 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: J. Rakowskiego — *Zetowcy i Piłsudczycy (2)*; St. Swianiewicza — *U.S.B. w perspektywie historycznej*; H. Jabłońskiego — *20-letni dorobek Polski w dziedzinie społecznej*; A. Humera — *Skargi na ręce tow.tow. Kani, Kowalczyka i Łukaszcwicza* oraz bogate **DZIAŁY: UCRAINICA, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII.**

Str. 240.

Cena F. 45,00.

◆
TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

◆
TOM 336 — STANISŁAW BARAŃCZAK

TRYPTYK Z BETONU, ZMĘCZENIA I ŚNIEGU

Nowy tom wierszy

Str. 68.

Cena F. 25,00.